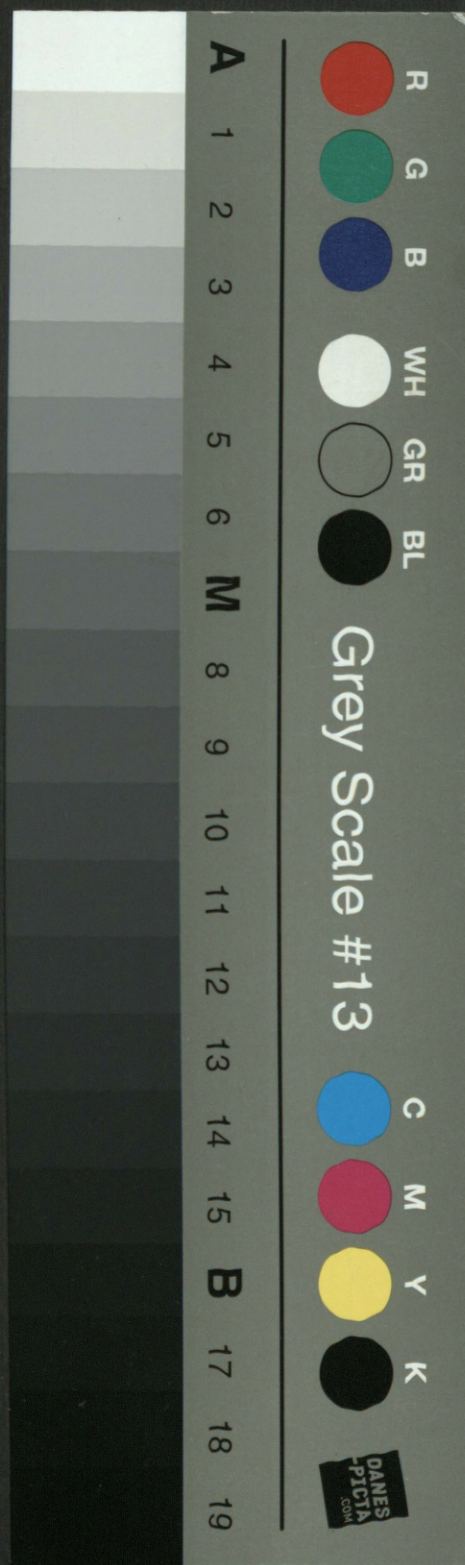
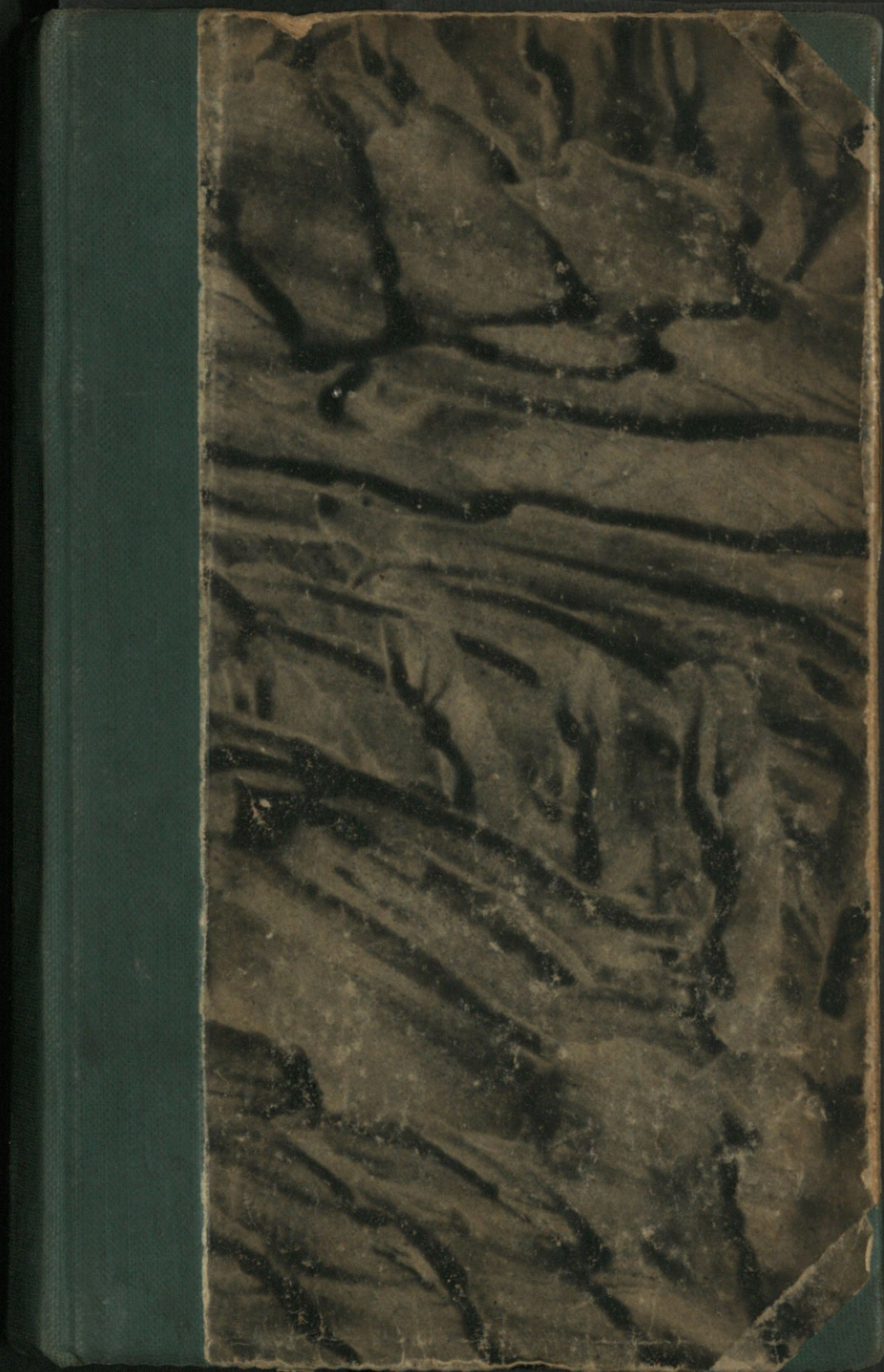
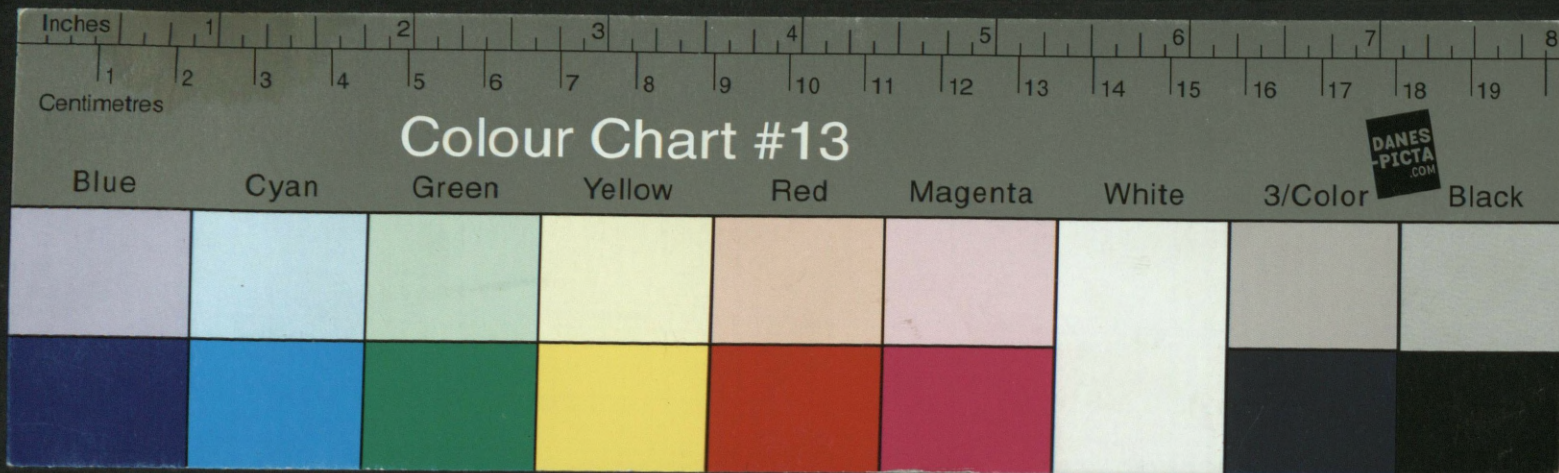
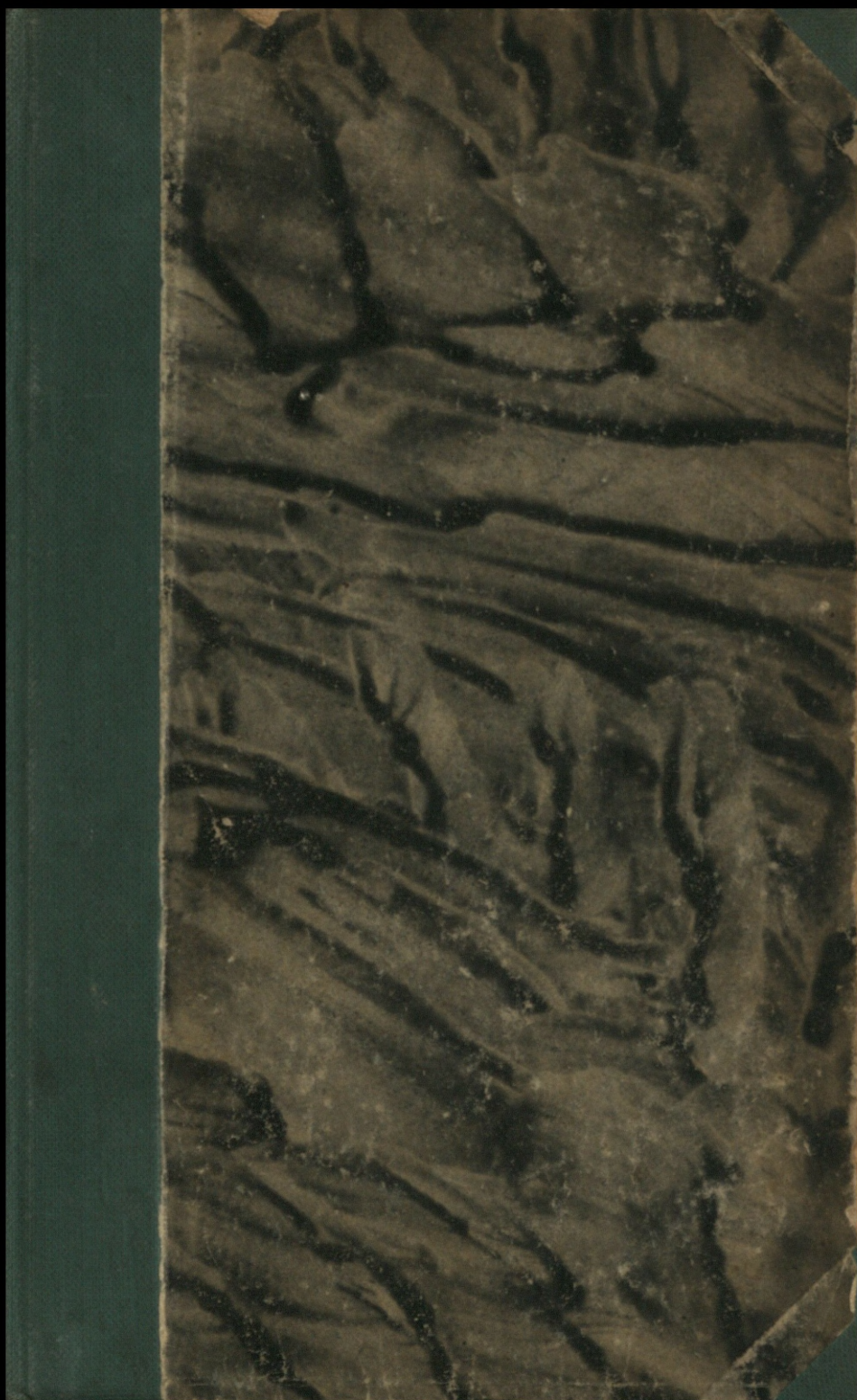








AL. ORŁOWSKI

SZLACHCIC CHUDY

DR. STANISŁAW MORAWSKI

SZLACHTA-BRACIA

WSPOMNIENIA, GAWĘDY, DIALOGI

(1802 — 1850)

Z 8 ILUSTRACJAMI

WYDALI

ADAM CZARTKOWSKI

HENRYK MOŚCICKI

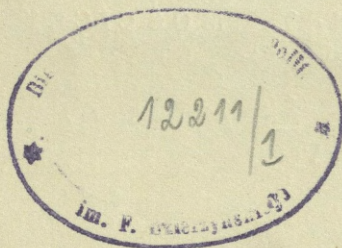
WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

P O Z N A Ń

884-3 : 8(09)

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

CZCIONKAMI DRUKARNI S. A. „OSTOJA”



SPIS RZECZY:

	Str
SPIS ILUSTRACYJ	VIII
PRZEDMOWA WYDAWCÓW	IX
CZEŚĆ PIERWSZA — Ogi i w ćwierć wieku potem . .	1
CZEŚĆ DRUGA — Pan Ignacy z Dorsuniszek	55
CZEŚĆ TRZECIA — Obrady sejmikowe	195
Obrady sejmikowe na Litwie	197
Politycy litewscy	223
Taki to egoista... Taka egoistka...	237
Ustronie (Fragment)	249

SPIS ILUSTRACYJ:

1. Szlachcic chudy, według szkicu Aleksandra Orłowskiego	przed tekstem
2. Szlachcic tłusty, według szkicu Aleksandra Orłowskiego	16
3. Scena w karczmie, według współczesnej litografii wileńskiej, naśladowącej groteskę Al. Orłowskiego	32
4. Ignacy Łukaszewicz, według akwareli dra Stanisława Morawskiego	56
5. Typy z początku XIX w., według współczesnej litografii wileńskiej	96
6. Eleganci z początku XIX w., według litografii W. Smokowskiego	144
7. Zabawa za miastem, według litografii wileńskiej z pierwszej połowy XIX w.	160
8. Dwór w Ustroniu, według fotografii	240

PRZEDMOWA.

Pomiędzy rękopisami dra Stanisława Morawskiego z Ustronia, autora ogłoszonych przez nas w ostatnich czasach pamiętników: „Kilka lat młodości mojej w Wilnie“ (Warszawa 1924) i „W Peterburku“, (Poznań 1927), znajduje się dość gruby tom, zatytułowany „Szlachta - bracia“. (Bib. Ord. Krasińskich L. P. Inw. Ręk. 4519.) Zawiera on w sobie w części pierwszej „przelotne wspomnienia, przelotne uwagi, przelotne domysły i wnioski“, w drugiej zaś obszerny życiorys Ignacego Łukaszewicza, szlachcica z Dorsuniszek, sąsiada i przyjaciela „Puśtelnika z Ustronia“. Treść tych gawęd stanowi opis życia szlachty okolicznej kiedyś, na początku XIX wieku, i potem, w połowie tegoż stulecia. (Rękopis jest datowany: „Zacząłem o Wszystkich Świętych 1849 roku. Skończyłem, napisawszy przytem i kilka innych zabawek, na Gromniczną 1850 roku“). Autor biada tu nad upadkiem szlachty okolicznej, rysuje ponure obrazy jej współczesnego mu życia i przeciwstawia im jasne wspomnienia swego dzieciństwa i młodości. „Pióro z ręki wypada temu, co się na to wszystko przez lat jaki dziesiątek dobrze napatrzył. A każdy rok w nowem pokoleniu coraz nowe a coraz szkodliwsze, coraz zgubniejsze zagwoźdża, wypala

i uwiecznia wady!" woła w jednym z pierwszych rozdziałów tej swojej pracy. Kocha on jednak szlachtę, bo „kiedyś był to wyraz dla nas olbrzymi... Kiedyś szlachta... był to mur chiński, co zasłaniał i kraj i ojczyznę od burz i wiatrów, wiejących na nas ze wszystkich czterech stron świata... Szlachta żywotne i od samego rdzenia szlachetne przed wiekami oddała krajowi usługi. To był krajowy rycerz. To było krajowe narodowe wojsko, zawsze i wszędzie na obronę ojczyzny gotowe. Stąd, z „okolicy“ szlachcic, czy dla zabliznienia ran swoich, czy dla dania siwemu a krwią Tatara zbrozczonemu włosowi spoczynku nagrodzony już ziemią, albo swoją jeszcze osobą, albo przez swego już potomka ścianę z piersi swoich nieprzyjacieli i najczęściej nieprzebytą ścianę nadstawiał. Szlachta i tem jeszcze uwagi i poszanowania w sercu naszym jest godna, że ona była właśnie rozsądnikiem polskich półpanków, panów i magnatów. Wszyscy oni, co do nogi, prócz cudzoziemców indygenatem z krwią naszą złączonych, raniej lub później na obszerniejszą niwę publicznego życia stamtąd przesadzeni zostali i w tych gniazdach wyrosli, gdzie się szlachta-bracia wykluwa“.

„Ganiąc, potępiając, złorzecząc“ czyni on to z miłości publicznego dobra, pisze „z nadzieją pożytku dla bliźnich“, acz „malować obyczaje zbędkarściej i spodłonej do gruntu rasy, śledzić za każdą żyłką niecnoty, za każdym nerwem rozpusty, za każdym kocim chodem przewrotnej chytrłości, za każdym ziewem ospałego i gnuśnego lenistwa, za każdym sztyletem niewdzięcznego a często i bezbożnego serca, za każdym ciągle wysychającym gardzielem opoja, a łapać

znowu daremnie rękami odrobiny tylko dawnych rasowych zalet — bolesnem jest dla prawego człowieka zadaniem! A bardziej jeszcze wtedy, kiedy już mu nie o całą ludzkość ale o własne powietrze, o własną zagrodę, o własne chodzi zagony!" Macza tedy pióro we krwi serdecznej i chłoszcze wszystkie ujemne strony życia współczesnej mu szlachty okolicznej, starając się jednocześnie wyjaśnić przyczyny tego upadku i zastanowić, czy nie znajdzie się droga ratunku. A czyni to z całą namiętnością sangwinicznego charakteru, z całą ostrością swej inteligencji i dowcipu, z całym talentem swego stylu, przeplatając swe uwagi, domysły i wnioski wspomnieniami swemi.

Bo „znowu któryż z nas, co doszedł już wieku, jakiego dawniej dla bezstronnych sędziów wymagały prawa, otworzywszy księgę własnego żywota, zaraz na jej szesnastej czy siedemnastej karcie nie znajdzie najśłodsze go wspomnienia? Wspomnienia, które do ozdoby całego życia jego należy? Wspomnienia, które usta jego i przy skonie nawet, jeśli się ono po myśli jego przesunie, słodkim ozdobi uśmiechem?"

Wspomina więc swą pierwszą miłość ku pięknej Justysi z przyległej okolicy, wspomina swe wczesne dzieciństwo, swe lata szkolne w Kownie, słowem, dopełnia swe ogłoszone już dotychczas przez nas pamiętniki, dorzucając jednocześnie pełnemi garściami ciekawe a liczne szczegóły do obrazu życia społeczeństwa polskiego na Litwie w pierwszej połowie XIX w., odtwarzając szereg charakterystycznych typów, rysując wiele zanikłych lub zanikających obyczajów.

Dowiadujemy się więc szczegółów o Szkole Powiatowej kowieńskiej, o uczniach tego zakładu, o pro-

fesorze Dobrowolskim; poznajemy palestrę nadniemieńską ze Swolkieniem na czele, obyczaje i typy szlachty okolicznej w starszym i młodszym pokoleniu; staje przed nami prototyp klucznika Gerwazego z „Pana Tadeusza“, (por. Marjan Korab: Prototyp Gerwazego, Tyg. Il. 1921. II. 491), uczymy się gotować litewski trunek, „krupnikiem“ zwany, itd., itd.

Szlachta, księża, nauczyciele, uczniowie, adwokaci; ich otoczenie, obyczaje, pojęcia, rysy charakterystyczne — tworzą przed nami barwny i wypukły obraz życia polskiego w Kownie i Kowieńskim, z-rzadkim u pamiętnikarzy talentem wykonany.

Rękopisu, o którym mówimy, nie podajemy tu w całości. Wiele rozważań i dociekań autora straciło zupełnie swą aktualność i żywą wartość. Opuściwszy więc wszystko, co ma ten charakter, podajemy tylko to, co za istotne wspomnienia pamiętnikarza uważać można.

Pozwoliliśmy też sobie na pewne przegrupowanie materiału, a mianowicie w części pierwszej. Nadaliśmy jej przedewszystkiem tytuł, którego nie posiada w oryginale; dalej, wyjąwszy z niej tylko to, co zdaniem naszym na ogłoszenie zasługuje, odrzuciliśmy autorski podział na rozdziały i daliśmy swój, przyczem rozdział trzeci powstał z fragmentów, poprzedzających w oryginale pierwszy i drugi. Uczyniliśmy to dla udostępnienia całości czytelnikowi i nienuzużenia jego uwagi przedługimi wywodami moralizatorskimi autora, aczkolwiek na ogół są one i rozumne i dowcipne. Tytuły rozdziałów drugiego i trzeciego tej części są również nasze. W części drugiej opuściliśmy tylko trzy rozdziały (w oryginale jest ich 20) i niektóre

ustępy z poszczególnych rozdziałów. Kolejność i tytuły zostawiliśmy zgodnie z oryginałem.

Jednocześnie, chcąc wyczerpać bogatą spuściznę pamiętnikarską po „Pustelniku“, dołączamy do tego tomu jeszcze to i owo z jego rękopisów, co wiąże się z treścią „Szlachty-braci“, a co nie zostało jeszcze umieszczone w poprzednio przez nas ogłoszonych jego wspomnieniach. Dwa dialogi, stanowiące cykl p. t. „Obrady sejmikowe na Litwie“, znalazły się tu ze względu na dosadną charakterystykę działających osób, niewątpliwie żywcem z rzeczywistości na papier przeniesionych tak, iż te sceny również w znacznym stopniu za rozdział z pamiętnika mogą uchodzić. Odtwarzają one znakomicie atmosferę, w której radziła na sejmikach szlachta litewska w pierwszej połowie XIX wieku, w dialogu zaś „Egoista... Egoistka“ mamy obrazek z życia, znakomicie oddający środowisko towarzyskie współczesne pamiętnikarzowi.

Wreszcie fragment „Ustronie“ zapoznaje nas ze schyłkiem życia tego dziwnego człowieka, który mając tyle danych na to, by wysunąć się na czoło swego społeczeństwa, jak również, by osiągnąć pewne szczęście w życiu, w sile wieku odosobnił się od wszystkich i zamknął się w swej pustelni, oddając się rozmyślaniom o przeszłości i roztrząsaniom swojej współczesności, do której zraziła go jakaś nieznana nam, tajemnicza, ale widać bolesna, przyczyna.

Wspomnienia, gawędy i dialogi, w tym tomie zawarte, obok gryzącej ironji cechuje jeszcze ostry humor. Niektóre rozdziały życiorysu Ignacego Łukaszewicza (3, 4, 10) są znakomitemi humoreskami i pobudzają czytelnika do serdecznego śmiechu. Cały

zaś *życiorys* jest obrazem rodzajowym, malowanym słowami w rodzaju *Teniersa*. Jeszcze raz przy tej sposobności można stwierdzić, że *Morawski* jest utalentowanym pisarzem, który nie tylko opowiada ciekawe rzeczy, ale umie też je nie byle jak opowiedzieć, czyniąc to z całą łatwością wybitnego artysty.

Jak poprzednie tomy wspomnień *Morawskiego*, tak i ten oddajemy w ręce publiczności z głębokim przekonaniem, że przeczyta ona go z całą satysfakcją, jako twór prawdziwie utalentowanego pióra. Nie zaopatrujemy go w przypisy, gdyż z jednej strony zawiera on raczej beletrystyczne utwory niż pamiętnik, z drugiej zaś w poprzednich dwóch chętny czytelnik znajdzie objaśnienia, dotyczące tych ważniejszych osób, o których autor tu wspomina.

Gdańsk-Warszawa, Październik 1929.

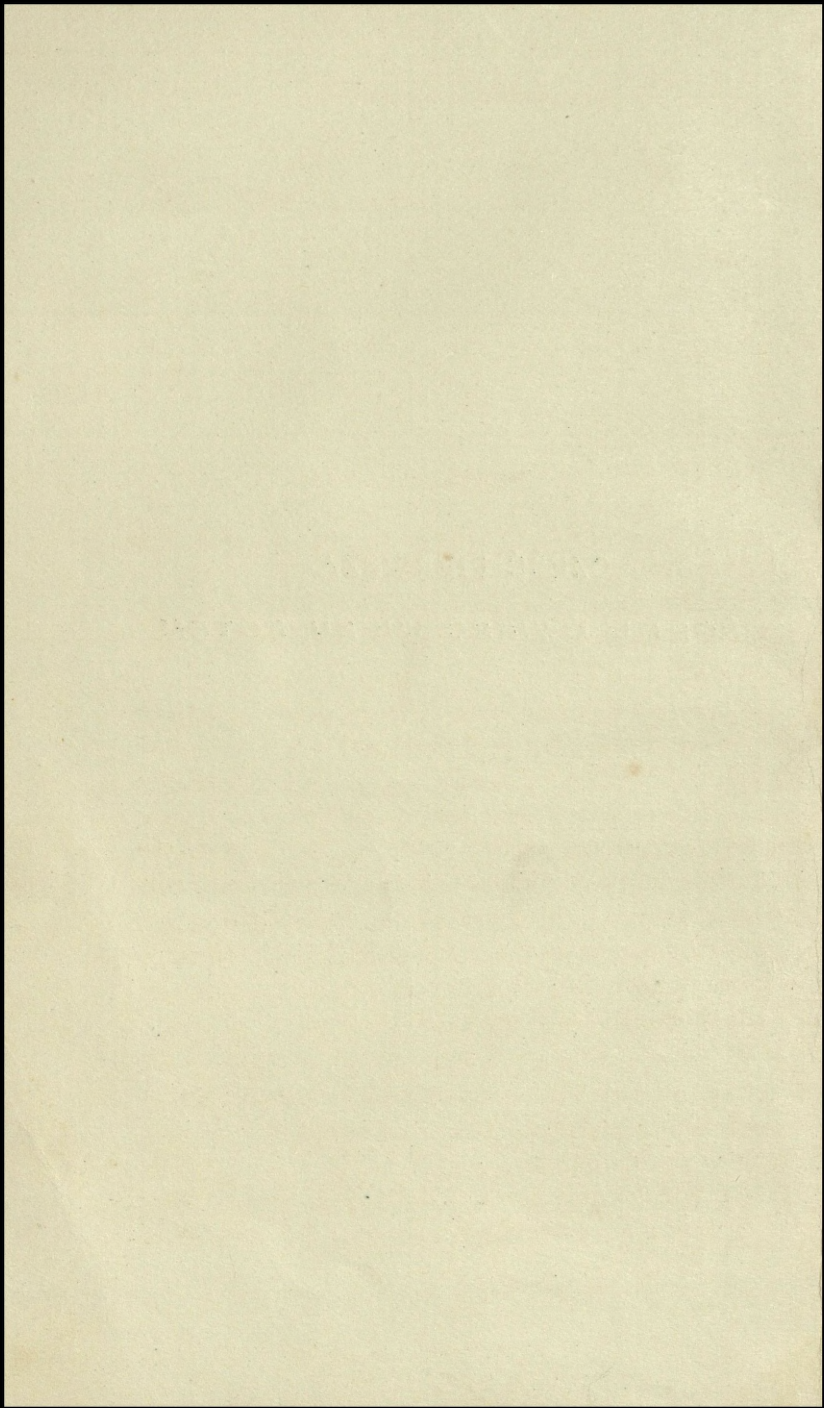
Adam Czartkowski.

Henryk Mościcki.

SZLACHTA-BRACIA

CZEŚĆ PIERWSZA

ONGI I W ÓWIERÓ WIEKU POTEM



I.

Bywało...

Kiedyś, bywało, wyrwawszy się z pod oka i groźnej feruły ojca pod pretekstem czy jarząbka, czy rydzów, zabiegł czasem panicz z fuzyjką do jakiego skromnego a przyjaznego w sąsiedzkiej okolicy dworku.

Kurzyło się tam cały boży dzień z komina! DREW dawał Pan Bóg jeszcze do woli — czegoż żałować? „Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las” — to wieczne ludu i szlachetnego, i pracowitego przysłowie. Przysłowie na ten raz fałszywe, bo już lasów nie stało! Jeśli już jeść przestano gotować, to inne gospodarskie pani domu zajęcia wymagały ciągłego ognia w „przeciwni”, to jest w piekarni, która u nich zwykle i dotąd drugą połowę domu dla pomieszczenia czeladzi zajmuje.

W izbie gościnnej i Pan Jezus i Matka Najświętsza olejno; często sztychowane, choć dobrze okopcone łoże Rafaela, obok parę z historii polskiej sztychów z Smuglewicza i obrazki innych świętych, i książkę Józef Poniatowski i Barclay de Tolly nakoniec, u burłaka wędrownego kupiony; i kufer okuty

mocno, malowany zielono, i czerwone drewniane malowane stołki a izba cała rąbanym posypana ajerem. Co było w przeciwni, to już, prawdę mówiąc, było i wtedy Bogu na chwałę! Ale człek myślał i miał nadzieję, że się to kapcaństwo z postępem czasu w następnej pokoleniu poprawi. Zresztą obce oko chyba tylko z przypadku tam kiedy zająrało.

Zoczyła już zdaleka niby niespodziewanego panicza śliczniutka, świeżutka, jak róża, panna Justyna, najstarsza domu tego panienska, siedząca u otwartego okna. Na tem oknie konieczny pieprz turecki, geranium i balsaminy w wazonach szczęśliwe godziny pędziły, zraszane codziennie kochaną Justysią rączką. Obok nich stały inne jeszcze to szklane popękane słoiki, to stare na nic już rodzicom niezdadne garnuszki, czasem kolorowym obłożone papierem, rozwijające w sobie powoli kiedyś tam przez tego samego panicza przyniesione kwiatów nasiona.

Z tej strony domu, nazewnątrz wiły się około okien bujny z ponsowym kwiatem szablasty groszek i pomarańczowe nasturcje. Czasem panna i za kołowrotkiem lub szyciem na dziedzińcu około wrót domu siedziała.

Już jej koralowa buzia, śnieżna, gładziutka łabędzia szyjka i rączki dawno się kilkakrotnie skąpały, spluskały w czystej jak kryształ i chłodnej wodzie przyległej krynicy. Już i w lśniące jak pela włoski swoje po południu aż dwa razy zaplotła rychło od skwaru słońca na jej głowie wędnące ponsowe goździki. Pons tak dobrze od czarnych włosów odbija!

Ale nie dlatego to staranie, ten wytwór, że wie jakoby, że panicz dziś przyjdzie — ale, że już takie było przecucie, że dzisiaj gość będzie. Na to się już cała rodzina pod wpływem obserwacyjnego ducha Justysi zgodziła podczas obiadu. Dlaczego? Bo wielka zielona mucha aż cztery razy raz poraz z brzękiem usiadła na obrazku św. Marcina. A więcej jeszcze, bo sroka od samego rana na brzózce pod stodołą skrzeczy. Czasem się w taki dzień z jakiejś niewiadomej przyczyny lekko zmarszczyło gładziutkie Justysi czoło. Czasem jakaś malutka niecierpliwść panienkę brała. Czasem się bez żadnego żywego powodu w jej drobnych i zgrabnych rączkach to nić, to prządka zerwała! Nie dlatego, broń Boże, że dotąd się żaden prognostyk o gościach nie sprawdza — ale, że len niemoczony, zleżały!...

— Mamusiu! Mamusiu! uciekaj!... Idzie panicz przez ulicę od lasu!

— Czego uciekać? Ot głupia dziewczyna! Cóż to? rozbójnik jaki, czy co? Otbyś poszła lepiej do alkierza a ogarnęła się trochę, a to wyglądasz, jak nietoperz jaki — zawołała matka.

— Mamusiu, nie chcę, nie chcę!... Wstydzę się, nie chcę!... Schowam się lepiej gdziekolwiek!

I tylnym dziedzińcem, nie czekając odpowiedzi matki, pobiegła, jak sarna, do borku! Że nikt nie wiedział, jak i gdzie się podziała.

A tu się młodsze siostrzyczki i większe błazny krzątają i czyszczą. A i pani matka czepeczek na głowę wkłada i włosy na czole przygląda. Gość idzie!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Na wieki wieków! cały dom odpowie, i wielcy i mali.

— Nuże Ignasiu, daj znać jegomości, że panisko przyszedł.

— A gdzież to panna Justyna? Nie widać jej! cóż ona, moja imość, nie łaskawa na mnie? Czy nie gniewa się tylko?

— At! jeszczeby na to uważać! Zwyczajnie błażnica i dziewczyna. Wstydzi się pana, — ale to tak, że, jak tylko pana zdaleka zobaczy, to ucieka, ucieka i, Bóg wie, gdzie w kącie zalezie. Zwyczajnie — dziecko! Wszak jej dopiero szesnasty roczek od św. Jana! (Pocziwa matka!)

Wychodzi przypadkiem i stary ojciec, nie wiedzący jeszcze o gościu; wyszedł z odryny w koszuli i lekkiej płóciennej taratatce.

— *Laudetur Jezus Christus!* Przepraszam pana, że w takim stroju. My, zwyczajnie, gospodarze nie mamy czasu myśleć o ubiorach! Chwała Bogu, kiedy się można uczesać i umyć. Ale zaraz włożę sukienną kapotę.

— Ach panie Komornikowiczu, nie trudź się proszę i tak bardzo dobrze. A potem ja tylko do was na szklankę wody zabiegłem i zaraz dalej!...

— Jasiu! Ja-a-siu-u! A ukłoń że się bałwaniei!

Jaś z dobrze umazaną ale świeżą, jak jagoda, buzią, cały jeszcze spocony od tylko co przyjsciem gościa przerwanej wojny z kogutem, wojny o spadające na ziemię okruszyny masła z chlebem, które Jasio w rodzaju przymusowej pożyczki u matki na rachunek zbliżyć się za parę godzin mającego podwieczorku zajada. Jaś patrzy nam w oczy i stoi, skro-

biąc się w główkę. On tu ma bardziej interesujące przedmioty. Bury kotek, również jak kogut chciwy ale więcej roztropny, patrzył już dawno na tę wojnę chłopca z kogutem w postawie zbrojnego neutralitetu. Napuszony a w łęk wygięty ze skupionemi nóżkami i podniesionym do góry wężykowatym ogonkiem, kotek był sobie gotów na wszelki przypadek. Jasia to dziwnie bawi! Gdzie mu do gości!

— A ukłoń się, ty smarkaczu! — powtarza ojciec. Jaś nakoniec odsuwa nogę prawą od siebie tak daleko, jak tylko dosięgnąć może, a matka dumna z synka swojego woła zcicha, robiąc pończoszki i patrząc na niego z podełba: Dobrze, dobrze, śmiało, tak, tak! Nakoniec Jaś, jak cyrkiel już rozwarły, z wielką pocziwych rodziców radością, skupia raptem te rozbiegłe nóżki, przybliża je do siebie, nakłania główkę i jednocześnie nieposłuszne dotąd a ostatnie kawałki chleba i masła, korzystając z bliskości prawej ręki, do buzi zatyka paluszkami.

— Ślicznie Jasiu! wybornie! — powiada gość: Co to za spryt w tym chłopcu!

A ojcu i matce jak żeby i ciepłego ulepu na serce nalał!

— Żono, żono, a wynieścież miodu! Ja pobrałem już pszczołki a imość wszak masz ogórki?

— A są, chwala Panu Bogu. Ja umyślnie dzisiaj dla paniska cały dziesiątek ich zachowałam. Ja tak myślałam, że panisko może dziś przyjdzie.

Matka pobiegła do świrna. A tam już wszystko stoi gotowe. Na czystej zielonej polewanej misie leżą ogórki. A obok rączką Justysi przygotowany,

tak sobie dla wszelkiego przypadku od gościa, bo sroczka bardzo skrzeczała, stoi czyściutki fajansowy talerz do miodu. I biały obrusek wisi odniechcenia na kołku.

— Otóż i miód i ogórki...

— Dziękuję państwu za tak miłą gościnność waszą. Ale odłóżmy to na inny raz. Ja tylko do was zaszedłem przypadkiem dowiedzieć się, jak się macie, i dosyć. Taki zdrajca jarząbek! z gałęzi na gałąź od samego Makupia aż tutaj pod samą okolicę mnie poprowadził a na cel wziąć się nie dał!

— Oho! mospanie, znam ja to panie! jarząbek, to pierwszy filut w naszych lasach, to gorszy od lisa! — powiada gospodarz.

— Chwała Bogu, że tu wszyscy zdrowi! Pośpieszyć muszę, może znowu tego zdrajcę gdzie spotkam. On pewno tu oto, w tych krzakach zapadł i siedzi! Ale dlatego za pozwoleniem waszem wezmę z sobą jeden ogórek na drogę.

— Ach, jakże panisko na nas niełaskaw! Nie chce nawet skosztować naszego miodu!

— No, żono!..., nie przeszkadzaj. Ty babo nie wiesz, co ma na duszy myśliwy!... (Pocziwy ojciec).

— Toć już na drugi raz zostanie. Co się przewlecze, to nie uciecze, moi drodzy sąsiedzi. Bądźcież mi zdrowi, przyjaciele moi.

— Niech Bóg szczęśliwie prowadzi!...

I panicz lotem ptaka puścił się i kręgiem wrócił do borku. I trąbką swoją, lekko zadętą, wiadomy znak podał. Niema odpowiedzi!... Dopiero w dobrą chwilę niewiedzący jakoby o niczem milutki

głosik śpiewa piosenkę: „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły i ktoś tam klaszcze za borem”.

Panicz na ten głos leci piorunem. — Justysiu! śliczna Justysiu. — A Justysia ani myśli o paniczu! Odwrócona od niego, schylona, zbiera sobie rydze. Nakoniec obraca się do chłopca, nadawszy korallowe usteczka, i z zadziwieniem powiada: — A, jak się pan ma? Cóż to pan tu robi?...

— Tak że to mnie witasz, tak przyjmujesz, droga Justysiu?

— A czegoż tam tak długo bawiłeś? a o mnie, co tu na ciebie czekałam tak długo, nie dbasz!

— Cóż chciałaś, żeby się matka czego domyśliła? Moje drogie dziecię!

— Ach mój Stasiu, mój Stasieczku, mój aniele, mój skarbie, moje ty życie! Ja ciebie wiecznie, wiecznie kochać będę! Ja ciebie nigdy, nigdy nie zapomnę! Ja nigdy nie pójdę zamaż! Pójdę do klasztoru!.. a ty czasem o mnie wspomnisz? Ty! ty! ty! słyszysz? ja do ciebie mówię — ty!

— Moja najdroższa!...

— I ty mnie biednej dziewczynie tak poufale nazywać siebie pozwalasz?...

I podjawszy rączki do góry z wdziękiem, którego żaden deklamator nie potrafi nauczyć, a który sam się bierze ze szczerości ducha, Justysia, jak ptaszek wzrokiem położy zdurzony, rzuca się pierwsza w objęcia panicza.

I ręce ich splotły się z sobą węzem Laokoona! I usta ich z ustami się spoiły!

I na wszystkich sosen gałązkach przyczajone, łaskawe, życzliwe, malutkie borku tego opiekuńcze

duchy razem klasnęły w dłonie, że aż wietrzyk po wszystkich drzew wierzchołkach lekko i wesoło zaszumiał! Bo w tej chwili dobre duchy te widziały dwoje młodych, pełnych życia i zupełnie na jedną sekundę szczęśliwych pod ich opieką ludził...

II.

Za młodego wieku mojego.

...Za młodego wieku mojego, zacząwszy od 1815 r. do 1826 roku, pamiętam już dobrze, jak wyglądała ówczesna okoliczna szlachta litewska. Ojciec mój, bywało, co niedziela musiał być w kościele. Proboszczem niemoniuńskiej parafji, biednej, ubożuchnej parafji, bo tuż obok z drugiej strony, mieliśmy bogatą fundacji Paców plebanję jeznieńską, był zacny, pocziwy, miłosierny, prostoduszny kapłan, ksiądz Mejżowicz. Ojciec mój dla uszanowania pełnego zalet proboszcza i dla przykładu innym, co wtedy wiele znaczyło, wiecznie, nim wszedł do kościoła, zachodził wprzód do plebanji i mnie zabierał z sobą. Zastawaliśmy tam statecznie pocziwego proboszcza, chodzącego przekątną po swojej ubogiej ale schludnej, ale czystej izdebce, i kilkunastu okolicznej szlachty, zebranej w kupkę czy w gronko pomiędzy drzwiami i piecem czarnym kaflowym, na prawo. Szlachta zawsze stała.

Wszyscy byli ubrani w kontuszach i żupanach, karmazynem lub ponsem podbitych, w jedwabnych a czasem słuckich pasach. U boku szabla. A Bo-

browicz, stary, dymisjonowany ekonom ojca mojego, zawsze się stawiał w paradnym stroju i litym pasie, które kiedyś na imieniny od ojca mojego był dostał. Włosy u wszystkich długo zapuszczone ztyłu i nieco falisto zakręcone, nad czołem podstrzyżone równo i krótko. Łbów łysych a czasem i ze szramami dużo. Łbów golonych już między nimi nie było! Ale każdy ślicznie uczesany, ogolony, umyty. Wąs maleńki, ogłędnie z góry i z dołu staraniem i nożyczkami małżonki podstrzyżony. Buty całe, czysto czarną jakąś, tłustą i nie dającą glansu opatrzone przyprawą. Czerwone i żółte buty, już tylko u panów, jeszcze się po polsku noszących, na wielkich zgromadzeniach za młodu widziałem. W naszej stronie tak się tylko nosili marszałkowie: Kleczkowski i Godaczewski. Wracając do szlachty, czasem kto z nich miał na sobie węgierkę samodziałową. Ale ta zawsze obramowana była sutemi czarnymi taśmami a pełna baryłek, to jest wytoczonych takim kształtem guzików. Węgierki zrzadka jednak pstrokaciły polskie ubiory. Szable kładli tylko na siebie od festu parafjalnego, kiedy proboszczowi do baldachimu asystować trzeba było.

Wszyscy co do nogi mniej więcej ruszali jeszcze gębami przy wejściu naszym do plebanji, spiesząc się widocznie ostatnie kęski w gardziel swój zepchnąć. Bo, jak amen w pacierzu, tak karafka z zafarbowaną na żółto lub na czerwono wódką, talerz fajansowy głęboki z masłem nakładzionem w kawałkach i potężne partyki razowego chleba na misce glinianej stały u ubożuchnego, ale cnotliwego plebana na stole.

Za wejściem ojca mojego zatrzymywał się w biegu swoim po izbie pleban. Ojciec mój z głębokim ukłonem całował go powyżej łokcia. Ja — w rękę. Przedniejsza szlachta ucierała natychmiast i wąsy i usta chustkami czystymi i jak śnieg białymi i szła, kto odważniejszy i poufalszy na przedzie, dotknąć prawą ręką ojca mojego kolana i pocałować go także o parę cali powyżej łokcia. Mój stary, uściskawszy plebana, ukłoniwszy się jeszcze raz szlachcie, zasiadał na skrzypiącej i do ostateczności rozchełtanej kanapce pocziwego księdza prosto naprzeciw drzwi wchodowych i naprzeciw szlachty a przez kilka chwil trwała jakaś ogólna i przerywana gawędka, nim wszystko do należytej przyszło symetrii. Zaczynały się potem pytania i odpowiedzi. Rozmowa coraz się bardziej stawała ogólną, w której i pleban i ojciec mój słuchaczami tylko byli najczęściej. Ojciec im rzucał zręcznie materje najczęściej o gospodarce i o jej wypadkach. Czasem coś mówił z gazet o jakimś niezwykłym zdarzeniu. Często też wyprowadzał ich w pole o prognostrykach rolniczych, które zbierać lubił, choć i sam na tem ostro był kuty.

Kto miał więcej hambitu, śmiałości, ten starał się zawsze coś powiedzieć, żeby się potem tą rozmową przez cały tydzień u siebie w domu mógł popisywać i chwalić. A wszystko, co mówione, było tak roztropnie, tak uprzejmie, z taką naiwną ale pełną prawdziwej szlachetności prostotą, tak się żaden nie rozparł, nie rozdziawił, nieprzystojnego słowa nie wyrzekł, palcami nosa nie utarł, że aż miło było patrzeć!

Na stojącym na biurku czarnym, staroświeckim zegarze księdza biła jedenasta godzina. Ojciec mój dobywał swego zegarka, sprawdzał chwile szybko biegnącego czasu ze świętobliwego księdza klepsydrą i zwykle potem, powstając, powiedział: „Mości panowie, czasby już do domu Bożego”. Wszyscy kłaniali się pięknie i za ojcem kupą na Mszę św. ruszali.

W jesieni czasem, dawniej, kiedyś, kiedyś za bardzo malutkich lat moich, znalazł się który z pomiędzy tych zacnych i przyzwoitych ludzi, co powiedział: „Szkoda panicza pięknych trzewiczków; teraz błoto po cmentarzu”. I wziął mnie małego jak baranka na ręce i poniósł jak piłkę, a ja, objawszy go za szyję, całowałem za to w bielutką, czyściutką, jak alabaster łysinę.

Szlachta u plebana nie darmo już jadła zakąskę. Bo i pierwszej mu ją w ofercie obficie przysłała i na parę godzin przedtem w ławkach kościelnych na prawo chórem odśpiewała różaniec do Najświętszej Marji Panny. Odpowiadała im dyszkantem lewa strona ławek, przystojnie ubrana, miłszym i wabniejszym żon i córek tej szlachty głosem. Kobiety odziane były bez żadnego wymysłu, bez dzisiejszych brudnych i zgniecionych na głowie miejskich kape-luszów, na wileńskiej tandecie u smrodliwej Żydówki kupionych. A broń Boże, żeby się która z nich odwróciła za siebie, ku drzwiom kościoła spojrzała! Choć jej czasem i doprawdy, biedaczce, bardzo na serduszkę śwędziło, żeby jak najprędzej swojego miłego ujrzeć kawalera. A kawaler, gdyby po kościele bąki bić zechciał, *eo instanti* sto bizunów za powrotem do domu od ojca jegomościa pewnoby na

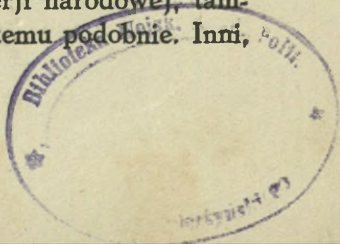
pamiątkę otrzymał. Staryby czapki z głowy jeszcze nie zdjął, karabeli nie odpasał a bizun ze ściany jak najprędzej na synała ściągnął.

Pierwsza niedziela miesiąca odbywa się tu zawsze z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu i wielką nazewnątrz kościoła procesją. Tu najstarsza i najpoważniejsza szlachta brała i niosła baldachim, inni trzymali plebana pod ręce, inni szli naprzód, robiąc mu drogę. Ci znowu zostawali za nim i ochraniali od ścisku święty chód jego.

Na Boże Ciało każdy w karmazynowych spodniach występował zwykle. A niejeden, komu na to bywało nie stanie, i w burakowym rosole żony płócienne gacie swoje wykapał i przykrasił, ale się u spodu karmazynowo koniecznie pokazał i przyzwoicie postawił.

Otoczeni w tej stronie zewsząd starostwami i my, i okoliczna szlachta tutejsza mieliśmy w owym czasie o granice prawie co tydzień smutne z chłopstwem starościńskim zatargi, niepokoje i śledztwa. Że w tym względzie wspólny był interes, ojciec mój w razie zarządzanych czy przeciw niemu, czy przeciw szlachcie śledztw i procesów, wzywał niekiedy sąsiedzką okoliczną szlachtę do siebie dla wspólnej narady i podtrzymania rzeczy wspólnemi dokumentami. Ja, młody błazenek, zwykle świadkiem tego bywałem.

Każdy z tej szlachty miał tytuł jakiś, którym go czczono koniecznie. Ten — pan rotmistrz, ten — pan chorąży, ten — towarzysz kawalerji narodowej, tamten — pan strukczaszy, łowczy i temu podobnie. Inni,



zwyczajem uświęconym nosili tytuły zdrobnione ojców swoich. Byli to: pan chorążyc, pan łowczyc. Wnukowie przyjmowali znowu w zupełności tytuły dziadów i znowu się w chorążych, łowczych zamieniali. Słowem, że bez „honoru” to jest bez tytułu ani kroku szlachcie dać nie mógł. Wyraz ten jednak „honor” miał jeszcze i inne znaczenie, które i po dziś dzień dotrwało. Jak się szlachcic chciał dowiedzieć o twoje familijne nazwisko, mówił: „Jak honor pański”. Poszło to stąd, że nazwisko wiecznie obok tytułu chodzić musiało. Dawniej jeszcze obok z prawdziwym honorem zawsze chodziło.

Kto tedy z możniejszych chciał być prawdziwie grzecznym, powinien był każdy tytuł szlachcica każdego dobrze zapamiętać. Grzeczniejszym był jeszcze ten, kto oprócz tytułu i imię chrzestne szlachcica wiedział i z ręcznie w ciągu rozmowy to tytuł, to imię naprzemian wciskał. Ojciec mój był nato wyborny! To już był najwyższy stopień szlacheckiego ugrzecznienia i bardzo szlachcicowi pochlebiał, bo pewien rodzaj z jednej przynajmniej strony poufałości udawał.

Prawdę mówiąc, mało z nich takich było, coby czytać, a mniej jeszcze, coby pisać umieli. Ale rzadki był bardzo, coby swego imienia i nazwiska nie potrafił podpisać. Dla testamentu, dla dokumentu, dla reformy i posagu córki, dla wezwania gdzieś z przypadku na świadka — to jest kiedy się gdzieś przyjdzie *insperato* podpisać! Nie można było tak, jak dziś, bezwstydnie i bez zarumienienia powiedzieć: „Przepraszam pana, ja pisać nie umiem!”

A jak to wszystko, nie umiając czytać i pisać, łacińskimi wyrazami mówiło o prawie, o procesach,



AL. ORŁOWSKI

SZLACHCIC TŁUSTY

manipulach i pozwach, to człowiek, co wtedy do szkół już chodził, tylko ramionami ścisnął i mądrości ich zazdrościł!

Szlachta nasza pomimo rabunków, konfederacyj, wojen i zawichrzeń ciągłych a ciągłych w tym kraju jeszcze podówczas miała pełne skrzynie najciekawszych i rozmaitych papierów, dokumentów, pergaminów. Zdradzona potem wkrótce i pozbawiona tych skarbów została przez miejskich adwokatów, paniczów, filutów i łotrów, którzy im te dowody pozabierali pod pozorem i obietnicą ułożenia z nich genealogicznego drzewa! Przez tych wielkiej ręki zbrodniarzy, co potem albo te papiery komu innemu możniejszemu sprzedali zabezpieczon, albo je po szynkach przepili i zastawili i sprawiedliwą śmiercią pożarli, idąc już na wieczny smołą i ogniem u szatana traktament, żadnego ich tutaj po sobie nie zostawili śladu, że dojsć potem nie można było, gdzie się to po nich podziało. Zabójcy nieszczęsni losu tych prostych a cnotliwych ludzi pierwsi może występna ręką przygotowali dzisiejszy byt nieszczęsny okolicznej szlachty. Niechaj ich imię będzie na wieki od pocziwych ludzi przekłète!

Po ścianach i szafach jeszcze wtedy dużo u szlachty i ksiąg staroświeckich bywało! Ojciec mój, zda mi się, w 1817 roku naznaczony przez rząd na lustrację statystyczną okolic szlacheckich w samych Szyłanach i Pielieszyszkach zgórą 180 tomów naliczył. A wiele z tych ksiąg było wielce ciekawych i rzadkich, mianowicie kronik. Jeszcze dotąd u jednego starego szlachcica, co czytać od dziada nie umie, jest pięknie w skórę oprawna księga „O magdeburgkiem

prawie", ale już oprócz Złotych Ołtarzyków na wszystkich, wiele tu jest, okolicach, jedna!

Owóż tedy, bywało, dziesięciu, piętnastu takiej szlachty stanęło u drzwi w salce ojca mojego na jego wezwanie. Podano śniadanie. Mówili z sobą długo. Każdy z nich znał każdy badył swojej odwiecznej fortuny, swojej ojcowizny. I każdy z nich znał także nasz sąsiedni najmniejszy kurhanek czy kopiec. Proszę tylko było patrzeć, posłuchać, jak to wszystko wogóle było przyzwoicie i rozsądnie. Jak każdy, chociaż cały splukany w swojej wiejskiej prostocie, w niczem przyzwoitości, którą radzi czysty rozsądek i szlachetna duma, nie uchybił nigdy. Szlachcic dla nieprzyjmuwanego przez obcych zwyczaju, dla mody, nie poniżając siebie, do kolana bywało uchylił, bo taki układ był między wszystkimi grzecznymi ludźmi przyjęty, ale tam widać było, bez żadnego z jego strony starania, tylko czystą grzeczność. On znał to jeszcze i pamiętał, że niedawno mógł być nawet i królem obrany!

Każdy z nich nadto, nie znając łacińskiego już języka, umiał zastosować do rzeczy i trafnie różne łacińskie u nas kursujące przysłowia. Wziął to po swoim ojcu.

— Panie Komornikowiczu, przyslijże mi z łaski swojej jutro ten dokument na zaścianek twój, Burakiszki. Tylkoż, panie Antoni, nie zapomnij o tem, bądź łaskaw.

— Jutro niezawodnie panu dobrodziejowi go przyszlę, albo i sam osobiście doręczę. Przyrzekłem. Jakże to zapomnieć? *Verbum nobile debet esse sta-*

bile — odpowiedział Komornikowicz. Jakże tu nie kochać takiego szlachcica!

Niektórzy z możniejszych, zatrzymywani na obiad, umieli jeść przyzwocie i zachować się u stołu tak, że ani wstydu, ani ambarasu czy to sobie, czy gospodarzowi nie robili nigdy. I nigdy na złość pannom rezydentkom, trzpiotkom, co tylko wzorki z ludzi zbierać lubiły i do śmiechu szukały przyczyny, na cel wziąć się nie dali!

Byli wprawdzie i tacy z nich, co się tylko wyłączyli oddawali myślistwu. Ci więcej zaburmaszyści i śmieli bywali często po innych domach sąsiedzkich, bo ojciec mój nie lubił myślistwa i wołał nie widzieć zwierzyny, niż ją u siebie zabijać. Tacy tedy przyjmowani częściej byli u innych naszych sąsiadów nam przyjaznych a szczególnie u braci Pęczkowskich, którzy i starą polską gościność w całym umieli utrzymać blasku i duże wszelkiego rodzaju, aż do sokołów, myślistwo trzymali. Zawsze u nich w sieniach przynajmniej dwóch wyuczonych czy jastrzębi, czy kobuzów siedziało. Toż i sąsiad nasz Karol Płoszczyński, choć kulawy a tłusty, tak, że jak czop wyglądał, kiedyś jednak myśliwy i amator, nie mogąc sam już mieć w tej rozrywce udziału, rad klaskał w ręce, jak stary furman z bicza, kiedy mu inni co upolowali.

Zapalonym, zawziętym, zaciętym, zabitym myśliwym był tu Józef Dymśa, chorążyc kawalerji narodowej, tęgi a odwieczny szlachcic z okolicy Sakowicz. Z ogromnemi wąsami, z miną zawadjacką zimą w szarej samodziałowej, latem w szarej z tkackiego niebielonego płótna kapocie albo suto jedwabne-

mi czarnymi taśmami obramowanej i szamerowanej węgiernie pokazywał się światu. Na dworze nigdyś go nie zobaczył inaczej, jak z torbą myśliwską i fuzją przez plecy. Pod dachem tylko fuzję w kąt stawiał, ale zawsze zatrzymywał torbę. Mogłeś wszakże być pewnym, że kiedyś go razem z fuzją i torbą na plecach spotkał wracającego do domu pod wieczór, już mu około tej torby z pięć zajęcy, z parę lisów, z dziesiątek jarząbków, kuropatw, słonek niezawodnie przytroczonych wisało.

A jak było miłe jego obejście się! Ile dowcipu w myśliwskim kłamstwie! Ile inwencji w kłamanych przygodach! Że tomy o tem całe możnaby napisać, i daleko ciekawszych od teraźniejszego markiza de Foudras, który taki sławny z tego, że o myślistwie pisze. A jaka w nim była pocziwa ku każdemu życzliwość! Jak go wszędzie przyjmowano przychylnie, jak go zatrzymywano wszędzie na wieczór, na obiad! Już dzisiaj nigdy nie trafi się drugi typ taki, choć zawsze polować, strzelać, zabijać będą.

Zajrzyjcież do jego kąta! Szlachcic, co się nazywa, dostatni. Ledwie, że nie sam jeden ma połowę okolicy Sakowicz, z lasami, rzekami, błotami, łowem bobrowym, sianocięciami, zaroślami, używaniami gruntami, słowem, ze wszystkim, co się w dawnych dokumentach pisało. Ale w domu u niego od śmierci żony nie znajdziecie żadnego porządku! „Ani płota, ani kołka“, jak mówią. Przez dach ciecze?... to łóżko swoje każe przenieść na inne miejsce. Uszaki pogniły?... Podeprzyjcie drzwi kołem! Niema chleba? Zanieście do sąsiada parę zajęcy i poproście,

żeby dla mnie samego bułkę chleba pożyczył! Bo parobcy i służba mieli dla tego dowoli wszystkiego. Dobrze mu nieraz było, kiedy już zziębłe nogi mógł przed własnem ogrzać ogniskiem! A to, co ubił, zaraz przyjaciołom i sąsiadom rozesał. Czesz mu kołki na głowie, on ci na to ani obróci językiem. Jakżeby był niemym! Celem życia jego był wilk, lis, zając, kuropatwa, jarząbek — a gdyby się zdarzył czy łoś, czy dzik, czy niedźwiedź? Odda całą fortunę! Niech to wszystko lichu weźmie! On ani kichnie, byleby tylko ze zwierzem grubym mógł prowadzić wojaczkę.

Drugim takim myśliwym, choć uboższym od Dymszy, najślawniejszym, najtrafniejszym strzelcem w lot i do celu był na mil kilkanaście naokoło znajomy szlachcic Jagintowicz z okolicy Bortkun.

Raz u Pęczkowskich przydybali i obeszli w puszczy niedźwiedzia. Zwierz to u nas w tym zakątku dosyć rzadki, bo już tu ledwie, że nie zupełnie patrjoci wyniszczyli lasy. Pęczkowscy tedy proszą, kto w Boga wierzy, każdego na obławę i rozumie się wobec trofeów potem na fetę. Ktoś napomknął, że trzebaby koniecznie i Jagintowicza zaprosić. Proszą go i posyłają konie.

Szlachcic, jak może, tak się wymawia! Na rany Chrystusa Pana wyprasza się, żeby mu dali pokój! Ze on na grubego zwierza nie polował nigdy. Ze ma żonę i dzieci, dla których żyć powinien!...

— Wiecie państwo — mówi — nasze przysłowie: „Na niedźwiedzie z łóżkiem, na dzika z trumną iść trzeba”. Kto się, kiedy mnie już nie stanie, opiekować będzie sierotami mojemi?...

Ale wszyscy na to w śmiech. I tak go naparli, że przez grzeczność i uszanowanie wyjść musiał na koniec nieborak, chociaż żadnej nie miał ochoty. Owszem, spotkawszy starego a głównego dojeżdżacza, powiada mu: „Konstanty, daj kieliszek wódki!... Słuchaj bracie i przyjacielu mój. Mam coś złe przecucie!... Postaw mnie tak, żeby niedźwiedź na mnie dzisiaj nie wyszedł. A dalibóg przyszlę ci ośminę żyta.

— Dobrze, kumie!

Stawi go tedy stary dojeżdżacz a łgarz nieporównany, Konstanty, tak, jak chciał Jagintowicz. Zaczyna się obława. Poklik ruszył. Mój Jagintowicz bezpieczny, postawiony na samym brzegu lasu, przy łączce przed zwalonem ogromnem drzewem ma tuż pod ręką pień duży, na którym sobie szczęśliwie fuzję położył i zwyczajnie, jak po myśliwkiem śniadaniu, drzemać zaczął. Ale „człtek strzela, Pan Bóg kule nosił”

Kiedy się pocziwiec najmniej tego spodziewał, raptem słyszy jakiś niezwykle szelest! Zagląda. Aż tu niedźwiedź ogromny prosto i galopem przez nogę na niego sady. Żle!...

Chwycił więc, sam nie wiedząc już jak, za swoją rusznicę. Niedźwiedź dosłyszał ruchu, spostrzegł go i zaraz, słupka stanawszy, na biednego Jagintowicza, jak w dym, mrużąc iść zaczął!

Jak już ten nieszczęsny niedźwiedź był blisko zwalonej kłody, nie było co czekać i Jagintowicz cały drżący, jak osina, zmierzył się, wypalił — i w ten moment sam upadł na ziemię a w niebogłosy gwałtu, co miał siły, wielkim rykiem wołać o pomoc zaczął!

Zdziwieni myśliwi strzałem, bo tylko co się poklik był zaczął, strwożeni straszliwemi, przerażającemi jękami i wołaniem „Ratujcie“, na wszystkie rozpaczliwe prowadzonym tony, myśliwi, mówię, biegną na ratunek! I cóż znajdują?

Oto z tej strony kłodu od lasu leży ogromny niedźwiedź na miejscu, że ani drgnął, ubity. Z tamtej strony kłody od łąki leży ciągle wrzeszczący z twarzą w trawę wgnieciony szlachcic...

Jagintowicz, nie wiedząc sam, że ubił na miejscu niedźwiedzia, i czekając tylko, że on go podstrzelony drzeć zacznie, padł na twarz zaraz po wystrzale, i wiele, biedak, upadłszy ze strachu nagrzeżył...

Wstydu jednak z tego zdarzenia było niewiele. Bo i całemu światu wiadomem było, że się szlachcic rycersko za Kościuszki przeciw ludziom stawiał i tchórzem nie był i na szczęście ubity niedźwiedź, choć natury śmiałej i rycerz, konając nie lepiej sobie od szlachcica postąpił! Więc kwita!

Naśmiano się tedy dowoli i na tem i polowanie i obławę w kilka minut z wielkim wszystkich myśliwych żalem skończono.

Zuchwalszy i pewniejszy siebie był szlachcic, zawołany także myśliwy, bodaj Słańczyk nazwiskiem, który wśród pewnej obławy, kiedy już niedźwiedź na znakomitym obywatelu, marszałku Brunoffie, zasiadł i dał mu odzież, a Brunoff do szlachcica wołał: „Panie Mateuszu, ratuj mnie na miłość Boską!“ targować się z Brunoffem począł.

— A dasz, panie marszałku, trzy beczki żyta?

— Dam! dam, co chcesz, tylko mnie ratuj!

— At, znam ja was wielkich panów! Kiedy trwoga, to do Boga! Jak zastrzelę, to mi i plew nie dasz! Nie dotrzymasz słowa!

— Dalibóg, panie Mateuszu, dotrzymam!

— Na rany Chrystusa?

— Na rany Chrystusa, przysięgam!

— No, kiedy tak..., zmierzył się i na Brunoffie siedzącego odrazu ubił niedźwiedzia...

Tę przygodę Michał Kossakowski, pisarz polny litewski, szwagier Brunoffa, odrysował był pięknie akwarelą w Żejmach. Nie wiem, gdzie się to potem podziało.

A dzisiaj szlachcic i z bronią w ręku żaby się boi i od niej, jak od zapowietrzonego, odskoczy! Jakże w powstaniu rabować! — to pierwszy majster.

Niepospolitym też w swoim rodzaju szlachcicem był naprzykład sławny Ratomski z okolicy Dowołgowicz. Suchy, chudy, wysmukły, zawiędły nosił zawsze dobrze wytartą, że aż szwy żółte świeciły, grubą zielono ufarbowaną kapotę. I koniecznie pod nią albo w lewym ręku w zielonej takiejże sukiennej pochwie dawną polską szabelkę, którą „scyzorykiem” nazywał. Kiedy szabla była pod kapotą, trzymał rękę przyciśniętą do boku, kiedy ją miał w ręku, machał nią, jakby drwa zwolna piłował. Inaczej go nie zobaczył nigdy.

Byłem dzieckiem podówczas i chodziłem do szkół w Kownie. Widywałem go tam często, jak bywało do miasta przyjedzie. A i studenci jeden drugiemu pokazywali go sobie jak niepospolitego człowieka. Wszyscy bowiem biedniejsi studenci, co go znali, czci-

li go, jak ojca. Już kiedy się on czasem z przypadku koło bramy szkolnej pokazał, Żydek noszący francuskie dla studentów ciasteczka na łokieć w górę z radości podskoczył. Bo te wszystkie swoje haniebne zakalce najpewniej zaraz co do nogi wyprzedał. A wyprzedał je na traktament od studentów dla Ratomskiego. Młodzież ta bowiem, nie mając się często gdzie podziać, w wakacje lub święta, zawsze do niego jeździła i tam czas swój przykładnie i mile trawiła na uczciwych wiejskich rozrywkach. Fuzyjka, węda, siatka, pastki to była zwyczajna u niego zabawa dla młodych ludzi. Ratomski stary był ich opatrnością!

Rad był szlachcic zawsze gościom swoim, lubił młodzież i lubił jej szumek. Zapraszał ją chętnie do siebie i stawiał, co Bóg dał w tym pocziwym domu. Widać było ze wszystkiego, nawet z ruchów jego szykownych, że kiedyś za młodu żołd wojskowy traktował i że tęgim być musiał wojakiem. Ale o tem nigdy ani słowa nie mówił!

Tymczasem powszechnie wiadome było, że nikt mu ani w palcaty ani na szablę okolicznie sprostać nie mógł. Uczył więc bić się na szable z ochoty, owszem zachęcał do tego w czasie wakacyj swoich młodych przyjaciół. Odkrywał im pojedyunku szczęśliwego sekreta, pokazywał, jak sztucznie krzyżowym ścięciem musnąć po uchu i palcach przeciwnika swojego, jak go liznąć przez łeb lub jagodę. I za to młodzież serdecznie wdzięczną mu była. Ale jak myślicie, jak on lekcje swoje zaczynał? Oto stawiał ucznia o południu naprzeciw lipcowego słońca i patrzeć na nie kazał bez zmrużenia oka! To było jego

abecadło! Sam, jak orzeł, doprawdy patrzył na słońce i ani drgnął nigdy powieką!

„Jak się tego“, powiadał: „mój chłopcze, nauczysz, dopiero już przed blaskiem szabli nie drgnie twoje oko!“ To historyczne.

Kto kiedy wyzwiał kogo z obywateli na pojedynek, a bywało to zwykle w sejmikowej porze, toż słano zaraz co prędzej do Ratomskiego: kto go pierwszej na sekundanta dostanie! A on każdemu pierwszemu ochotnie służył.

Profesorowie nasi z szacunkiem spotykali tego jarego jeszcze starca. A siwy, srogich obyczajów i genjalny prefekt nasz Ławrynowicz ze szczególnym witał go respektem i czasem nawet na kieliszek dobrze wytrawionego od polskich czasów w sklepach jezuickich wina do siebie zaprosił. Prowadzenie się Ratomskiego było zawsze wzorowe i zasługiwało na tę braterską dystynkcję a szczególnie w Kownie, gdzie już był taki odwieczny obyczaj, że się tam wszyscy żyjący kochali z sobą jak bracia. Tak doprawdy, jakby do jednej należeli rodziny...

Za powrotem moim do Litwy po kilkunastoletniej wędrownie ciekawy byłem o wszystkich znajomych...

Pytałem w Kownie i o Ratomskiego.

Ratomski już nie żył. Cóż się okazało? Starzec ten dopiero na śmiertelnem łożu wyznał, że tyle lat tu mieszkał pod przybranem nazwiskiem! Że rzeczywiście nazywał się Kuszejko i był rodem z głębokiej Żmudzi. Że pierwsze lata młodości w ostałkach konfederacji przepędził. Że potem, ubiwszy własną ręką kilku kozaków w czasie przedostatnich już przeszłego wieku z Rosją konwulsyjnych zatargów, bojąc się

jej zemsty, zmienił nazwisko. A mimojazdem wykradłszy mniszkę, z którą się ożenił, uciekł do Dowołgowicz na fortunę żony swojej i po jej śmierci stał się tej dziedzicem...

To tedy było jeszcze podówczas w różnych stanowiskach i życie i byt ówczesnej okolicznej szlachty.

A dzisiaj?...

III.

Dzisiaj.

Dzisiaj naprzykład pomimo to, że również dobrego i ludzkiego mamy plebana, nie dojrzysz tam w niedzielę ani jednego szlachcica! Gdzież oni są? Wstydzą się siebie samych i chowają się po kątach, jak wilcy. W samodziiałowych oberwanych, obdartych, poprutych po wszystkich szwach kapotach, o jednym zwyczajnie guziku, w butach ze wszystkich stron przedrylowanych nawylot, z rozczochraną głową, najeżonemi wąsami, z rękami, które się od pół wieku nie spotkały z wodą, z brodą jak szczecina stojącą, z fajką w gębie, z kapszukiem zawieszonym na tym jedynym, co ocalał, guziku, szlachcic dzisiejszy okoliczny, piechotą albo gorzej jeszcze, bo na chudej, zdychającej z głodu i niedozoru szkapie niby do kościoła przybyły, zaczyna swe nabożeństwo od szynku obok chłopów, którzy mu przez resztę dawnych zwyczajów i pamiątek pierwsze miejsce za stołem szynkowym dają, co wiele próżności i dumie jego pochlebia. Nim się Msza św. zacznie, już on tak gotów, że niełatwo do kościoła dojdzie. Jak się gdzie z tobą spotka, nos garścią uciera i w oczach twoich na ziemię bez ceremonji, co ma w garści, rzuca. Czasem

potem połą swojej kapoty, jak zgrzeblem, po tym czerwonym nosie przejedzie. A plwa co moment, cedząc ślinę przez zęby, że mu ona, jak z jakiej sikawki, z szelestem gwiżdżącym z paszczek wytryska. Jemu się zdaje, że to i grzecznie i pięknie! Że to odpowiada godności jego szlacheckiej, bo chłop tak nie robi. A pamiętając prostoduszną, ale jak można najrzadziej używaną w takich razach ojca swojego manierę, nieczystą łapą na odlew plwając zasłania. Wejdzie ci do pokoju przypadkiem. To się o drzwi, o uszak, o kredens, o to, co ma pod ręką, czy nogą, wszystkimi członkami rozwali, rozdziawi, rozeprze. i to stale robić będzie, chociażby miał tylko lat piętnaście, dwadzieścia. Starego ojca swojego, jeśli ten jeszcze, dożywając wieku, ze łzami w nawpół ślepych już oczach na synka patrzy, i kijem czasem potraktować umie. A gbur, a brutal, a paskudnik, a niewdzięcznik, a osioł na każdym a na każdym kroku i na każdym słowie, że aż smutek bierze!..

W każdej okolicy musi być choć jeden wesolek, dowcipniś, którego i w dzień, ale szczególnie w długie jesienne wieczory i w dnie świąteczne wszędzie z radością przyjmują. Zwykle to bywa wielki i tłusty basałyk, bo się wszędzie po gościnie obżera. Koncepty jego są tak proste i głupie, jak tylko sobie wyobrazić można. Każdy pierwszy chłopiek białoruski sto razy w tym względzie ma więcej od niego prawdziwego ugrzecznienia, dowcipu i roli. Jak więc taki jegomość wejdzie do izby, zamiast przyjętego zwyczaju „Niech będzie pochwalony” powie z uśmiechem: „Pokój temu domowi”. Odpowiadają na to czy gospodyni, czy jej córka, czy obie razem: „I temu, co

mówi". A mówią to także z miną uśmiechającą się a zdającą się pokazywać, że i one coś dowcipnego odrzekły.

Kawaler obdarty, nieuczesany i brudny, ma dla tego, że szlachcic, nieodbicie konieczną fajkę w gębie. A elegant, kawaler od waszecia, to jest mający choćby podarte buty na nogach i niezupełnie dziurawą sagatysową kapotę, w formie paltota uszytą, zamiast fajki ma w gębie smrodliwe cygaro z najobrzydliwszego tytuniu, własnym kunsztem skrócone. Już wtedy serca panienek drżą przed najeźdźnikiem jak listek osiny! Każda myśli w duszy: „Ach, jaki on miły! jaki słodki!”

Bajbak, stojąc za stołem lub ławą, gdzie siedzi panna, puszcza jej w rodzaju grzecznej niespodzianki ogromny kłęb haniebnego dymu. Panna się na to ogląda na niego z uśmiechem, pokazując mu, że ten dowcip najzupełniej pojmuje. A kawaler przy tem obróceniu twarzy czasem ją w lot pocałuje. Ale, że to przy matce, więc nie grzech, a tylko do wspólnej wesołości i śmiechu służy.

Tymczasem skończyła się fajka. Nasz kawaler wytrząsł ją na pannę, a resztę popiołu w oczy matce i na rozczochrane jej włosy wydmuchnął, co się wielce wszystkim obecnym podobało. Tak dalece, że córka powiada: „Cóż mamo, czy nie potraktować czem pana Ignacego?”

Następuje zatem eksportacja na brudnej misie jełkiego masła a tymczasem gotują „krupnik” z miodem, wyproszonym przed paru dniami u bogatszego sąsiada niby na lekarstwo. Bo nie każdemu szlachcicowi dzisiejszemu a szlachcicowi krwi prawdziwej

przystoi chować własne pszczoły. Naco ten zachód? A potem kasa ją i twarz puchnie od tego! „Mnie i tak każdy pozna i uszanuje, choć miodu nie będzie, dla tego, że ja rodowity szlachcic!” I w rzeczy samej takie poniżenie osobistej godności znoszą ci tylko ciemni i na żarty sąsiadów narażeni szlachta, którzy się skrzętnie i pracą i gospodarką a zatem i pszczołami zajmować muszą. A takich bardzo mało!... Ponieważ jużśmy o nim wspomnieli, powiedzmyż zatem słów kilka o tym sławnym, powszechnie wielbionym „krupniku”...

Potrawa, krupnikiem od krup zwana, jest codziennem zwyczajnem jadłem, z krup, wody, soli i mięsa przyrządzonem. Jest to gatunek naszego rosółu, czy kiedy chcesz, klejem krup zamaczonego cudzoziemskiego buljonu. Czasem szlachcianka dziwnie go smacznie i czysto *e per la bocca, e per gli occhi* przygotować umie. Ale krupnik trunek, o ileż wyższe, szlachetniejsze, poważniejsze od tego krupnika jadała zajmuje miejsce! To — parobek, tamten — książę. Krupnik i krupnik! Patrzcie, moi państwo, jak też same dźwięki artykułowanego głosu w tymże samym języku potężną dłońią i w naturze swojej i w znaczeniu swoim spierają się z sobą! Co to nasze przysłowie: „Koń i okoń” — to nie tak do siebie podobne. Gotować krupnik, pić krupnik, znaczy przygotować a potem pić wódkę, przygotowaną na kształt palonego ponczu. Każda gospoia musi to umieć przyrządzić koniecznie, jak musi umieć swój pacierz, a może i lepiej jeszcze. Ale, o potęgę szczególnych zdolności! o darze ręki! o siłę genjuszu! W każdej okolicy ledwie znajdziesz mimo to wszystko po jednej

takiej szlachciance, coby prawdziwym talentem w tym względzie słynęła! Na krupnik pani Janowej jadą o mil dziesięć umyślnie, oblizując się zgóry po pięć razy na milę. Pani Józefowej krupnikiem czasem gość, po swojemu grzeczny, psu oczy pod ławą zaleje!

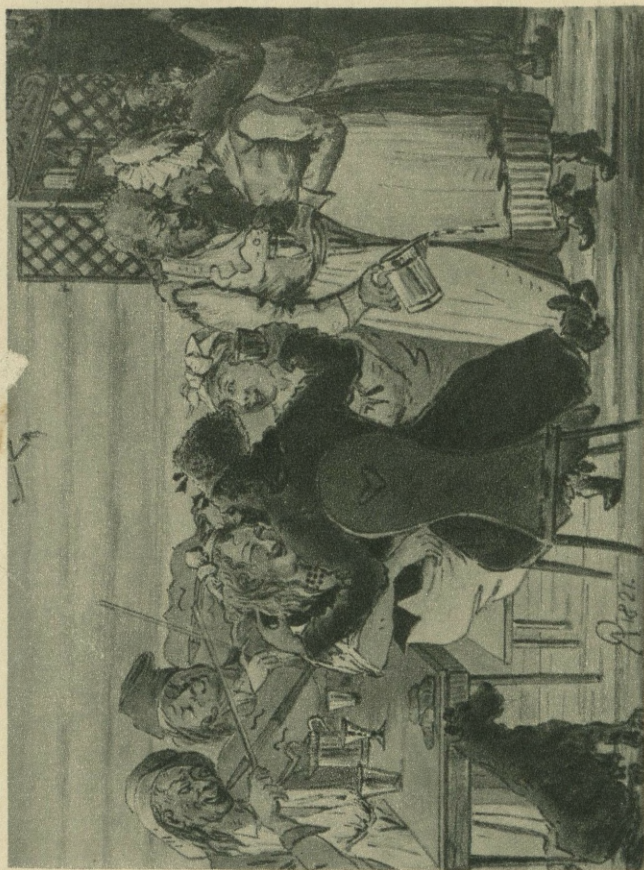
Robi się zaś krupnik dwojakim sposobem.

a) Albo palnym, ognistym, ożywionym, wesołym na stole wśród pełnych atyckiego dowcipu a rozwalonych około stołu po ławach w najsprzecznieszych kierunkach gości, których zarosłe brody i wąsy od różnofarbnych płomieni przybierają fantastyczny koloryt i kształty — ale wtedy mniej krupniku będzie.

b) Albo skrzętniejszym, oszczędniejszym, osamotnionym sposobem, gotując krupnik na kuchni w piecu. A wtedy brody i wąsy zazierających tam o moment ciekawych i niecierpliwych bałwanów pierwiastkową prototypowej gnuśności zachowują cechę.

W pierwszym razie do wielkiej, jaką Bóg dał w domu, glinianej misy, wrzuciwszy po kilka szczypt dobytego z kuferka tłuczonego cynamonu, goździków, imbiru, angielskiego pieprzu, dodawszy wedle potrzeby i talentu gospodyni stosowną ilość miodu, nalewa się wódka, stawia z misą na stole i zapala drewnuszek, łuczynką czy trzaską z pod ławy na razie schwyconą... Bo papieru nigdzie a nigdzie naokoło w całej okolicy ani krzty niema. Skądby się to wzięło u szlachty, kiedy sami panowie produkt ten za niepotrzebny uważają zbytek!

Jak się wódka, buchająca płomieniem, przegryzie dobrze działaniem i promienistego i wyprowadzonego z cierpliwości utajonego w niej ciepłika, jak się już



SCENA W KARCZMIE

(według współczesnej litografii wileńskiej naśladowującej groteskę Al. Orłowskiego)

sam sens z aromatycznych korzeni wyciągnie a para, rozchodząca się po izbie, jakby piórkiem po nosie, po gardzielach załechce, wspólnym wtedy obecnych płuc zadęciem gaszą się te niebieskie ognie. I kieliszki, szklanki, cynowe i drewniane łyżki, co kto ma pod ręką, zrazu gorącym, potem coraz chłodniejszym ciemno-bursztynowym trunkiem bogate przy wdzięcznem głowy schyleniu „od waćpana do waćpana” chodzą.

Czasem się tam czy z wiśni, czy z maliny podciśnie soku. Wtedy nasz pocziwy trunek zrzuca żółto-gorący swój kontusz i w karmazynach staje. Ale strój taki tylko od wielkiego święta! Oto, któżby to jeszcze myślał mieć sok malinowy, kiedy maliny przez całe lato same się ludziom cisną do ręki! Tego to już niema zwyczajul

A i na co ta fatyga... Potrzeba?... to i będzie!

— Józiu! Józiu! siądź oklep na konia i pojedź prędko, do pana Wirszwiłły prosić na miłość Pana Boga choć parę łyżek takiego czy takiego soku. — To i będzie! I butelkę jeszcze w zysku dostanę, bo przecież Józio, co z próżnemi rękami przyjechał, przy całym sprycie swoim w garści soku zawieźć nie może...

Bywają zdarzenia, a tych sama tylko gospodyni domu urodzonym i niezaprzeczonym jest sędzią, że tak, jak się powiedziało, zaprawiona wódka zamiast być wlana do misy i palona jak chrześcijański męczennik na ogniu, ma być stryczkiem, jak turecki pasza, duszona. Wówczas wlewa się wódkę do garnka z przykrywą. Garnek około szyi oblepia się ciastem albo sznurem z rozmoczonego miękisza od chleba i stawia się na żarze bez płomienia czy w piecu, czy też na kuchni

pod bacznem samej gospodyni okiem. Wódka tu prędko i zżymać się i drgać konwulsyjnie i gotować się zaczyna. Garnek, zamieniony w pierwiastkowy parowy kociołek Papina, dręczy szumiące wyziewy i pary lotnego napitku. Korzenie z bólem serca, chcąc nie chcąc, całe swoje indyjskie oddają mu bogactwa i w jednej tylko pozostają koszulce. A kiedy wszystko do pożądaney doszło już mety, garnek się wśród oklasków bawolego głosu odbija. Zeschłe i spalone ciasto leci pod ławę. Pokrywa do stu szatanów. A nektar miłym gościom nakoniec podniebienie i głaszczcze i drażni.

Przy tej operacji, użytej niekiedy w rodzaju kleszczy nie tak prędko pierwszym sposobem rodzącego się krupniku, zdarza się nieraz, że niecierpliwy dowcipniś czy młokos, nie czekając hasła gospodyni domu, odbiwszy łakomą ręką wcześniej niż potrzeba dobroczynny garnek, rozgniewa tą zuchwałością kłokoczącą, rozdrażnioną i parującą na wszystkie strony wódkę. Wówczas się ona od żaru płomieniem zapali a bajbakowi i brwi, i wasy, i kudły w ogniste ujmie nożyce i po tej ozdób utracie głowa dotąd bawola, zupełnie się staje do osłej a niekiedy i do głowy węża podobna... Wódka wyłącznie tylko z cynamonem, imbierem i gałganem palona, nazywa się „trojanką”. To odmiana tylko, ale nie rodzaj. Tę właśnie tutaj w połogach zaraz po rozwiązaniu jako zupełnie niewinna, położnicom podają. Już to zwyczaj przyjęty. A prawdę wyznam, nie widziałem, żeby był kiedykolwiek szkodliwy, choć tak z teorią i rozumem niezgodny! Trzeba, dziatki, zawsze prawdę powiedzieć, choć ona czasem z naszym się zdaniem nie zgadza!...

A kobiety?... Nie tykajmy kobiet!... To zawsze matki!... Najlepiej, najrozumniej, być dla białogłów zawsze a zawsze grzecznym i nic o nich, chyba z pochwałą, nie mówić. Ten one mają wspólny z umarłymi przywilej.

Nic więc o tem nie mówmy — naco to potrzebne! Ale przeczytajcie, kto ciekawy, pod tą datą Kromera, choćby dla zabawki. Jakiś stary szlachcic wymyślił niegrzeczne przysłowie: „U kobiety włos długi a rozum krótki”. On, jak stary, nie myślał o tem, że naco nam ich rozum, nam trzeba ich duszy, ich serca! To sto razy i za życia i po śmierci lepsze...

Serca czułe, serca tklive, serca, które w tym wieku osobistych widoków, w wieku tej ciężkiej niby dla postępu i szczęścia przyszłych pokoleń pracy nie pozbyłyście się jeszcze niewinnych a pełnych słodyczy uniesień duszy, jakiemi jedna płeć drugiej płci drogę młodości wyściela! Wy, co życie kwiatu przenosicie jeszcze nad jego owoce! Kochankowie, kochanki, poeci! poeci naszego kraju, łaskawego tutaj dajcie mi ucha!

Posłuchajcie, co są Szyłany!... Królestwo miłości jest jeszcze na Litwie! A wy o tem nie wiecie! A ono tylko o pół mili, o pół mili tylko ode mnie!...

Szyłany, odsunięte nieco od sinej a żwawej wody naszego Niemna, od zielonych gajów naszych dalekie, przerzedzonym ręką własnych mieszkańców sosnowym otoczone borem, na samych prawie piaskowych stoją wydmuchach. Kilka starożytnych, niedawno jeszcze dosyć zamożnych, prawdziwie szlacheckich rodzin, odwiecznie tą częścią ziemi władają. Szczycą

się słusznie one z posiadanych i aż dotąd w ich rękę będących przywilejów i nadań króla Stefana, który zawsze wiedział, co robił i co dla kogo zrobił. Do tych kilku starych, jak świat, domów przybyło z biegiem czasu kilkanaście innych. To już ludzie nowi w tej okolicy, choć także od stu lat i więcej zamieszkania i władania tam swoje usprawiedliwić i wykazać mogą. Ale to wszystko nic nie znaczy! To i gdzieindziej znaleźć możesz. Znajdziesz to może łatwo w tych stronach i w Zwirżdanach, i w Sakowiczach, i w Klidziach, znajdziesz to i w Witołdowych tatarskich Reyżach. W Szyłanach to dla nas ważne, że kiedyś jakaś dobra, tkliwa i potulna wróżka w przełocie swoim nad tą okolicą tutaj kwiecisty swój wianek upuścić musiała i tym sposobem błogosławieństwa czułego serca na tę sprowadziła ziemię.

Przejdź świat, jak Litwa szeroka, i wzdłuż, i wpoprzek, nigdzie tak się ludzie nie kochają na zabój, jak się kochają w Szyłanach!

Od kilku już wieków nie było dotąd przypadku, żeby szlachcianka z Szyłan stanęła do ślubu bez ślicznego, jak aniołek, dzieciątka na rękę, albo go nie obiecywała natychmiast po ślubie światu pokazać!

To już tak pewne, jak obwarzanek za grosz. Kłóźby mógł pomyśleć, patrząc na te wydmuchy, na te smutnych sosen ustawiczne kolce, że tu szczególnie serduszka nadniemeńskich szlachcianek tak bardzo rozmiękną. A jednak tak jest w istocie.

Proboszczowie wszyscy od antenatów po dzień dzisiejszy włącznie skrobą się w łysinę, oplakują zgorszenie a chrzty i śluby dają a dają, że ledwie im ręce od tego nie spuchną. Często nawet i po biskupie

i po papieskie przychodzi im słać dyspensy, tak się niekiedy mimo wszelkiej zwady krew bliska do bliskiej krwi garnie i ciśnie!

Mówią, że pop jakiś i kiedyś tę z całej nauki swej biblijnej wycisnął prawdę, że świat albo się czubi, albo się kocha. Cała ta ostatnia połowa życia kolei, tak trafnie zebrana, najzupełniej potwierdza się w Szyłanach.

Jużciż się i czubią. Słowa niema! Ale, że się nigdzie tak srodze nie kochają, jak tutaj, to także prawda, jak dwa razy dwa — cztery. A nawet czubią się najczęściej — o co? A o co się czubią koguty?... o kurę!

Czasem wprowadzie tylko i to ledwo, że raz a najwięcej dwa na tydzień wezmą się za łby u pana Mordchela o wódkę, — ale to mizerja. Niema o czym i mówić!

Mordchel, Żyd stary, bogaty, gburowaty, poważny, skryty, dyplomatycznie umiejący milczeć, zagadkami umiejący mówić, zdaniami umiejący odpowiadać, Mordchel, który już całą szlachecką w Szyłanach krew wypił a tylko teraz dopija jej limfę, jest moralnym ojcem, jest wyrocznią całej okolicy; jest pierwszym jej doradcą. Nawet się litewski bożek miłości i piękna jego matka długiej Mordchela nie wzdragają brody i pokłonnice swoje jego poruczają opiece i radzie.

Dosyć powiedzieć, że szlachta dobrowolnie i jednomyślnie, co tak rzadko a prawie nigdy u szlachty nie bywa, „prezydentem” go swoim nazwał! I takie miano od pół wieku stale mu służy. Mło-

de nawet pokolenie żadnego opozycyjnego w tym względzie nie dało kroku, żadnej przeciwnej nie przegłosowało uchwały!

Szlachcic szyłański czy młody, czy stary, codzień po razy kilka do pana prezydenta na radę, pod samym dnem kufła u niego siedzącą, statecznie przychodzi. Jak nie ma czem zapłacić, a to ustawicznie po kilka razy na dzień bywa, daje Żydowi przez tegoż Żyda pisane karteczki. Po roku a czasem po dwóch latach dla oszczędzenia waloru stemplowego papieru, z takich karteczek robią się obligi i weksle. Z obligów przechodzi się na zastawę sched. I Mordchel nakoniec tak prostym sposobem stał się Perkunasem Szyłań.

Każdy szlachcic, jak jest wokoło, wie o tem, że jak Mordchel brwi nasroży i zmarszczy, jak broda tylko potrząśnie, wszystka szlachta szyłańska, wiele jej jest, z siedzib swoich na łeb na szyję do kaduka polecą. To też go cały świat szyłański szanuje! jak oka we łbie. To też mu pali ciągle kadzidła, jak staremu dębowi w Romnowe. To też się każdy wdzięczy do tej siwej brody! jak niegdyś do ślicznej szyłańskiej rusalki. To też, by go w duszy w łyżce wody z rozkoszą utopił! gdyby się Syberji nie lękał... A utopiłby za co? Za to, że się szlachcic przez lat dwadzieścia, trzydzieści, topił a topił w tej smacznej wódce prezydenta Mordchela. A teraz płacić za to trzeba! Otóż to wdzięczność ludzka. Ale gdzież niema na świecie niewdzięcznych? I w Szyłańach nawet muszą być oni! Dajmy temu już pokój. To są interesy męskie. Te bodaj we wszystkich okolicach sobie podobne. Tu o płć piękną nam idzie.

Czyż wszystko o płci pięknej mówić? Nie. Miłość się kocha we wstydlivych i skromnych zasłonach. Nie chciejmy ich podnosić. Ale, gdzie idzie o wódkę, tam podnieść sam kancik zasłony rzecz przyzwoita i godziwa, i skromna.

Otóż płęć piękna, tylko nawiasem usteczka swoje w tym łudzającym i zdradliwym trunku umoczy. „Potroszkę, a często, i samej jednej” — to prawo matek. „Często a z tobą jednym, mój drogi Józiu” — to prawo córek. Tego i skromność i przyzwoitość koniecznie wymaga.

Któż nawiasem tej sobie nie zrobi uwagi, że litera prawa a wykonanie jego dosłowne tylko się w jednej praktykuje Anglii. A ona tak od nas daleko! Dobry ton szlachcianki, bez względu na różnicę wieku powszechnie przyjęty, każe tę śliczną buzię zmarszczyć po każdym hauście wódeczki. A potem, wyprostowawszy ją, na ten cudny kopyt, w jaki go dobroczynna szyłańska Milda wykształciła, uśmiechać się do obok siedzącego Lindora, bielutkie do niego wyszczerzać ząbki i kochać go galopem, sadząc, jak młody na przyprzążce konik. Niewiasta jest zawsze i wszędzie niewiastą. Główne jej rysy są zawsze też same. Ona, jakem już gdzieś powiedział, kochając się, nie kocha mężczyzny, ale kocha w nim utworzony przez siebie samą „ideał”. Fizjonomja ogólna szyłańskiej ludzkości na pierwszy rzut oka nie różni się od głównych rysów innych szlacheckich okolic. Nie pytaj się tedy, jak pod względem ludzi wyglądają Szyłany.

Kilku starych safandulów po staroświecku wąsatych z siwym już włosem, kilkunastu młodych dla

wdzięku raz tylko na miesiąc golących się mężczyzn, kilkudziesięciu młokosów i malców bez brody a już kochających, zakochanych, kochanych i kwilących na gniazdo: to skład okolicy Szyłan tak, jak każdej innej. Ale nie we wdziękach miłość składa zwykle swe jaja! Aa..., w ideale!... a tak, bo i prawda!

Zobaczcież tego wielkiego mazgaja, tego gapi-muchę, któremu i z nosa i gęby śliny cieką po twarzy. Za nim to szaleją szyłańskie nadobne dziewice, ale to tak, że go sobie jedna przed drugą wyrывa! Że się o niego czasem u pana Mordchela i do małutkich na siebie wezmą kułaków i pięści! Mówilem, że tu królestwo miłości, dziwić się więc temu byłoby zgorszeniem. Dodajmyż do tego, że w królestwie ślepych jednooki zawsze na króla wybierany bywał.

Nie wadzi jednakże zdaleka popatrzeć na te zwycięskie młodego szlachcica zalety.

Ideał nasz mył się po raz ostatni na Zielone Świątki, a teraz, chwała Panu Bogu, mamy Gromniczną. Brody nie goli często dla tego, że widział w mieście, jak i panowie z brodami chodzą. Grzebień swoje, i gęsty, i rzadki, zahandlował na złamany i zręcznie sklejoncy cybuch z wnukiem prezydenta Mordchela, który go, bawiąc się, ze śmieci w Niemoniunach wyciągnął i pomaleńku handlować wcześniej się uczy. Bez cybuchu i fajki obejść się nie może szlachciatko. A swój na nieszczęście przed kilku tygodniami na grzbiecie Żyda spotkanego na gościńcu zostawił. O to u asesora ma z tymże Żydem sprawę, który się ćwiercią owsa najchwalebniej dla honoru krwi szlacheckiej zakończy. Nie licząc sławy z tej

wojaczki u płci pięknej nabytej. Smutno mu trochę, a wielce nudno bez grzebienia tem więcej, że i włosy po średniowiecznemu zapuścił. Ale Pan Bóg dla skrobania głowy dał ludziom długie paznokcie. To też ich nasz ideał bez miłosierdzia w tym przyrodzonym celu używa. A buty? Co?... buty? Któż zaś widział dzisiaj w butach chodzić? Naco ten daremny ciężar? Naco te zbytki? i nagniotki jeszcze w dodatku?

Wrodzony wstyd i skromność nie pozwalają temu powabnemu, miłutkiemu chłopcu ani raz co miesiąc nawet przemienić bielizny. A przytem i chłodne powietrze. Nie chce się... zimno! A przytem i matula jego ciągle u „prezydenta” swojego na prawniczej radzie, a przytem i siostrzyczki jego czy u prezydenta, czy za węglami odryn i stodół na miłosnej znajdują się radzie. Jak więc już raz uda mu się to zrzucić z siebie, cały dom, i panowie, i słudzy, dziwią się dziwem wielkim, że ta koszula na ziemi nie wiedzieć od czego sama się rusza! Młodzieniec czasem, kiedy mu sprzyja wesoły humor, chodzi o zakład z kolegami swoimi, czego jest więcej w jego kapocie czy dziur, czy całych sukni kawałków. Przegrana załatwia się zawsze przed prezydencją, śmiejącego się całym sercem i duszą z tego „dowcipu” pocziwego Mordchela. To oberwanie sukni nie bije bardzo w niczyje oko. Wiadome jest правило sztuki malarskiej dla oka naszego ułożone od wieków. Nigdzie bijącej ostrości, wszędzie harmonja i miękkość. To też młodzieniec nasz, resztę odzieży swojej trzymający w zupełnej z kapotą harmonji, łagodzi jeszcze wzrok przechodnia swoją zuchwale na bakier osadzoną na gło-

wie czapką. Gdzie także dziury z całością o wyścigi chodzą i splekanym na kawałki miarkują się daszkiem.

Dawno już mówią ludzie, że się rodzaj nasz ciągle w rozmiarach swoich umniejszać zaczyna, że ludzie coraz we wzroście swoim maleją. Odkopywane tu i ówdzie olbrzymie kościotrupy tego w oczach nas, prostych ludzi, dowodzić się zdają. Lubo uczeni, na swojej opierając się logice, temu przeczyć zwykli. Kiedy nauka już taki wlewa w nich upór, że własnym oczom nie dają wiary, niechże raczą zarzecz przynajmniej do Szyłan. Tu się na mnogich przekonają przykładach, jak się ludzie odednia do dnia w coraz słabsze zamieniają istoty. Szlachcic okoliczny, a szczególnie szyłańskiej, tak ma już wszystkie kostki i stawy słabo od przyrodzenia związane, że nigdzie ani na chwilę prosto stanąć i prosto trzymać się nie może. Musi się natychmiast oprzeć i umocować o ścianę, uszak, drzewo, lub co mu podpadnie pod oko. Ręce także o własnej sile na własnych pętlach wisieć nie mogą. Trzeba je koniecznie trzymać w kieszeniach, w kieszeniach dziurawych, ale zawsze jakąś dających podporę, a tem dogodniejszych, im więcej dobrą fantazję szlachecką tym malowniczym podnoszą układem.

Nie małą może taki filozof ludzkości uczynił przysługę, któryby się chciał na docieczenie tego poświęcić, jaki wpływ w naszym wieku na ludzkie rozumy wywiera i wywarł już dotąd dym narkotyczny tytniu, całej kuli ziemskiej przepełniający atmosferę. Ale żeśmy tutaj na lekcje filozofji nie przyszli, powiedzmy tylko, że u naszego młodzieńca fajka nie wychodzi nigdy z młodych, kraśnych i bujnych ust jego. Pali

on ją w domu, w gościnie, u stóp kochanki, w gumnie, w oborze, w odrynie, w karczmie, paliłby ją zda się nawet i w kościele, gdyby na to u proboszcza nie było lekarstwa...

Więc boso, obdarto, z fajką w ustach, którą już nawet parę domostw spalił, stoimy sobie oparci o rozwaloną domu naszego jedną tylko ścianę, ciesząc się, że jeszcze trzy jego ściany zostały i że na ten rok bez reperacji się obejdzie. Aż tutaj oto wybiega akurat takiż sam, jak i my, słowo w słowo zewnątrznie do nas podobny nasz młody przyjaciel, pan Józef i rzeknie: „Panie Janie, piękna dziś pogoda. Pójdziem na blech!”

— Pójdziem. Zgoda!

— A potem w nocy pójdziemy kraść w sadzie u sąsiada owoce, ogórki!

— Che, che, che! dalibóg prawda!... dobrze braciszku... pójdziem! — I zaciera ręce z radości! I rzą do siebie wzajemnie. Tu zaraz stary ojciec wychodzi.

— Synu, pójdziem bronować i orać!

— Tatuniu, coś mnie dzisiaj tak niedobrze! Ot, tak kości bołą, tak kości łamie i łamie, że ani ruszyć się nie mogę. Widzicie, że ledwie się z chaty tutaj pod ścianę wywlokłem! Idźcie waszeć już sami!

Ojciec, już nie ten dawny, poczępiwy, szlachetny ojciec, ale ojciec trądem dzisiejszym i sam już skancerowany, skubiąc się w głowę, powiada: „Oj, synku, szkoda, że chorujesz. Otbyśmy dzisiaj złapali tych niedowiarków Żydów! Wiozą dużą kontrabandę,

o! tam za borem! Pożywilibyśmy się łąpsko! Ale có! ja stary sam jeden nie podołam".

— Ach, tatuniu, do wieczora to mnie zapewne i przejdzie. Już mi się teraz, jakby lepiej robi. Pojedziemy. A może da Pan Bóg, że się uda!...

Powiedzcie sami, jak się to w takim nie kochać chłopcu!... Żart odrzuciwszy, ideał dam szyłańskich, jak widzicie, niestety! nie jest do zazdrości. Śnać szyłańskie aniołki nie bardzo kochają się w poezji życia! To też tam małych dzieciaków, jak bobu! Co dzień słyszę w Szyłanach narzekanie matek na zbyt wielkie serdeczne córek swoich słabości. Na to ustawiczne zapominanie się w kochaniu, na to momentalne zaniedbanie się i lenistwo rozumu, dla którego w przyjętej przez obyczaje nasze opinii, nieprawne mnożenie się ludzkiego rodzaju prędzej skutkiem rozpusty, niż dobroci miękkiego serduszka przypisywać ludzie przywykli. A narzekania te stąd tylko pochodzą, że stare mężatki zapomniały zupełnie, co robiły same, jak młodemi były.

Ja więc przychodzącym w takim razie do mnie matkom na radę stale powiadam: „Szacowna pani! na to naprzód już żadnej rady niema. Stało się!... To, pani moja, chudopacholskie zaręczyny. A wszak wy sami siebie za bogaczów i za panów nie macie. Choć to i u panów nieraz się zdarza".

A jak m'ę już znudzą narzekaniem na niestatek córek swoich, dodaję: „A waćpani dobrodzika, co lepszego przed laty dwudziestu zrobiłaś? Wszak tu nas tylko dwoje i nikt nie słyszy. Ja dobrze, jak to było, pamiętam. Wszak nielepiej od córki także zamaż wyszłaś. Szyłany to już taki kraj, takie kró-

lestwo miłości! Ot już nie gderzcie, kiedyście sami winni; starajcie się tylko, żeby ten słodki grzesznik tak swój błąd poprawił, tak się z córką waszą ożenił, jak kiedyś mąż waćpani waćpanią samą nie wzgardził“...

Matka chustkę swoją do nosa i oczu przykładła. Niby płacze, niby kaszle, niby chrząka, ale na odpowiedź żadnym sposobem zdobyć się nie może. Tak po tych słowach się zbasi, jakbyś jej kitem usta zalepił. W duszy tylko sobie myśli, poco ten szatan żyje tu jeszcze i tak dobrze dawne rzeczy pamięta. Ale tej myśli nikomu nie powie otwarcie. To już jej sekret, jej skromność.

Zamknijmy tę o królestwie miłości, o kochanych i kochających Szyłanach gawędkę następem porównaniem.

Jeśliś był kiedy w Warszawie i chciałeś nie panów wszędzie sobie równych i do siebie podobnych, ale lud poznać, nie mogłeś nie widzieć co to za dobroć, co to za potulność tamtejszego żeńskiego ludu! To — duszki kochane! Nie znajdziesz drugiego takiego miasta na całym cywilizowanym świecie!

Ta, co się pomyli i potknie, zrobi to nie ze swawoli a bardziej nie z żadnej rozpusty. Ona robi to z tej czystej chęci, żebyś ty był szczęśliwym! I dlatego tylko nie może odmówić, że ją o to proszą! A ona, jak i każda mazureczka, ma takie anielskie serduszko!

O! mówię to z duszy, jeśli komu Bóg przebaczy na tym strasznym sądzie, to pewno co do nogi wszystkim warszawiankom. One jedne w Europie godne są wyższej litości! bo one dużo i prawdziwie kochały!

Otóż wśród dzikiej i materjalnej Litwy Szyla-
ny mają naturę Warszawy!...

Życie dzisiejszego okolicznego szlachcica? Co
tu długo pisać! Weźmijmy raczej i zapełnijmy jedną

Lata szlachcica	Życie szlachcica okolicznego	Adnotacje
0	Rodzi się. Ojcu winszują. Parobek na to uśmiecha się głupio.	Matka gwałtu woła. Cza- sem nawet i męża swojego za to przeklina. A on nie- borak Boгу duszę winien, tylko ramionami ściska, o interesach myśli i żali się na to, że policja ziem- ska ciągle do niego za- jeżdża.
Od 1 do 3-ech	Ssie, co wlezie. A wrzeszczy jak na- jęty na całą okolicę, jakby go rznęli Tatarzy. A co moment woła: „Mamo, chleba”.	
Od 3-ech do 5-iu	Gęsi pasie. Ale bez biczyka. Ojciec go jeszcze nie daje.	
Od 5-iu do 7-iu	Świnie pasie! Awans! Górą nas! Już i z biczkiem, którym małych Żydków ugania.	
Od 7-iu do 12-u	Uczy się pilnie nic a nic nie robić przez całe życie, na zgładzenie robaka cza- sem wypija już czarkę.	Czasem już i fajkę palić zaczyna.
Od 12-u do 17-u	Ćwiczy się w sztuce próżnowania, przy- wyka do niej zupełnie. Dłubie w no- sie wszystkimi palcami. Opiera się i rozwała po ławach doskonale. Fajkę pali. A w 1849 r. już nawet umie skręcić dobre cygaro. Na fartuszek patrzy ciekawie. Przeżegnać się? jak Pan Bóg dał! Proboszcz ledwie nie placze.	Czasem już od lat kilku serdecznie kocha i chce się żenić. Czapka dziu- rawa zawsze na bakier.
Od 17-u do 20-u	Już wybornie umie nic nie robić. Ojca okrada w świecie. Tęgo się kocha. Rad zejść, gdzie tylko zwącha krupni- czek, ale od starych lepiej mierzy się z prostą wódką. Zalecanki i po chłop- sku i po szlachecku umie napamięć. W karczmie tańczy kozaka. Dzien- czętom sok z cybucha swojego miesza do wódki, żeby się prędzej upiły. Z chło- pami brat za brat. Często od nich wybity.	Czasem się już żeni.
Od 20-u do 25-iu	Czasem chce być namiestnikiem u ja- kiego pana, żeby lepiej i kraść i broić. Inaczej żeni się koniecznie, bo już wie z doświadczenia, że ród jego szlache- cki przez niego nie zgaśnie.	Stary ojciec czasem wte- dy i kijem skropi. Ale to rzecz oddana. Jak ojciec postarzeje, żeby krzywdy nie było, odbie- ra to potem od syna.
Od 25-iu do 60-iu	Panie Boże odpuść!	

ze schem czyli, jak on nazywa, jeden z „modeluszków” naszego poczwiwego Haura, jedyne go autora, co tak powszechnie, co tak popularnie kiedyś wszystkie a wszystkie nasze szlacheckie domy zapełniał. A dzisiaj na mil dwadzieścia wokoło tylko jest u mnie!

Jak widzicie, nigdzie w tym modeluszu rubryki niema na to, jakby się to katechizmu albo czego dobrego nauczyć. Czytać, pisać, rachować?... Fi, kto to widział! On szlachcic! A naco to szlachcicowi potrzebne?...

Weź wszystkie wady litewskiego chłopca, zmieszaj je ze wszystkimi wadami niedźwiedzia i osła, dodaj do tego jakąś częśćkę przebiegłego szachrajstwa Żyda; weź przesady, ciemnotę i zabobony dzikiego człowieka, zamarynuj to wszystko w kufie tego spirytusu; włóż na nogi czy chodaki czy łapcie; wdmuchnij w nozdrza albo chytrość lisa, albo głupotę i lenistwo żółwia; nawieź i na niego, i na cały dom jego z paręset wozów różnego śmiecia, brudu i błota; wpuść na ściany i podłogi nie więcej nad pół miliona pcheł, prusaków i pluskiew a na to wszystko narzuć kilka centnarów zarozumiałości, pychy i dumy, a będziesz miał najtrafniejszy konterfekt i osoby i bytu dzisiejszego okolicznego szlachcica.

Czyż wszyscy tacy? zapytasz. Nie! ale na tyś ledwie jeden nie taki.

Uderzam się w piersi. Jaż sam nie co lepszego, jak szlachcic. Ale ze wszystkich stworzeń, dzisiaj tutaj żyjących, najobrzydliwszem, odpuść mnie Pannie, najwięcej godnem, jeżeli już nie pogardy, to wzgardliwej litości stworzeniem, jest stworzenie, nazywające się okolicznym szlachcicem!

I któż się w nim domyśli, że to tak jeszcze bliski potomek tych niepospolitych ludzi, którzy stanowili pospolite ruszenie! Których szczupłe ale bitne, ale bohaterskie szeregi niepodobne już dzisiaj do wiary otrzymywały nad wrogiem zwycięstwa! Których cuda waleczności sławę naszą, jak świat szeroki, rozniósł! Których piersi, jak mur chiński, przez ośm wieków strzegły skutecznie granic naszej ojczyzny!

A z tego dziś popiół. O gdybyż choć to przynajmniej! ale to gorzej, jak popiół — bo śmiecie!

Ach! Szkoda tej pod nieczystym wielbłąda wymiotem leżącej sławnej i pięknej kiedyś Niniwy!...

Kiedym przyjechał na Litwę, dostrzegłszy najokropniejszego, niepodobnego do wiary uzwierżenia się szlachty okolicznej tutejszej, chciałem, ile ze mnie być mogło, dopomóc im i podać im rękę. Już i ojciec mój tego próbował być napróżno. Pamiętam bowiem, że jeden z tutejszych okolic mieszkańców, sprytniejszy od innych, kiedyś poszedł był sobie w świat i przepadł tak, że nikt o nim nie wiedział. Los mu posłużył, praca zrobiła go użytecznym człowiekiem, polor, który przylgnął do niego, zrobił go światowym człowiekiem. Podobał się w Warszawie majątnej wdowie, ożenił się z nią i fabryka znakomita pod samą Warszawą dostała mu się w posagu.

Spotkał on raz na ulicy ojca mojego, przypomniał mu się i do siebie zaprosił. Był to pan całą gębą. Pytał się o swoich. Ojciec mój radził mu dopomóc familji, biorąc z niej kilku młodych, jeszcze przeźrzeć się mogących ludzi na oficjalistów przy fabryce, Zgodził się na to poczciwy człowiek i uprosił ojca, żeby mu wybrał czterech różnego wieku chłopaków

i do Warszawy na jego koszt przysłał. Wyobrażał sobie mój ojciec, że się tu z tego wielce ucieszą. Aż tu płacz i narzekanie! Żaden ani ruszyć z miejsca nie chce i woli leżeć na piecu. Co to było korowodów, nim się nakoniec i ojce, i matki, i oni sami zgodzili. Pojechali tedy szczęśliwie. Zaczny krewny robił, co mógł, żeby ich do siebie przywiązać, dał im wszelkie wygody i dobry kawałek chleba. I cóż? Oto po trzech tygodniach dwóch najmłodszych bez paszportu przez granicę się przebiło i nazad do mamy uciekło! Trzeci daleko starszy, a więc rozumniejszy, uciekł także, ale nabrał pierwaj po różnych sklepach warszawskich na imię pryncypała i krewnego swojego rozmaitych towarów i z temi wrócił do domu! Na taki figiel, proszę, i rozumu i dowcipu stało. Na co lepszego — niema.

Ja pomimo to spodziewałem się, że będę szczęśliwszy od ojca mojego. Chociaż już to bronnem powszechnie było, że ja jednak ze stopnia mojego mam uniwersytecki patent, dozwalający mnie w razie danym uczenia po całej Rosji, postanowiłem natychmiast u siebie założyć szkołkę. Najałem na mój rachunek dyrektora, dałem mu stół i mieszkanie. Sporządziłem tablice, kałamarze i ławki. Dostarczyłem papieru, elementarzy i książek. Dyrektor powinien był uczyć dzieci włościan moich darmo. Dzieci szlacheckie za najmniejszą a przeze mnie samego najprzystępniej oznaczoną opłatą. Szło mnie szczególnie, prawdę mówiąc, o szlachtę. Pomimo więc plotek, które się w okamgnieniu na wsi o kilka mil rozchodzą a zawsze w przekreślonym sposobie rzecz przedstawiają, pomimo wieści, która się natychmiast

o tej szkole rozeszła, kazałem w okolicach sąsiednich ogłosić, że kto zechce, może tu swoje dzieci przysyłać. Że zaś pani K... była prawdziwie biedna i mnie to o datek pieniędzy, to zboża ustawicznie męczyła, chociaż mimo swej nędzy więcej niż trzeba płodną być umiała, posłałem po nią umyślnie i oświadczyłem jej, żeby tu trzech synków swoich na mój własny koszt przysłała. Że już tu dla nich wszystko gotowe. Myślałem, że baba, jedna z „pereł” okolicznych, w oczach moich podskoczy z radości. Pojmijcież państwo moje zadziwienie! Ja jej to mówię. A ona mnie na to:

„Kiedy już j. w. pan tak chce, to cóż już robić! niech się sobie i uczą! Ja, choć matka, przeszkadzać nie będę. Ale panie, ja jestem biedna, kobieta, za to pozwolenie, za łaskę (to jest za powolność), którą robię tylko dla tego, że taki pan żąda tego ode mnie, prosiłabym, żebyś j. w. pan dał mnie rocznej ordynarji po dwie beczki żyta i po beczce jęczmienia a pieniędzmi po rubelku na miesiąc! Wszak to, zdaje się”, dodała wdzięcząc się: „nie będzie za wiele. Ja biedna kobieta”...

Mąż wielki, jeden z zaszczytów krwi polskiej, Seweryn hrabia Potocki, senator i członek Rady Rosyjskiego Państwa, miał już w 1829 r. przygotowany projekt na ocalenie nieszczęsnej okolicznej szlachty, której zupełny przewidywał upadek. Chciał, żeby z niej tworzono szlacheckie pułki. Z tych pułków po wysłudze lat dziesięciu, każdy żołnierz, każdy okoliczny szlachcic, przy odpowiednim stanowiu swojemu prowadzeniu się, miał na oficera wychodzić. Służyłby

on już zapewne i dalej, a nie — wracałby do domu z przetarciem, układem, skłonnościami i poważaniem godnem szlacheckiego klejnotu. Powstanie 1831 roku i udział mniemany, jaki w niem miała okoliczna szlachta, wszystko z kretesem zmieniły. Tymczasem mąż zdrowej rady umarł...

Rok 1831 zwodniczą tylko do szlachty naszej wywołał nieufność. Szlachta tutejsza poszła do powstania nie, żeby się burzyć przeciw mocarzowi, którego instynktem znała i przeczuwała potęgę, ale, jak tłum, zbestwiony długim moralnym upadkiem, na to w rzeczy samej z nożem lub sztyłem poszła, żeby swoją starszą i bogatszą bracią zrebować a tu i ówdzie Żyda jakiego dla tego, że on Żyd, niedowiarek, powieścić. Szlachta w 1831 roku była tylko rycerzem w cudzych śpiżarniach, składach i kufrach. Była zabójcą połciów słoniny, kiełbas i polędwic, toczyła krew z cudzych kur, gęsi, indyków, furażowała masło, zabierała najlepsze bydło i konie. Zawsze pod dachem była rycerzem! Ani razu nim tutaj nie była w polu! Bo już nawet oddawna i rycerskiego zagubiła ducha. Cztery jej tysiące, naprzykład, płazami naczelników powstania na jedno miejsce spędzone, jak tylko pod Rumszyszkami o wiorstę od siebie karabinowy ogień dwunastu kozaków dojrzały, co do nogi schowały się w chrósty. Naczelnicy ich, wierni powołaniu swojemu, ani na jeden krok nie odstępili i zawsze na czele swoich zastępów byli!...

To więc wszystko, co się w ostatniem powstaniu wydarzyć mogło, było tylko pozorną winą. I z tego pozoru niesłusznie wywołana została niewiara, to jest nieufność...

Projekt Potockiego byłby środkiem odrodzenia uśpionego tylko na ten raz męstwa, które w takim składzie rzeczy prędzej czy później temu lub przyszłemu wiekowi, temu lub przyszłemu panu, noweby jeszcze a żywotne przynieść mogło usługi. Ale cóż mówić o tem, kiedy już wszystko a wszystko, stała a silną prowadzone ręką, na innej zupełnie posuwa się drodze!...

Powiedziałem, jacy byli ojcowie.

Widzicie, jacy są synowie!

Ludzie postępu, powiedźcież, co tedy na ten raz lepsze czy wczoraj, czy dzisiaj?...

Ale rzekłem już wyżej, że na tysiąc jeden znajdzie się inny. Nie mogę więc, chociażby tylko dla zaspokojenia potrzeby duszy mojej opuścić ostatniego już w dzisiejszych latach okolicznego szlachcica, żebym mu należnego nie oddał hołdu.

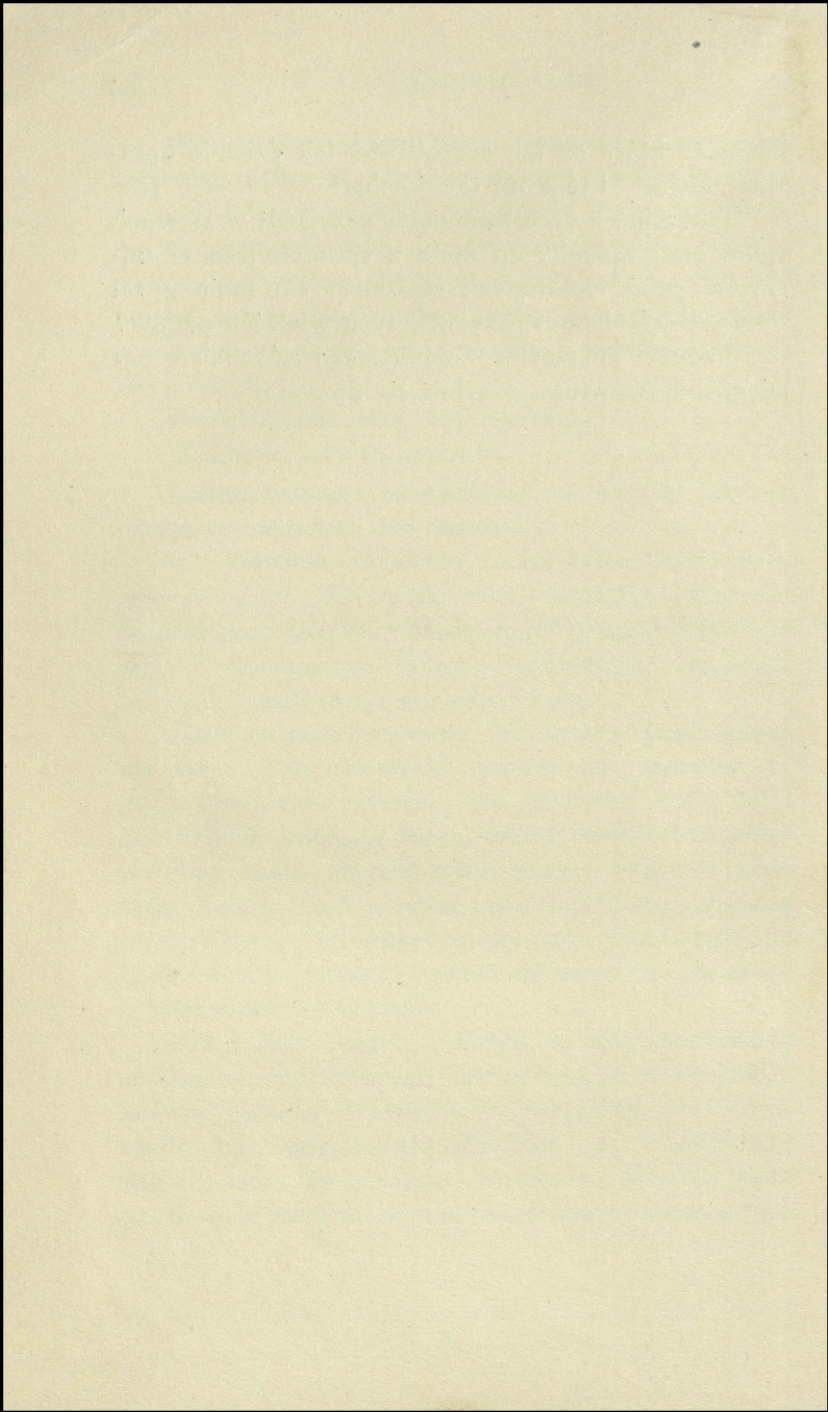
Zgaś on przedwcześnie, jak świeca, przed kilkoma laty. Ten człowiek, prawdziwie genialny, ta perła okolicznej szlachty, ten człowiek, coby mógł być ozdobą każdego stanu, umarł wieloletnim przyjacielem moim, chociaż może głupie światowe przesady chciały kłaść u ludzi jakąś światową pomiędzy nami różnicę. O! umarł on słusznie przekonany, że miał we mnie, w sercu mojem odpowiednie dla niego i pełne szacunku uczucia!

Już i jego mogiła i krzyż na niej wzniesiony mchem porastać zaczyna. Już o tem, że tu żył kiedykolwiek Ignacy Łukasiewicz, wszystko, co tu około żyje, zapomniało zupełnie. A i kiedy żył nawet, cenić go nie było w stanie. Niechaj ręka przyjaciela rzuci na jego deskę grobową kilka z tych

kwiatów, które on tak szczęśliwie, tak dziwnie uprawiać umiał! które on tak kochał!

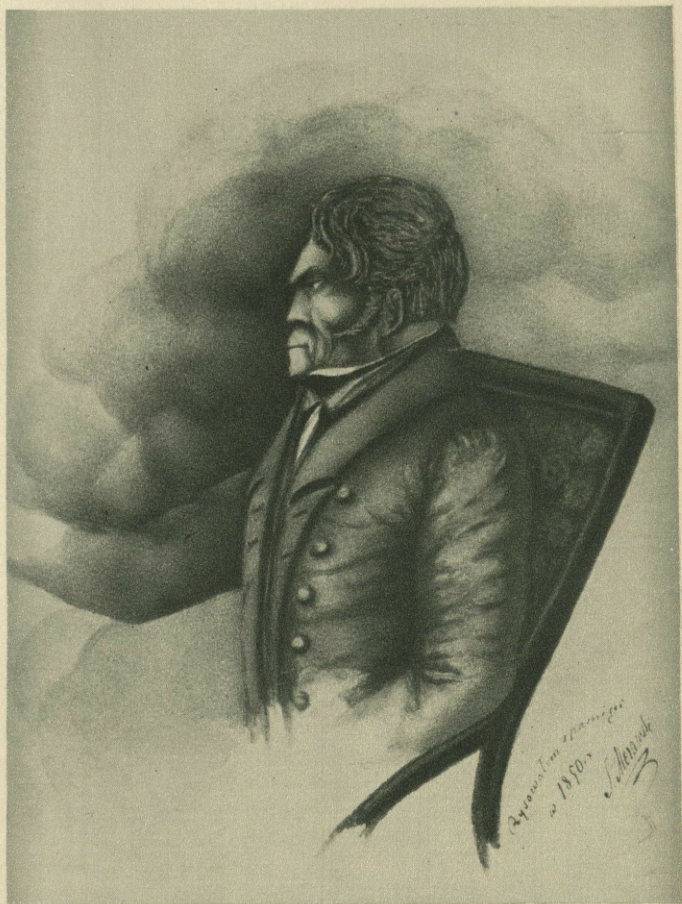
Cóż mnie z tych szumnych przyjaźni w słowach tylko brzęczących? co mnie z tych chytrze w fałszywej gębie uplatanych słówek? Co mnie z tej zimnej i samolubnej przyjaźni tych wielkich panów?

Pamięci poczciwego okolicznego szlachcica, pamięci Łukaszewicza, przybliź się do mnie!



CZĘŚĆ DRUGA

PAN IGNACY Z DORSUNISZEK



DR. ST. MORAWSKI

IGNACY ŁUKASZEWICZ

I.

Dziecko i dziecko.

Ty, cobyś chciał tu szukać początku dni człowieka w mahoniowej ze złoconą rzeźbą kolebce pod zasłoną z zielonego atłasu, złotemi obszytą frendzlami; — ty, co widzisz tylko w tureckich trzewiczkach, w jedwabnych pończoszkach, w greckim lub rosyjskim krojem z weneckiego aksamitu sukienice, z kryzami z brabanckich koronek na szyjce, z torbeczką kunsztem zamorskiego wydrwigrosza w Londynie uszytą, ze srebrzystym w ręku obręczem lub złoconą sprężystą piłką; — ty, co go pojąć inaczej nie możesz, jak w kapeluszu, na który się piękne neapolitanki sadziły; któremu nigdy nie dają chleba, o którego lękasz się, jak kto około niego czy kichnie, czy kaszlnie, żeby wiatr na dziecię nie zawiał — ty, coś takie przywykł widzieć dzieciątko, które po kilkunastu potem leciach zobaczysz na świecie dorosłym, rozpieszczonym a często ułomnym bałwanem, jeżeli nie trupem; — ty, co tylko takie dzieci rodzaju ludzkiego pojmujesz, rzuć tam, bądź łaskaw, pod ławę tę kartę; — pójdź lepiej wykurzyć cygaro!

Zobaczże tu wiejskiego trzyletniego chłopca i zobacz go, na przykład, w grudniu!

Łeppek rozczochrany a włossek długi bielutki, jak len moczony, a lśniący, jak pela. A buzia kraśna, jakbyś ją czy maliną, czy wiśnią pomazał. A rumieniec, że mu aż zda się krew z pyszczką wytryśnie koniecznie. A oczki błękitne, a długie rzęsy. A nóżki bosc, a sine, a granatowe. A cały drży, jak osika, trzymając większy od siebie kawał razowego chleba. A całego państwa, jedna na nim gruba kusa wyżej kolana koszulka, stężała na grzbiecie od potu, swawoli i zimna czasu. A mróz grzeje od dwudziestu stopni, a smali mu i piecze w piętki i podeszwy, że je coraz to naprzemian do góry podnosi. I matka go już sama strwożona woła: „Jasiu! Jasiu! wejdźże do chaty!” A chłopiec niby nie słyszy i jak może, dalej i dalej po zapłocie zmyka a zmyka! I woli cały dzień Boży jeździć na gółce po śniegu, całą godzinę moczyć i myć nogi, albo się dłużyć w przerębli, cały wieczór wracać do domu, jak sztukmistrz na linie, po kołkach i płotach, pogardzając utartymi przez ludzi ścieżkami, woli jednym słowem być zdrowem i czerstwem, jak rajske jabłuszko, świeżem, jak z pączka dobywająca się róża, niż się kwapić na aksamity i atłasy. Bo te atłasy, te aksamity pokrywają zwykle wychudłe, wyniszczone ciało, wydęty brzusek, wykrzywione i subtelne, jak cewka, nóżki, ustka wybladłe i cienkie, jak zrzynek papieru, i sine pod oczyma podkowcy.

Spróbuj tego, co ja! Ja doświadczyłem i tego i tego. O! byłem w życiu i na ławie, i pod ławą. Ja także pod taką leżałem zrazu kotarą! Znajdziesz

tu dotąd u mnie w wazonach drzewa, tegoż samego dnia sadzone na pamiątkę moich urodzin. Tu jakiś czas razem i francuski, i niemiecki, tu i polski gardziołek usypiały około kolebki jedyne go pierworodnego synka kaprysy, to wycacane i rozmiękczone dziecię. Chłopiec miał już całe pół wieku, bo miał całe pół roku! Przyjeżdża surowy spartański ojciec zimą z Warszawy. Przyjeżdża, i tę matkę pozdrowi, i to dziecię raz pierwszy przeżegna, ze wszystkich stron obejrzy, uściska — a, ukląkłszy i zmówiwszy pacierze, natychmiast i te bebechy, i te koronki, i te fałbany, i same dziecko, słowem wszystko razem na śnieg na dworze wyrzucić każe. „Niech się błazen hartuje!” powiada. „Niech się wcześniej z tem, co go tu spotka i z nędzą życia oswaja! Niech się na wszystko zgóry przygotuje! Albo niech lepiej nie żyje!”

A matka załamała ręce! Ale jej wzrok groźny ojca i męża lecącą już łzę z powieki na powietrzu zatrzymał i zmroził! To dziecko podówczas ma dziś rok czterdziesty siódmy i właśnie te brednie pisze, a nie zna dotąd choroby...

Łukaszewicz biegał boso w jednej koszulce i po śniegu, i po mrozie.

II.

Miasto, Dziadek i Babka.

Dziad Łukaszewicza, Jerzy, przewędrowawszy po świecie lat kilka, zakosztowawszy nawet podobno słodczy konfederacji, wrócił nakoniec Niemnem z kabzą nieźle nabitą na statkach, z Królewca idących, i osiadł w Dorsuniszkach, gdzie wkrótce przyjęty został na organistę.

Dorsuniszki, gdzie kiedyś Witołd spotkał i podejmował jadącego z Grodna do Wielony Jagiełłę, wioska nad samym Niemnem położona, starostwo w wiekowem posiadaniu Ogińskich, nazywały się i same nazywają dotąd miastem. Wolna wola i im, i temu, kto je zechce tak nazywać!

Ale kiedyś mieszkańcy Dorsuniszek wyrobili sobie doprawdy od królów polskich przywileje na miasto, na ratusz i na rządzenie się magdeburskiem prawem. Naprzód jakoby 1503 r. od króla Aleksandra, potem w 1596 r. od Zygmunta III a wkońcu dostali dyplom *renovationis* od króla Stanisława-Augusta, dnia 7-go grudnia 1791 r., wydany w Warszawie, którego pilnie ale napróżno po dziś dzień strzegą. Ten nieszczęśliwy pergamin był źródłem wiekowych obustronnych strat i zatargów ze dwo-

rem. Chłopstwo „magdeburgją”, co u nas narówni z grubjaństwem chodziło, nadęte, zaczęło się nazywać mieszczaństwem, obierało sobie burmistrzów i ciągle się od powinności i pańszczyzny drogą procesu i prawa wyłamywało. Aż dopiero teraz jakoś przed paru dopiero laty uśmierzone tę rzecz krótko i węzłowato, a węzłowato doprawdy, bo przecinając ten węzeł gordyjski i kasując bez żadnej ogródki i rozumowania służące im przywileje.

Niemen, piękny nasz Niemen, niestały i nie zawsze wierny naszej Wilji kochanek, biegnąc do niej, wszędzie prawie na biegu swoim czarujące Litwy całuje pozycje. I jeżeli Dorsuniszkę samą w miejscu, gdzie stoją, tylko żyzną i lekką roją i piękną tu i owdzie płaszczyzną popisać się mogą, to zato wprost i tuż za niemi z drugiej strony leżące Boczkenikiele i od natury wdzięcznie uposażone i ozdobione ręką Prusaków, co za rządów pruskich dobra te nabyli albo dzierżawą objęli, piękny i zajmujący dla oka od strony Dorsuniszek sprawiają widok. Boczkenikiele nabyła od rządu w połowie zająca rodzina Puschów, której naczelnik, starzec, w osiemdziesiątym podobno roku życia przed kilku laty zmarły, niepospolitym, ministerjalnym na rzeczy publiczne obdarzony był poglądem. A i w prywatnych wielkiem świecił doświadczeniem i nauką. Pusch przywiązał się do Polaków i polskiego wyuczył się języka tak, że w przypadku odważył się pisać listy po polsku! Mam w ręku list jego przedziwny, pisany do Pęczkowskich, którzy podówczas i Kronie i Dorsuniszkę dzierżawą od Ogińskich trzymali. Oto jego dosłowny początek: „Ja ślizalem,

że na Dworu Pańskiemu, stoje ten kuń, która u moim ludziom kradziony jest" i t. d. Tu tedy w Dorsuniszkach Jerzy Łukaszewicz, złożywszy i kij swój pielgrzyma, i granatową z karmazynową podszewką, jak był podówczas zwyczaj, opończy, pojał w małżeństwo mieszczankę dorsuniską, sławetną pannę Miszkiałównę i, żyjąc pobożnie i uczciwie, spłodził z nią syna Marcina, którego również i talentu swojego od samej młodości uczestnikiem i spadkobiercą nie zaniedbał uczynić.

Ostatnie konwulsje konającej Polski, jak ocean, co u góry burzliwe i krnąbrne rzuca pod niebo bałwany a na dnie spokojną i cichą przelewa się falą; ostatnie, mówię, te drgania w najniższych słojach społeczeństwa z wyjątkiem miejsc, narażonych na główne nieprzyjacielskiego wojska przechody, małe po sobie zostawiały podówczas ślady. Owszem czas ten zaczynał krótką wprawdzie, ale zadziwiającą i zagadkową epokę wielce korzystnego dla rolników zbożowego handlu, którą się po rok 1807 z takim napływem złota odznaczała biedna nasza Litwa.

Młody Marcin, pomagając ojcu czasem w kościele, głównie się gospodarką i rolą zajmował, do czego nieprzezwyyczajony czuł pociąg. Staranność, prowadzenie się przykładne i pilność jego zwróciły na siebie uwagę Ogińskich. Przewóz na Niemnie w Dorsuniszkach jemu w arendę oddano, a ruch wtedy był wielki. Inne zasługi sprawiły, że mu Ogińscy od siebie parę włók ziemi na wieczny czynsz za nic prawie puścili. Żyto podówczas bajecznie dochodziło ceny. Płacono po 26 rubli srebrnych, czyli po sto siedmdziesiąt trzy złote polskie

i groszy dziesięć za beczkę. Wzboğacił się zatem bardzo pocziwym trudem. Urosł w kapitały pan Marcin. Wkrótce po ojcu swoim i organistą i nadto burmistrzem miasta obrany, także z mieszczańką miejscową, sławną z piękności i cnoty a dostatnią panną Marją Zawistanowiczówną ożenił i niezwykłym w tej stronie przykładem porządnie, czysto i wzorowo się zabudował. Nakoniec pod wpływem tej szczęśliwej gwiazdy, która wszelkim jego dotąd błogosławiła zamiarom i niosła mu zewsząd dostatek i spokój, dał życie jednemu synowi Ignacemu, życie, które właśnie chcę tutaj, jako wzór życia okolicznego szlachcica, opisać. Te wszystkie, jak widzicie, honory, dostatki, prerogatywy, zaszczyty, najmniejszej nie czyniły przeszkody, żeby pan burmistrzowicz miasta Dorsuniszek zarówno jak i inni dorsuniscy urwisze nie miał boso i w jednej koszulce biegać po śniegu. Czy tytuł ojca jednakże, czy, co podobniej, jakaś już wczesna moralna przewaga i wyższość dawały temu chłopcu i prym i palmę przy każdej chłopców swawoli. Łączyło się podobno zapewne do tego i to, że rodzice Ignasia, jak to mówi nasza prostota, „duszy w nim nie czuli” i co Ignaś zbroił, to było zawsze i rozumne i dobre, i piękne, i do-wcipne, i święte.

Trwało to tak pomyślnie przez lat kilka. Póki nakoniec ksiądz Kozłowski, wikary tamtejszy, w jakiś dzień kwaśny w momencie złego humoru, zdybawszy bajbaka na ulicy, nie kazał raz kawalerowi bez żadnych wymówek nadziać spodeńki i do parafjalnej przez nowego proboszcza założonej szkółki zacząć uczęszczać. I tak się stało; z wielkim żalem

mamusia, która naturalnym ostrzeżoną instynktem, choć się on na ten raz tutaj na szczęście nie sprawdził, pewną tego była, że jej kochany i pieszczony synek, jak tylko uczyć się zacznie, akurat, zupełnie, jak i wszyscy uczeni, — zgłupieje! Koniec końców, trzeba się było uczyć, trzeba było wleźć w nieprzyjazne buciki, trzeba było chodzić co rana do kościoła, i tam w ordynku przykładnie się sprawować i modlić. Było to wprowadzić nie do zniesienia! Ale cóż robić? Wzięto rozwyrzonego nieboraka, chłopca, w rękawice z jeżowej skóry.

Jak się pod bliższym dozorem przypatrywać chłopcu temu zaczęto, dojrzał ksiądz wikary, który zawsze, mówiąc nawiasem, fatalną za rękawem nosił z sobą dyscyplinę, że u naszego Ignasia raz pilność, zdatność i statek, drugi raz znowu swawola i różne dzieckie wybryki naprzemian, jakby paroksyzmami jakimi, nachodzą. To się uczył gorliwie nazabój. To raptem rzucał książkę pod ławę i, jak warjat, po mieście latał i szalał. A zgoła wtedy nie zważał na plagi, biorąc je za toż samo, za co konik ognisty bierze od jeźdźca swego ostrogę.

Trwało to sobie w taki sposób przez kilka już miesięcy. „Pieniek” szkółki nieraz był świadkiem chwilowych przelotnych jęków Ignasia. I potem znowu wschodziło słońce! Aż nakoniec nadeszła ożywcza nadniemeńska wiosna. Aż nakoniec późna na ten raz Wielkanoc, w zieloną już suknię natury przybrana, zapukała do drzwi ubogiego dorsuniskiego kościółka.

III.

Wojna z Judaszem.

Przy końcu Wielkiego Tygodnia, kiedy już grób Pański był zupełnie gotowy i przez lud pobożny zwiedzany, trwał jeszcze podówczas u ludu, zwolna przez kapłanów po dziś dzień wyprowadzany zwyczaj „wypędzania albo upędzania Judasza”.

Zwyczaj ten, w każdym prawie parafjalnym kościele odrębnym i sobie właściwym obchodzony kiedyś obrzędem, to miał w ogólnej zasadzie i treści, że hałas i stuk, czem kto miał w ręku, robiono przez kilka minut w kościele.

Otóż w tym roku właśnie, o którym mówię, kiedy już przyszło do tego Judasza, raptem dał się słyszeć niezwykły łoskot po ścianach, wrzask i pisk rozmaitych głosów. Nakoniec coś nie tak wielkiego, jak nadzwyczaj chyżego, straszego i dziwnej postaci, podskoczywszy wielokrotnie na ścianę, przesunęło się obok dygnitarzy parafjalnych i bractwa i wpadło akurat do grobu Pańskiego, straszne tam wyrabiając zniszczenie! Posypały się lampy. Pogasły tu ówdzie ognie! Powywracały się z łoskotem sztucznie udawane odwieczne kwiaty! Niestłychana w Dorsuniszkach nigdy katastrofa! jednym słowem trzęsienie ziemi albo blisko tego!

Ksiądz wikary uchwycił się za łysą głowę. Organista z zakrystjanem pierwsi dali drapaka. Za nimi poszły tłumy bohaterskiej, dziśbyś powiedział, gwardji narodowej miasta Dorsuniszek. Ledwie kilka trwożliwszych bab z ciekawości zatrzymało się w babińcu. Ksiądz Kozłowski, trochę sceptyk w materji upiorów i strachów, zdjawszy nakoniec od łysiny sfrasowaną ręką, szukać filozoficznie zaczął przyczyny tego bezprzykładnego w dziejach dorsuniskich zdarzenia. A groźnie sfukał wyglądającą przez drzwi kościelną tłuszcę. Przywleczono zbiegłego organistę-burmistrza. Zakrystjan już był lekką od strachu nogę przez parkan cmentarza przesadził; ale go uciekająca szpitalna nadybała baba i wstyd mu było ukrywać się dłużej przy świadku. Podeszło także nanowo zawstydzone odwagą księdza wika-rego różańcowe bractwo.

Przeżegnawszy grób Pański, ksiądz wikary wziętą od jednego z bratczyków, w komże białe ubranych, honorową halebardę, jął szturchać po kątach grobu. Głos się stamtąd przeraźliwie piskliwy i miauczający odezwał! Nowa tedy rejterada, a sromotniejsza od pierwszej; rejterada, w której tym razem (kto z nas nie zgrzeszył) już i sam ksiądz Kozłowski mimo całej swojej niewiary i odwagi, zapomniawszy o wszystkim, i halebardę upuścił, i najpierwszy rewerendę podkasał, i pierwszy z zimnym potem na czole drgające i podkoszone od strachu nogi aż na cmentarzu dopiero oparł.

Zatrzymano się znowu u drzwi kościoła. Złożono radę wojenną. Kilka śmielszych głosów radziło ucieczkę do jutra, póki kur zapieje. Potem zawsty-

dzono się trochę, patrząc na siebie wzajemnie. Na koniec nowy szturm do grobu Pańskiego przypuścić już miano, kiedy jeden z bosych urwisów parafjalnej szkoły niewiadomo skąd się nawinął i, śmiejąc się głupim i niewczesnym śmiechem, przed całym zgromadzeniem zawołał: „To kot ciwuna Michała tam siedzi!” — i natychmiast zniknął. Ośmielone tą mową bractwo z niezłomną rzymskiego rycerza odwagą rzuciło się na delikwenta i nakoniec ujęło go. Winowajca podkuty był łuską od orzechów na szewieckiej smole, miał suchy pęcherz, grochem nadziany, mocno przywiązany do końca ogona; sam ogon w czerwone płatki okryty, rogi z tektury na głowie; pozłoczone sztucznie uszy i był odziany w niemiecki fraczek ze skrzydłami, wyciętemi z malowanego czerwona farbą papieru. Jednem słowem wyjęto kota, noszącego na sobie wszystkie najwybitniejsze charaktery, jeżeli nie djabła, to przynajmniej smoka...

IV.

Sądny dzień.

Burmistrz-organista, co się wrzekomo największym bohaterem, czy tchórzem, na ten raz od wszystkich pokazał, teraz najwięcej, najsilniej na wykrycie sprawców zbrodni nastaje i najwięcej wykazuje odwagi. Nawet samego kota odważył się wziąć w ręce. Ksiądz Kozłowski czynną mu w tem jest pomocą, bo mu wstyd trochę, że tak sławny na całe Dorsuniszki filozof, co ciągle wszystkich uczy przeciw strachom odwagi, sam najpierw dał *fugas-chrustas*. I przed kim?... Przed kotem! Tymczasem namiętności coraz się więcej burzyły i wrzały! Każde znakomitsze publiczne uczucie, jak prąd elektryczny, w okamgnieniu przez ludzkie przebiega pojęcia i własnym je ogniem zapala. Od silnie rozdrażnionego senatu te konwulsyjne drgania fibry mózgowej przeszły do ludu. Biada! wszystko, co żyło, groźną przybrało postawę. Zewsząd i śledztwa i sądu wołano!

W braku kapitolu, t. j. ratusza, w mieście Dorsuniszkach, ratusza, który tylko w tradycji przez poetyczne złudzenie we wszystkich tamtejszych zbudowany był głowach, udano się hurmem do plebanji,

miejsca tem na ten raz godniejszego, że jakby umyślnie na godzinę przed całą tą okropną sceną sam stary pleban, wezwany do chorego, po najokropniejszych roztopach pojechał i że wszystkie przez rachunek prawdopodobieństwa wydobyte domysły dawały pewność, że zacny proboszcz dopiero aż nazajutrz powróci.

Senatorowie zasiedli tedy dębowe w pierwszej izbie pocziwego i ubożuchnego plebana ławy. Dreszcz wszystkich obecnych przejmował na widok rozszrzonego majestatu dorsuniskich stanów! Ku większej powadze sławetnego zboru przyniesiono wkrótce od Hirsza ogromny dzban piwa! I, prawdę mówiąc, czas już na to było. Rozogniona krew obecnych biła jak młotem po wszystkich żyłach całego senatu! Ciwun trzymał na ręku swojego wielkiego, wypieszczonego czarnego kota, niestety! niepodobnego do siebie, osmolonego w przygodzie i z łapek jego łuskę orzechów i kamyki smołą przytwierdzone z żalosną, ale pełną godności i rezygnacji miną obierał. Smole dać rady nie mógł! Pomimo całej jego politycznej potęgi, smoła potężniej się łapek kota trzymała.

Lud tymczasem kontentował się jednym ceberkiem przyniesionej wódki, której senatorowie, żeby popularności nie stracić, spróbowali także, niby wykrzywiając usta.

Corpus delicti, sam niemiecki strój kota z przyprawionemi do niego skrzydłami, złocisto-czerwone rogi, czerwone pokrycie ogona, nadęty powietrzem i grochem pęcherz a czarną wymazany sadzą, leżały

przed wikarym i burmistrzem na stole. Oni bowiem zajmowali poważne kurulne krzesła.

Odwilżone kuflem gardziele jednogłośnie wyrzekły niezwłoczne natychmiastowe rozstrzygnięcie rzeczy. Ogłosiły niemiecki *Standrecht!* Zgodzono się: śledzić, dośledzić i przykładowo ukarać w ciągu jednej godziny sprośnych zuchwalców, wichrzycieli i bezbożników. Zgorąca postanowiono przedewszystkiem dla uniknięcia okoliczności, łagodzących winę, oznaczyć bezzwłocznie karę, nim się przestępcy w mieście wyszukać dadzą.

Artykuł oddzielny, na wniosek burmistrza-organisty przyjęty, zabraniał unosić się w tej sprawie osobistymi względami, miłosierdziem i chrześcijańską litością.

Wogóle prawo doraźne, jednomyślnością przyjęte, tego mniej więcej było sensu:

a) Każdy z młodzieży, wyżej ośmnastu lat liczący, przekonany o winę, bez względu na jego położenie socjalne w Rzeczypospolitej Dorsuniskiej, odbierze dla przykładu na wieki potomne w sieniach plebanji natychmiast łóz wyparzonych pięćdziesiąt.

Dodatek księdza wikarego: Młodszy wiekiem odbiorą tyleż dyscyplin.

b) Każdy z dojrzałego wieku obywateli miasta, jeśliby, od czego broń Boże, okazał się winnym tak srogiego grzechu, otrzyma pięćdziesiąt bizunów równo i to nahajką pogranicznego kozaka Iwana. Do którego senat dorsuniski w razie danym wysłać ma losem wybraną deputację w celu otrzymania pod zastaw dóbr miasta przyrzeczonej nahajki.

Uwaga księdza wikarego, mającego zawsze jakiś gryf i złośćkę do kobiet, wikarego, który, ośmielony obecnością dorsuniskiego senatu i ludu, wziął w rękę ze stołu straszną zbroję kota i pierwszy raz ją dopiero z zimną krwią opatrzył; uwaga, mówię, jego, że kobiety igiełką swoją udział w tej sprawie mieć koniecznie musiały, wywołała nowy jeszcze artykuł:

c) Każda kobieta czy dziewczka, któraby się szwu niemieckiego fraczka okazała być winna, otrzyma dwadzieścia pięć różek.

Ksiądz wikary, mówiąc nawiasem, był istotnie parlamentarny człowiek!

Komu wykonanie tego ostatniego warunku poruczone być miało, czy władzy duchownej, czy świeckiej, o tem czy z przypadku, czy też z umysłu, zamilczało prawo. Ksiądz wikary jednakże uśmiechając się zacierał ręce. We wszystkich wielkich rozdrażnieniach mas, we wszystkich poruszeniach, powstaniach; we wszystkich zgiełkowych zgromadzeniach ludzi publicznych, którym silna i rozsądna władza nie przecina języków, pazurów — zawsze są tajne i niedopatrzone narazie sprężyny, co poruszają rzecz całą, co pod pokrywą wspólnego, ogólnego ducha ukrywają osobiste żale, urazy, nieukontentowania i cele.

Widzieliśmy już najsilniejsze oburzenie dorsuniskiego senatu i nieco lżejsze a tylko w niego wmówione oburzenie ludu.

Jakież właściwie ku temu były powody?

Rumieniąc się, podejmijmy zastronę.

Burmistrzowi - organiście w duszy chodziło o cztery sine po gdańskiej wódce czworoboczne flasz-

ki, które dostał gościńcem od przechodzącej po Niemnie około promu jego wicyny; flaszki, które przez chwilowo natchnioną wspaniałość i zaprzanie się siebie samego, przez chwilową dla ozdoby kościoła a wielce pochwalną gorliwość, wyjęte z zakłętej szafki, na samym brzegu grobu Pańskiego przed gorzącymi lampami dla większego efektu umieścił, a które stały się właśnie najpierwszą krwawą ofiarą wybryków rozszalonego czarnego kota. I dla tego to dwa swoje głosy i jako burmistrz i jako organista podał na winowajców z tak pełnem zawziętości zaangażowaniem.

Ksiądz wikary ze swej strony bez żadnej wątpliwości był przejęty zgorszeniem, jakiego się dopuszczono w kościele a jeszcze pod niebytność plebana. Był dotknięty zniewagą grzechu, to pewna. Ale na samych ostatecznych krańcach tego logicznego rzeczy wyводу siedział ukryty a wołający o pomstę i upokarzający wstyd z oczywistego wobec bractwa i wszystkich parafjan wykazanego tchórzostwa, którego skutki teraz widocznem rozjątrzeniem duszy i głośniami piorunującej wymowy swojej grotami zatrzeć jakkolwiek w umyśle ludu swojego pragnął. A to się w obliczu baranich mas nieźle często udaje.

Lud, nie mając wyraźnego powodu do osobistego gniewu a chcąc trącić za jakąś bądź cenę zawsze napiętą u niego strunę nieukontentowania i szumu, to za przyczynę i chorągiew zgrozy swojej wywiesił, że do domu Bożego wpuszczono kota, kota czarnego, który wespół z kozłem jest, jak każdemu wiadomo, godłem wcielonego djabła a przynajmniej

przemienionego na ten raz w kształcie swoim czarnoksiężnika. To się jeszcze tem łatwiej usprawiedliwić dało, że szwy fraczka, przez księdza wikarego wykryte, oczywiście oskarżały wprawną rękę kobiety. A tym sposobem było jasne, że i nieszczęsne Dorsuniszkki mają widocznie w swoim łonie więdźmy, czyli niewiasty zaprzędane djabłu. O czem dotąd jakoby może przez nieuwagę a może przez grzeczność mężowie dorsuniscy żadnego podejrzenia nie mieli.

Wszystkie zaś zdania na to się jedno zgadzały najzupełniej, że spisek sięga daleko. Że szeroko rozgałęziony być może. Że się oho! ho! dalej, dalej niż granica miasta Dorsuniszek rozciąga! Czego przylepione na uszach kota kawałki złoconego papieru i brzozowe na skrzydłach jego podpórki dowodziły jasno.

I słusznie. Bo każdy o tem wiedział, że tu nikt nigdy od założenia miasta złoconego nie widział papieru. A brzoza w Dorsuniszkach nigdy swoich płaczących nie rozwijała warkoczy. Ksiądz wikary ze zbytku słusznej żarliwości dodał i to jeszcze od siebie, że właśnie kształt i wycięcie skrzydeł i samo odrobienie wszystkich do uzupełnienia zbrodni służących materiałów dowodzi zbyt wprawnej ręki rozmaitego gatunku majstrów, którzy się tylko w daleko większych i znaczniejszych od Dorsuniszek miastach, jako to: w Rumszyszkach, Kroniach lub Jeznie znajdują i to jeszcze pojedynczo tam i szukać i znaleźć się tylko mogą! „Nie mam” rzecze: „potrzeby gorliwości waszej nowej jeszcze dodawać ostrogi, ale sumienie moje nie dozwala

la mnie zamilczeć, że wszyscy ci majstrowie są Niemcy i chodzą akurat w takich, jak ten szatański, fraczkach, szczególnie w niedzielę i święta!" Kobiety napełniały sieni, jak śledzie w beczce ściśnięte, i nieustannem wzdychaniem i gwarem swoim dodawały powagi tym uroczystym senatu i ludu obradom.

Bezstronna historia dawno już na swoich zapisała kartach, że dorsuniskie niewiasty nadzwyczaj ciężko wzdychają...

A tymczasem dorsuniska Egeria, dzban piwa, niestety! już się ku końcowi nachylał! Już mało szczęśliwych i trafnych obiecywał natchnień. Już genjusz i senatu i ludu zabierały się zniknąć, ulotnić w przestrzeni! A nikomu i na myśl nie przyszło, że się zaraz, natychmiast ziścić miało przysłowie: „Na dnie dzbanu prawda wiecznie spoczywa". Dziatki! wiercie w przysłowia! ufajcie przysłowiom!...

Już się bowiem ostatnie dosuszały kufle, kiedy wysłane czaty schwyciły na koniec ukrytego pod dachem w gminie pierwszego i słusznie o współnictwo w spisku podejrzanego człowieka. To jest tego malca, tego urwisa, co gwałtowną i sromotną całego bohaterskiego senatu i ludu ucieczkę z kościoła temi czarodziejskimi, jak pamiętacie, słowy: „To kot ciwuna", zatrzymał i na drogę honoru naprowadził znowu. Burmistrz-organista, zziązany od złości, ksiądz wikary, zasapany od zgrozy, rzucają się oba popędliwie na chłopca: „Wyznaj natychmiast czyja to robota!..." Niewdzięczni!... Ale prawda! Wszak w Rzymie zarzynali dobroczynne gęsi! Chłopiec,

nie domyślając się zrazu strasznej nad sobą burzy, kładąc się od śmiechu, odpowiada: „Nie wydam!” — i znowu chciał zemknąć.

Ale tu nie przelewki! Schwycono go za uszy i bez zapisania w protokół, co i potem, jak się to zwykle dzieje, dopełnić można, liczą mu natychmiast piętnaście odlewanych różek. Straszna i przerażająca przyszłość, czarna nadzieja i pewność dostania szesnastej a może więcej, rozwiązała mu nakoniec dotąd uparte usta.

— Królu! senatorze!... ratujcie!... ratujcie! powiem! powiem... tylko już puście!

Puszczono go z pieńka. Wyobraźciez sobie osłupienie, zadziwienie, trwogę i najrozmaitsze uczucia, które w tym razie duszami interesowanych osób miotały, które ich serca zatrzęsły; wyobraźcie sobie to — „Ach” — różnemi zaintonowanymi głosami; wyobraźcie sobie całe rozdziawienie się od ucha do ucha całej przeświecanej i przezacnej izby, kiedy urwis powiedział: „To Ignaś organisty cały ten figiel i wymyślił i zrobił!”

Ignaś miał już wtedy akurat lat dziesięć!...

Burmistrz i organista, każdy po jednej opuścili ręce! I tym sposobem obie ojca ręce razem opadły! Wikary z instynktu chwycił za dyscyplinę, wiecznie jak Polyfem zaczajoną w grocie jego rękawa. Ciwun rozstawił żelazne swoje palce i machinalnie za łeb obitego chłopca uchwycił, we wściekłości swej myśląc, że trzyma za białe kudełki Ignasia! Dziwu niema. Żal mu było biednego pieszczonego kota.

Cóż wtedy porabiał Ignaś?

Ostrzeżony hałasem i szumem tuż obok domu ojca zebranej gawiedzi, zwietrzył, błazen, zwąchał, że coś nie dobrze. Wysławszy sprytniejszych oberwańców na powzięcie języka, kiedy się o wszystkich niespodziewanych i nieprzewidzianych wypadkach najdokładniej dowiedział, kiedy nawet na własne ucho krzyk i jęk biczowanego chłopca posłyszał, przymuszony był wpaść do matki i wyznać jej wszystko.

Odgłos zbliżających się i oblegających dom burmistrza tłumów coraz wyraźniej dochodził do uszu. Nie było już do stracenia ani jednej chwili. Rozsrożony motłoch, jak potok wzburzony, jak lawa wulkanu, już się miał wytłoczyć do izby! Matka siadła za krosna i skryła chłopca w najmniej przystępne tajniki swojej odzieży. Tak kiedyś Rachel przykryła skradzione bożki ojca swego Labana.

— Gdzież ten zbrodniarz?! — woła majestycznie we drzwiach pełen pobożnego gniewu i zgrozy z podjętą dyscypliną w ręką dobry ksiądz wikary.

— A szukajcie go sobie, gdzie chcecie, — odpowiada przez ostatni wysiłek silnego ducha równym i spokojnym głosem zrozpaczona matka.

Ale o marności ludzkiej zabiegów! O siło przeznaczenia! Z pośpiechu została na krosnach zdradziecka poła sinea Ignasia kapotki!

— A łotrze, ty tutaj! — zawołał ze mściwą radością pocziwy nasz wikary: — wychódź-no tu zaraz! Ojciec, burmistrz i organista razem, cała triada w jednej osobie, załakł się już dawno własnego nad synem sądu. Nie mając siły ducha sta-

rożytnego Brutusa, zadrżał nad skutkami własnego dzieła, trwożył się zemsty, własnymi rozdmuchanej usty, zemsty nad ukochanem i jedynym dziecięciem. I choć go ksiądz wikary do wyciągnięcia za nogę obłęzonego zbrodniarza gorliwie nakłaniał, nie chciał jednak swej ręki do zguby syna przyłożyć i stał, jak skamieniała z rozpaczny Niobe.

Te ważne dla ojcowskiego serca powody, obce mi zupełnie były sercu księdza wikarego, pałającego i zemstą, i może tajemną zawiścią, że się ten błazen takim sposobem pochował u tak znajomej i sławnej z piękności i cnoty kobiety. Kto zgadnie tajemne duszy sprężyny?... Nikt inny tymczasem nie śmiał winowajcy szukać albo wyciągać z tak świętego azylu. Jeszcze chwila — a może rozsrożone, rozjuszone namiętności senatorów i ludu, zmiękczając się tak tkliwem dziecka schronieniem, rozczulając się łzą i odwagą zrozpaczonej matki, możeby się, mówię, złagodziły i ocaliły biednego naszego Ignasia. Bo zawsze ostateczności stykają się ze sobą...

Ale zły duch czuwa ciągle nad wszelkim ludzkim zamiarem! Chłopiec pod swoim przykryciem — kichnął na całą izbę! Serce matczyne nową przejęło się trwogą. — „Dusi się dziecko moje!” — zawołała, załamując ręce i zapomniawszy o wszystkim, raptem się z krosien zerwała, żeby dać wolniejszemu powietrzu przystęp.

Tu dopiero ksiądz Kozłowski, nie zważający nigdy, gdzie tego było potrzeba, na żadne zmiany powietrza a jak jastrząb na swoją czekający zdobycz, rzucił się na krosna i za lewą nogę Ignasia ułapił... Stało się!...

Pięćdziesiąt razy dyscyplina podniosła i opuściła się nad wypieszczoną i delikatną Ignasia skórka! I tak artykuły przegłosowanego przez izbę prawa święcie spełniono.

Otrzymy łyzy nasze, bo już się one na nic nie zdadzą.

Sama tylko zapewne księdza wikarego gorliwość tak go tutaj uniosła. Bo tuż po wymierzonej karze i jego dobre skądinąd serce ochłodziło i najeżoną bólem Ignasia dyscyplinę znowu za rękaw wsunęło. Dalsze więc sprawy tej wywody i wyszukanie współników po spędzeniu pierwszej oskomy do następnego dnia uroczyście odłożył.

Odszedł ksiądz tedy, zostawiając rzewnie płaczącą trójkę: ojca, matkę i syna. Syna, który wzruszony całą tą przygodą, wrzeszcząc jak żydowski bachor z całego gardła, umyślnie, na złość nie podnosił się z ziemi i nie zapędzał na miejsce tak podjętych jako i spuszczonej swoich sukienek dlatego, żeby liktorowi swojemu nie pokazać twarzy...

Wschodzące nazajutrz wesoło wiosenne nad miastem słońce zagoiło jakkolwiek te srogie rany. Noc prawie zawsze najlepszy przyjaciel, najlepszy doradca.

Przyjechał też razem ze słońcem i pocziwy pleban, któremu z urzędu tak niesłychany ze wszystkimi szczegółami opowiedziano wypadek.

Śmiał się staruszek z grzechu i psoty. Zmarszczył się na niepotrzebny hałas i karę. Ale cóż było robić? Już było po harapie! Dalsze jednak śledzenie już sam na siebie przyjął.

Wszelkie starania nie mogły tego dokazać, żeby tak niezwykajne zdarzenie zaraz szerokiem nie rozlało się echem po całej okolicy dorsuniskiego kraju. Owszem, tkwi ono jeszcze do dziś dnia w świeżej dorsuniskich mieszczan pamięci, którzy się nigdy zresztą z żadnym od tego czasu ważniejszym nie spotkali wypadkiem.

Dorsuniskim plebanem był wtedy ksiądz Antoni Międzygórski.

Otbył się pewno, jak kością, udawił, żeby tu słów kilka o tym świętym i rzadkim nie powiedział człowieku wprzód, nim co dalej powiem.

V.

Książd Międzygórski.

Cóż tedy chcecie, żebym o tym świętym Międzygórskim powiedział, coby was nie znudziło do śmierci?

Dusza jego jest już przed Bogiem oddawna i, jak tutaj, tak i tam pewno gorąco i za wami i za mną się wstawia.

Powiem wam więc tylko, jaką tę duszę oblekała glina. Międzygórski był średniej, nawet nieco mniej niż średniej urody i dobrej tuszy. Ciągła cnota na obliczu wierne sobie zawsze piętnuje rysy. Więc uśmiech dobroci, ciągły, nieprzerwany siadał zawsze na pełnych i przy ośmiudziesięciu latach koralem jeszcze okraszonych ustach. Oczy jasno niebieskie wypukłe. Zęby pomimo tak późnej starości wszystkie i wszystkie białe, jak perły. Głowa obnażona, świeciła jakimś powagą i świętości promieniem. Ostatki włosów w długich, jasnych, siwizną przeplatanych kędziarach spadały mu na ramiona. Nogi słabe i drżące mocował kij z trzciny wysoki, równy z nim samym urodą. Na nim się tedy starzec z przyciskiem opierał, sam o tem w chrześcijańskiej prostocie ducha nie wiedząc, jak bardzo,

bardzo dawnego pastorału Chrystusa był godzien. Był to wielki szacownik i przyjaciel ojca mojego, wzajem od niego kochany serdecznie. Pierwszy raz zobaczyłem go, mając może lat siedem. Przyjeżdżał zawsze starzec do nas na parę tygodni przed festem dorsuniskiego kościoła, prosząc ojca mojego na nabożeństwo i na kawałek, jaki mu Bóg dał, chleba. A nie każdemu ten honor się dostawał! Wiedział on dobrze, że już i wtedy inni nieproszeni na jego garnek przyjadą. Lubiący niewymownie dzieci, polubił mnie bardzo odrazu i zawsze jakiś drobny dla mnie przywoził gościniec. W dzień imienin ojca mojego statecznie dom nasz i obecnością swoją i błogosławieństwem swoim zaszczycał. Przysłów miał kilka. Kogo z dzieci lubił, zwykł był zawsze, gładząc je po głowie, całując je i ciężko wzdychając, mówić: „Kochanie jedyne, cudzy pożytku!” Żadne z dzieci rozumieć mimo niewinności swojej nie mogło, ile się w tych słowach niewinnego kapłana tajemnych ziemskich zawierało bólów.

Do starszych, z którymi był poufałym, kiedy mu coś, co mu się podobało, a szczególnie dowcipnego mówili, powiadał zawsze: „Pogańska szablol!” Zwykłe zaś przysłowie, ciągle na słodkich ustach jego bez jego nawet wiedzy bawiące, było: „Moci-panie”.

Kochany był powszechnie od panów, od szlachty, od ludu. Żadnego w nim cienia chciwości, a był ubogi. Umierając po pięćdziesięciu i dwóch latach kapłańskiego urzędu, zostawił całego zebranego funduszu sto czerwonych złotych.

Dowcipu, wesołości, facecji, anegdot było u niego bez miary. Co niedziela parafjanie, schodzący się do plebanji, trzymać się zawsze musieli za boki od wielkiego a niewinnego zupełnie śmiechu, którym zacny staruszek uszanowanie swoich gości nagradzał.

Gdzie się rodził i jakie odbył życia koleje, dzisiaj trudno się dopytywać i trudno z pewnością powiedzieć. Zdaje się, że był rodem z Wiłkomierskiego. To pewna, że szedł z familji szlachtetnej i piastującej za polskich czasów urzędy. Bardzo, jak się zdaje, młodo postanowił życie swoje Bogu poświęcić. Uczył się u jezuitów w Wilnie. Że nauki skiełzem mu nie poszły, widać to było. Bo i dobrze znał łacinę i w wierszach swoich, które pisywać lubił, a które gdzieś po śmierci jego jak w wodę wpadły, i dowody dobrego smaku i znajomości języka polskiego i wprawnego do pisania charakteru ręki niezaprzeczenie dawał. Oprócz łacińskiego, polskiego i litewskiego języka, nie posiadał innych. We wszystkich trzech pisywał wierszyki moralnej treści, często bardzo dowcipne. Nie znający żadnej cudzoziemskiej literatury tegorocznej, to, co w polskim języku napisane za czasu swojego zastał, i przeczytał, i przeżuł, i z pożytkiem dla siebie i drugich pojął. Ale nad te wszystkie marne i przelotne zalety zdobiły go i chęć i ciągłe staranie, żeby dojść, o ile tylko można, do idealnej doskonałości kapłana, Bożego sługi. Zdaje się, że Bóg mu te chęci pożądanym pozwolił uwieńczyć skutkiem.

Przeniesiony w nagrodę nieposzlakowanego i przykładnego życia z ubożuchnych Rumszyszek do

niewiele bogatszych Dorsuniszek, których plebanja cśm tylko chat posiadała, wzmagał tam chwałę Boską świętym życia swojego przykładem przez lat dwadzieścia i dwa. Tutaj skończył on pięćdziesiąt lat kapłaństwa swojego. Tu powszechnie czczony od starostwa dorsuniskich, książąt Gabrjelostwa Ogińskich, wielce poważany, z wielką ich kosztem wyprawioną wystawą ubogi starzec nową w 1827 r. odbył prymicję. W półtora roku potem z gangreny starości, od rozsrożonej róży na nogach powstałej, dnia 2-go września 1828 oddał duszę swoją Bogu, jak anioł, w Kownie. Ciałem do Dorsuniszek przeniesiony i tamże z powinną czcią pochowany. Umarł, zachowawszy od początku do końca dni swoich przedtem w świeckiej młodości dobrowolnie, a potem już Bogu przysięgą ślubowaną — czystość. Cnotliwy, wesoły i pewny całego życia i cnoty swej starzec miał dla młodszych od siebie, a wszyscy tu starzy przy nim jeszcze młodymi byli, pobłażanie i wyrozumienie w żartach, które czasem z najlepszem sercem stosowano do niego.

Sławna z rządności była gospodyni jego, niejaka Dzikowska, ogromnej urody i tuszy baba, któraby dwóch Międzygórskich za fartuch sobie zatknęła i jeszczeby znaku nie było. Owidowiła za młodu w miasteczku Szatach a wielce pobożna, wywdzięczając się mu za jakąś ważną, uczynioną jej rodzinie przysługę, służbę u księdza przyjęła, w niej się zestarzała i w niej do śmierci jego pomimo podeszłego wieku, kalectwa i srogich ciała swojego cierpień, wiernie i z poświęceniem się dziś bezprzykładnem dotrwała. Tę babę czasem za jej oczyma brano na antaby dla

śmiechu. A ksiądz pocziwy, serdecznie śmiejąc się, sam na siebie pomagał. Międzygórski był pełen dowcipu naturalnego, prostego, prostaczkowego bez najmniejszych dodatków uczoności albo pożyczek z cudzoziemczyzny. Dowcip jego był jednym z tych rzadkich, pełnych słodczy dowcipów, które śmieszą i bawią, nie koląc nigdy nikogo. Rzeczywiście nic łatwiejszego jak zbierać z drugich wzorki i dowcipnie szydzić. Słodycz ta jego zawierała się w tem szczególnie, że zawsze, jakie mu tylko przyszły do głowy koncepty, na swój karb składał i zawsze z siebie samego tylko żartował, a sam nigdy się nie śmiał. Tenże rodzaj dowcipu, mówiąc nawiasem, był i w Karolu hrabi Czapskim, wyższym daleko i ukształceniem i wyższego towarzystwa ozdobionym formami. To obu tych ludzi robiło bożyszczem: jednego — wiejskich zaścianków i domów, drugiego — pańskich miejskich pałaców salonów. Gdyby się to był człowiek kiedyś w młodości spodziewał, że mu na starość o tem pisać się zechce, zbierałby podobne kawałki, urywki i mielibyście teraz szkic czysto polskiego, naturalnego, dowcipu. Ale zawsze „mądry Polak po szkodzie!”

Do dziś dnia jeszcze między duchownymi a nawet między prostym ludem chodzi i Międzygórskiego i o Międzygórskim bardzo wiele anegdot. Ja te z biedy zacytuję tylko, które dotąd pamiętam, żałując z duszy, że właśnie najlichsze tylko przypadkiem w mojej przelotnej zostały pamięci.

Za polskich jeszcze czasów Truskowski, starosta rumszyski, pan namiętnie lubiący myślistwo, mieszkał zwykle w Rumszyszkach. Ubożuchnej plebanji rumszyskiej był wówczas pasterzem nasz Międzygórski.

Słodycz obejścia się, przykładne życie plebana, nałóg nakoniec dawny poważania duchownych sprawiły, że starosta lubił towarzystwo Międzygórskiego i rad go do siebie zapraszał.

Raz w jesieni Międzygórski, idący na obiad do dworu, spotkał na dziedzińcu starostę, wietrzącego i każącego trzepać futra pobitych przez siebie niedźwiedzi i lisów. Szczególnie lisich skórki wielkie było mnóstwo. Naszemu ubogiemu księdzu, jak sam zawsze wyznawał, przeszła przez głowę natychmiast myśl komunistyczna i grzeszna: „Jakby to dobrze było mieć choć dziesiątą część tych lisich futerek, byłoby na zimę w czym do chorego jechać!” Truskowski uprzejmie spotyka księdza. Popisuje się futrami. Chwali szczególnie włos lisów. I nakoniec powiada: „Otby z tego można było zrobić szub kilka, ale cóż, boję się dawać je tutaj naszym łotrom garbarzom, zawsze włos zepsują! Gdyby to kto umiał u nas wykręcać te skórki „na sucho”, tobym się to ucieszył. Ale tu nie umieją tego”. Ksiądz odpowiada: „I owszem. Widziałem ja j. w. panie ten sposób często w życiu mojem, choć sam tego nie praktykowałem nigdy. Zdaje się jednak, że potrafiłbym”.

— A mój księżel! a zróbże mi tę łaskę! Hej! pacholki, odliczcie tu księdzu półkopy lisich skórki... Wykręćże mi je, mój dobrodzieju, „na sucho!”

— Postaramy się, j. w. panie!

Ksiądz po obiedzie każe skórki nieść za sobą do domu. Posyła natychmiast do garbarzy. Wyprawia je. Każe sobie z nich uszyć sekretnie szubę. Zabrało to wszystko nieco czasu.

Przy końcu listopada wyskoczył mrozek. Ksiądz, proszony na obiad do starosty, kładzie na siebie szubę lisią i w niej się puszcza. Spotyka go u drzwi starosta.

— A mójże proboszczu! — a w jakiej paradnej szubiel daj go katu!

— A wszystko to z łaski i wspianiałości j. w. pana nad ubogim kapłanem.

— Jakto?...

— A toż właśnie szuba, „wykręcona” od j. w. pana przeze mnie „na sucho”...

Starosta się rozśmiał i szubę od szczerzego serca księdzu darował.

Międzygórski miewał zawsze do usługi małych chłopczyków, których przytem, ile mógł, tresował a i sam sobie z tego niemałą robił wygodę. Jeden z nich, pół sprytny, pół głupi, tem się szczególnie odznaczał, że nadzwyczaj był łasy. Co nie postavili byleby nie pod zamkiem, wszystko zwietrzył i zjadał, bywało. Wszystko jeszcze wtedy na wsi u wszystkich stało otworem.

Ksiądz na całoroczny zapas smażył sobie wiśnio-we powidła. Ale, znając już naturę chłopca, który mu pomagał, zapowiedział mu, że robi truciznę na szczury, myszy, kuny i na inne szkodliwe w gospodarstwie zwierzęta. Dodał i to, że człowiek bardzo łatwo także się tem truże, i dlatego polecił mu, żeby miał baczne oko, ażeby kto przypadkiem kiedy z garnka tego nie liznął. Wszystko to mówione było tak naturalnie i z taką prostotą, że chłopiec we wszystko uwierzył i postawionego na półce garnka bał się, jak ognia. Po pewnym czasie ksiądz, wychodząc na

mszę, kazał chłopcu tymczasem upiec sobie już oprawione i zupełnie przygotowane kurczę.

Siadł chłopiec u piecyka przy rożnie. Kręcił, kręcił, aż się pięknie kurczę zaczęło rumienić. Polał je masłem, posypał bułką... Jakoś to mu na palce kapnęło. Oblizał... smaczne! Jakoś naprzód wątróbka i pępek czernieć trochę zaczęły. Nie podobało to się chłopcu, myślał, że zepsuł jadło. Dotknął się wątróbki, ta mu na podstawioną brytannę upadła. Myśli sobie: „Żle! wyrzucę ją!... at, co ją wyrzucać, zjem lepiej!” Zjadł; wyborna. Ślinka bieży i bieży... Dotknął się z nudy pępka. Niechcący w palcach mu został! Zjadł i pępek! „Ksiądz”, myśli sobie: „głodny przyjdzie z kościoła. Nie pozna. Gdzie jemu tam o tem myśleć!”... Jakże więc zaczął powoli, smakować, — od uzdeczki do konia, nim się msza święta skończyła, już tylko od kurczęcia owego same na misce leżały kostki!

Spostrzegł się błazen aż wtedy, jaką psotę zrobił. Nuż tedy w płacz nad samym sobą. Nuż rwać włosy na głowie! A potem, rzuciwszy wszystko, pędem poleciał do księzego sypialnego pokoju.

Międzygórski, nie wiedząc o niczem, wraca z kościoła.

— Chłopcze, podajże śniadanie! — Chłopiec wyłazi z za pieca, cały wybladły z rozczochanem i najeżonemi włosami, z przewróconą twarzą i ze łzami w oczach powiada: „Niema już kurczęcia, jegomość!”

— Jakto niema? Co! a gdzie się podziało?

— Ja zjadłem...

Ksiądz był na ten raz w dobrym apetycie. Żal ścisnął mu kışkę.

— A ty smarkaczu, ty błaznie, a ty taki, owaki, jakto się ty ważyłeś rzecz taką zrobić?... Rózek!

Tu chłopiec zrozpaczony pada do nóg łzami zalany, chlipiący... „Nie trzeba już rózek jegomość! Nie karz mnie już, księże dobrodzieju! — woła — winien jestem, znam to i ukarałem już za to sam siebie. Ja życiem mojem za ten grzech płacę!

— Co znowu tam bredzisz?

— A tak, jegomość, już ja się za to otrujęm!

— Jezus, Marja, Józef! — ksiądz woła — bezbożniku! co ty mówisz?

— A tak, jegomość! Jak zobaczyłem, że niema już kurczęcia, żal mnie wziął serdeczny za grzechy i postanowiłem sam siebie ukarać! Pobiegłem do jegomościńskiego pokoju i zjadłem cały a cały garnek tej trucizny, co to jegomość latem na szczury i kuny gotował!

Takim sposobem chłopak zjadł mu i kurczę i cały garnek konfitur...

Mnóstwo takich i tym podobnych facecyj sypało się u niego jak z za rękawa. Wiele z nich jest trywjalnych a bardziej takich, do których pojęcia i zwierzenia całej soli długiegoby wprzód potrzebą było komentarza. Wypadłoby objaśniać miejscowe okoliczności i stosunki, które tę śmieszność robiły. Jednakże jedna z takich, dowodząca wielkiej pomimo cierpień ciała i tak późnego wieku przytomności umysłu, jest następująca anegdotka.

Ksiązę Gabrjel Ogiński, starosta dorsuniski, zacny, dobrze wychowany i anielskiego serca czło-

wiek, czasem w niedzielę do dorsunskiego kościoła zajeżdżał i zwykle wtedy sędziwego proboszcza, którego bardzo poważał i kochał, z całą swoją świtą odwiedzał.

Raz tedy po mszy świętej dają znać Międzygórskiemu, że ksiązę do plebanji w gościnę idzie. Każe się więc pod ręce do sieni na spotkanie kolaratora swojego wyprowadzić starzec. Ogiński, już do drzwi plebanji podchodzący, zoczywszy plebana, rzekł mu żartobliwie: „Jak się masz? i co porabiasz? kochany nasz pastuchu!” zamiast pasterzu.

Międzygórski wręcz na to, ukłoniwszy się nisko i wyciągając ku księciu ręce, powiada: „Co porabiam, mości ksiązę? Oto ciągle wołam na moją trzodę — „a juks, a juks!” a ona mimo to ciągle do plebanji się ciśnie!”...

„A juks” jest zwyczajnym u pastuchów przyklichem, którym wypędzają świnki.

Nie brakowało mu też anegdot o dawniejszem życiu szkolnem za jezuitów; o agreście, o szypszynie i tym podobnych jezuickich słodyczach. Jedną z nich taką pamiętam.

Ksiądz profesor poezji w Wilnie zadał był uczniom swoim za temat do epigramatu w polskim języku napisać wiersze na psa, który stał wespół z innymi zwierzętami na wieży kościoła św. Jana ulepiony z gipsu.

Studenci wszyscy napisali nazajutrz zadanie oprócz jednego bajbaka pod wąsem, co już trzeci rok wybrnąć z poetyki nie mógł i najmniejszej do mowy rymowanej nie okazywał zdolności. Epigramat zaś

napisany być miał pod batogiem tak, jak się tam wszystko odbywało ciągle. Bajbakowi srodze się wziąć w skórę nie chciało. A tu ani weź, skąd wziąć konceptu!

Szczęściem ksiądz profesor był na ten raz w różowym humorze. W skórę tedy leniwym uczniom nie dał, ale na jutro epigramat koniecznie wygotować kazał pod karą dwoistej liczby plag. Basałyk dzień i noc dręczył się i dręczył a weny, jak niema, tak niema! Poszedł tedy rano na lekcje pewny, że weźmie porządnie w skórę. Ale po pierwszym dzwonienu wyszedłszy jeszcze przed lekcją z kawałkiem papieru na dziedziniec św. Jana i tam, szukając natchnienia i płacząc, coraz to na tego nieszczęśliwego psa spoglądał. Przechodził wtedy dziedzińcem jakiś młody wyga, aplikant trybunalskiej palestry. Zastanowiło go to zazieranie studenta w górę a potem płacz rzewny.

— Co ci jest przyjacielu? — Bajbak opowiada mu swoje nieszczęście.

— Głupiś, — rzeknie aplikant — tylko to? Obejrzyj się naokoło, czy nas kto nie widzi. Ja ci podyktuję natychmiast wiersze. Tylkoż mnie czasem nie wydaj!

— A niech mnie Pan Bóg i Matka Najświętsza broni! — odrzekł ucieszony student. Podyktowane naskrobał wiersze i triumfujący wrócił do klasy.

Ksiądz profesor, zasiadłszy na katedrze, zaczyna od wezwania opieszalego studenta, co wczoraj nie wydał pensy. Ten z miną śmiałą wychodzi z ławki i podaje papier. Ksiądz czyta:

„Że pies na wieży stoi, to nie wielka sztuka!
Niech ksiądz profesor zgadnie, czy to pies, czy
suka!”

Zgroza objęła profesora. I za to wyzwanie na
zoologiczny rekonesans szanownej profesorskiej oso-
by bajbak, rozciągnięty na pieńku, otrzymał piętnaście
bizunów...

VI.

Triumf.

Wróćmyż teraz do naszego Ignasia.

Owóz jakim już wyżej powiedział, nastąpił ten dzień piękny i jasny. Sobota Wielka! Dzień, w którym sam proboszcz miał wziąć go na egzamin. Chłopiec wymyty, wyczesany, w pięknym ledwieże nie jutrzejszem świątecznem ubraniu, trzymany od matki swojej za rękę, stanął przed Międzygórskim.

Łagodna twarz świętego proboszcza, ciągly najśłodszy uśmiech na jego ustach już i oskarżonego, i szanowną jego rodzicielkę dobrą przejęły otuchą. Bo ksiądz wikary, lubo dobry i pocziwy człowiek, młody był jeszcze, nieunoszony i paliwoda. Większą zatem od samego proboszcza zwykle u ludzi z pod serca wywoływał trwogę. Podług odwiecznego chwalebego zwyczaju i matka, i syn ucałowali ręce proboszcza. Ignaś z dyplomatycznie chytrej macierzyńskiej nauki po tem wszystkiem jeszcze się jak długi — a wtedy był bardzo krótki — do nóg księdza położył.

Ksiądz wikary stał z założonemi wtył rękami, grzejąc się raz ostatni w tym roku przy ostatnim już także wypalonym księdza proboszcza piecu.

Proboszcz kazał Ignasiowi powstać na nogi a gładząc go po główce, łagodnym i jemu tylko właściwym głosem przemówił do malca, żeby się sam przyznał i starszych od siebie współników swych podał.

Ignas ze łzami w oczach ze wszystkiego grzechu swojego głośną odbył spowiedź. Zapewniał, że się nie spodziewał nigdy, żeby kot miał odwagę wskoczyć aż do Pańskiego grobu. O współnikach zaś swoich tyle tylko zeznał, że ich namówił do plaskania cienkimi biczowiskami po ścianach kościoła, w celu wypędzania Judasza. Dodał wszakże, że w tem widzieć nie mógł nic złego, bo wszyscy obywatele miasta Dorsuniszek, cały magistrat, wszyscy dygnitarze co rok wobec księdza wikarego wielkimi i bardzo grubemi kijami taki sam sztuczny a pobożny hałas stęcznie w domu Bożym robią. Ksiądz wikary, patrząc i na matkę, i na syna, aż do krwi przykaśli usta.

— Tak — rzecze łagodnie proboszcz, sroższy wzrok na wikarego rzuciwszy — ja też ciebie, moje dziecię, o złe chęci przeciw domowi Bożemu nie obwiniam zgoła. Nawet ci starsi, co pomagali tobie w robocie sukienek i tych innych fraszek dla ubrania kota, zlej także zapewne myśli nie mieli. Ale oni zawsze, jako starsi, mogli cię od złego odciągnąć i od zgorszenia, jakie może i mimowoli w niewinności duszy twojej zrobić, powstrzymać. Powiedzże mi prawdę, kto wyrzynał te skrzydła?

— Ja...

— Nieprawda! Nacóż kłamiesz? Dowód u mnie wszak być może pod ręką. Czyż potrafisz tak wykroić teraz, gdybym ci dał tutaj arkusz świeżego papieru?

— Potrafię.

— Zaraz i tutaj?

— Natychmiast! oto tutaj w oczach jegomości.

Ksiądz wyniósł i nożyce i papier. Matka westchnęła. Ksiądz wikary, niewiedomo z jakiego powodu, aż dwa razy, raz po raz, zażył tabaki.

Malec wzięwszy w ręce nożyce, z radością powiada:

— Oho! takimi to ja piękniej jeszcze wystrzygę. Ja tamte zrobiłem nożycami, którymi owce strzygą.

I zaczął kroić. Proboszcz brwi podniósł do góry. Chłopiec, jak po maśle, strzyże papier w różne piękne figlasy.

Ksiądz palec zadziwienia do ust swych przyłożył.

— A widzisz — rzecze — księżu wikary, że to on sam jeden a nie żadne dziewczęta wszystko to porobił.

Wikary podjętą i postawioną do góry dłonią, jakby jaką przyłbicą, upieczonemu raka na twarzy swojej zasłonił i „*Mea maxima culpa*” przebaknął. Matka, nie umiejąc po łacinie, nie rozumiejąc niczego, instynktem serca domyślała się tylko, że tu o coś bardzo ważnego dla jej syna idzie. U stracha wielkie oczy! Nowemi się tedy zalała łzami i nowem westchnieniem złagodziła niepewność, na czym się ta bieda skończy.

— Widzi jegomość, że to głódziej jeszcze wystrzygłem — rzekł Ignaś, oddając wybornie wykonane skrzydło.

— Skądże miałeś złoty papier?

— Znalazłem, ot tylki kawałeczek, co walał się w kuferku tatusia. Wziąłem go sobie dla zabawki.

— No widzę, że to mówisz prawdę. Ale któż ci dostarczył tego czerwonego papieru?

— Ja sam biały papier tak pofarbowałem.

— Ty, czym?

— A toż zawczoraj na święcone zabito u nas indyka i prosię. Ja sobie, bawiąc się koło Marty, krew podebrałem w czerepek i tem pomalowałem papier.

— Ał, co znowu pleciesz? to papier glansowany taki, jak pan komornik tutaj przed tygodniem z kram kowieńskich przywoził.

— Nie, jegomość, to ja go sam tak wygładziłem na cepie tym starym nożem, co to u tatunia zawsze zatknięty w uszaku.

— Przypuszczam, że tak. Ale skąd żółty papier?

— Oho! ten ja pofarbowałem tą gliną, co tam jest nad Niemnem pod wielkim kamieniem, gdzie to zimna woda sączy się.

— Kłamiesz chłopcze! to papier i kolorowy i klejowy. Gdyby farba nie była na kleju, zostawiłaby ślady na palcach przy potarciu.

— Jako, widzi jegomość, tę glinę tarłem cały ranek między dwoma szkiełkami od zbitego lustra, co u nas leży na oknie. Przyznam się, że dla pośpiechu w robocie zawołałem jeszcze i Marcinka. U nas teraz post. Ja, póki on tarł glinę, nieznacznie dopilnowawszy, że Marta od pieca odeszła, schwyciłem parę łyżek postnej zacierki, zamięszałem z farbą i jak namazałem na papier, to tak się przyjęło, że i odstać nie chciało, jak jegomość widzi.

— A zrobiłbyś tak i drugi raz jeszcze?

— Zrobię, jegomość, i daleko piękniej. Bo tu się chowałem z robotą i w odrynie, i po wszystkich kątach! Chciałem, żeby nikt tego nie widział.

— To już tę próbę zobaczymy po świętach. Ależ mnie powiedz, kto skroił, kto szył sukienkę dla diabła?

— Ja sam.

— Może skroiliś — rzekł ksiądz wikary — ale kto uszył jeżeli skroiliś?

— Ja sam i skroilem, ja sam i uszyłem.

Matka plasnęła w ręce, wołając: „Wszelki duch Pana Boga chwali!” Bo to właściwie jej już był wydział.

— To być nie może, żebyś ty szyć umiał i jeszcze takim pięknym ścięgiem.

— A ja zaraz jegomości pokażę. Mamuniu, czy nie masz tam gdzie igiełki z nitką?

Igła znalazła się. Malec tak zszył chustkę od nosa matki, bo matka już nosiła chustkę od nosa, że i ksiądz proboszcz, i ksiądz wikary, i matka razem za głowę się wzięli. Wikary jednak odwrócił się od świadków, nowego chowając raka. Wtedy już poczywy proboszcz, widząc tak niepospolite dziecka zdolności, tak dowcipne nowego Robinsona wśród cywilizowanego dorsuniskiego ludu pomysły, drżącymi rękami podniósł do góry i ucałował chłopczykę. A matce zapowiedział na ucho, że się z tego syna wielkich pociech spodziewać może. Chłopcu zaś dodał surowym niby głosem, że w nagrodę jego otwarcia tego do całej winy przyznania się, proboszcz od dziś dnia sam bierze na siebie i dalsze prowadzenie jego



TYPY Z POCZĄTKU XIX W.
(według współczesnej litografji wileńskiej)

i dalszą naukę. Że Ignas zaraz po świętach, przedstawszy chodzić do wspólnej szkółki urwisów, ma ciągle zostawać w plebanji i od samego plebana brać lekcje, dostając codziennie około wotywy po kawałku chleba z masłem na rachunek listy cywilnej proboszcza. Jednem słowem, zupełna zmiana dekoracji! Honor, zaszczyt, oklaski, jakich oddawna w dorsuniskiej nie słyszano plebanji.

Burmistrz nad klawiszami domowego klepadła swojego ogromnym głosem zaśpiewał: „*Magnificat*“. Uszczęśliwiona matka z powodu tego zdarzenia cały dwór proboszcza, żadnej osoby i płci nie wyłączając, a nawet dziadów kościelnych zaprosiła do siebie na jutrzejsze święcone.

Ignas pierwszego dnia Wielkiejnocy, oddawszy proboszczowi twardo ugotowane czerwone jaje, tak zręcznie schwyconym u wikarego scyzorykiem na dwoje przecięte, że się nikt tego rozdwojenia ani domyślić nie mógł, i, włożywszy w środku jaja malutką pasyjkę, wystrzeżoną z papieru — cały tydzień po miasteczku, jak podsmalony z urwisami latał a z kim mógł bił a bił jaja. Bo to u nas taki odwieczny zwyczaj. Ale po Przewodniej już się ustatkował i od samego plebana pobierał i chleb z masłem i swoją naukę, w wielkiem u pocziwego księdza będąc zachowaniu.

VII.

Zegarmistrz.

Ignas pisał z formatyk. Pisywał czasem na dzień po jednej literze, ale w takim razie, choć pisać nie umiał, litera ta jego żadnej różnicy od sztychowanej w formatyce nie miała. Że ksiądz aż dziwił się tylko i milczał albo mówił: „*Mirabilis est Deus in operibus suis!*” Milczał, żeby chłopca nie podnosić w butę. Ale wiele razy w duszy powiedział: „Pogańska szablo!” albo, wzdychając, „Kochanie jedyne, cudzy pożytku”, to tylko sam wiedział najlepiej. Coraz mu też jaką poddał ręczną robótkę, żeby talentu w ręku nie tracił. Cóż poczniesz! Wiosną to wszystko się jakoś nie brało. Malec naprzód butów jak kajdan się lękał. Jak tylko z oczu, to buciki za płótl patrzył bez końca, jak rośnie bylica i pokrzywa, notując codzień stopień rozwijania się i łodygi i listków. Dopilnowano go w tej pracy, którą chciał mieć sekretną. Proboszcz, uwiadomiony oczywista o tem, do botaniki w Ignasiu upatrywał zdolności. Ale, że to być mogło i proste trzpiotalstwo, zapędzał go więc do książki i, żeby go lepiej mieć na oku, do własnej pierwszej zapakował izby. W izbie nowa bieda!

Dom plebana, jakkolwiek ubożuchny z ubogich, jakkolwiek same tylko najprostsze, najpowszedniejsze sprzęty i ozdoby zawierał, dla miasta Dorsuniszek był jednak i być musiał prawdziwym Luwrem, Watykanem, pałacem Pitti, Grüne Gewölbe, British Museum i Ermitażem. Każdy w czarną, woskiem potartą ramkę wprawiony święty obrazek, każdy kopersztych, każdy z wosku po cudownych miejscach ulepiony bałwanek, był już dziełem wysokiej sztuki, prawdziwą osobliwością, bo zawsze „dziwuje się ciało, czego nie widziało“.

Najcudowniejszym i z wszelkich cudów i ciekawości plebanji był jedyny w całym dobrem mieście Dorsuniszkach prosty z drewnianą mechaniką zegar ścienny. Drugą jeszcze, jeśli można, większą był srebrny ale to doprawdy ze szczerego srebra a nie posrebrzany, jak sobie może myślisz, ogromny, jak garnuszek od śmietanki, kieszonkowy proboszcza zegarek. Zegarek, który najczęściej wisiał nad łóżkiem na półzamkowym żelaznym ćwieczku, niedawno ochroniony od tarcia ściany piękną, przez Igasia z siwego papieru po cukrze wystrzyżoną zasłonką. Wikary pomimo całej swej oszczędności jeszcze się był na zegarek nie zdobył. Wówczas kosztowało to drogo i bardzo drogo! Od najścia dopiero Francuzów, zegarki tutaj zaczęły być częstsze. Oni ich nanieśli mnóstwo do Rosji. Kozacy, złupiwszy to podmrożone plugastwo, nim przeszli za Niemen, obciążeni masą zdobyczy, czasem za parę złotych sprzedawali zegarek.

Powiedziałem, że w izbie nowy był księdzu ambaras i bieda. Ignaś uczył się i pisać i czytać, lekcje

wydawał tak, że zawsze SC można było zapisać w er-racie — ale cóż, kiedy tylko proboszcz za próg, dja-beł wchodził do izby i kusił Ignasia, ciągnąc go do ściennego zegara i w tem umyślną zgotował mu past-kę. Pod samym bowiem zegarem stał duży stół malow-
wany z czerwoną warcabnicą pośrodku a tuż przy stole był także czerwono malowany stołek zamiast fotelów i krzesel. Jakże się tu oprzeć pokusie! Jak na stół nie wleźć. Jak tylko niema nikogo w izbie, nie-szczęśliwy, a sam bez niczyjej pomocy z kąta w kąt idący perpendykuł aż w poty Ignasia ciekawość wpro-wadzał. Czemu się to on tak, jak żywy, się rusza? Czemu on to tu, to tam idzie a idzie? Czemu tam coś znowu tak pięknie dzwoni, że ani razu jeszcze zakrystjan tak pięknie nie zadzwonił w kościele?

Ignas nie wytrzymał! Wlażł na stół. Patrzył, patrzył, ale się nie dotykał do niczego, broń Boże! W tem już była dawna urodzona delikatność i szla-
chetność szlachcica. Udało się cichaczem popatrzeć raz i drugi. Ale cóż z tego, kiedy tam cały las kółek i zębów, a wszystko się rusza i samo chodzi! A też sznury, a też wagi, co znaczą? A dlaczego to wszyst-ko tak, jak żywe? Mospanie za jednym, za drugim razem wszystkiego nie dojrzysz! Malec polazł raz trzeci, czwarty, dziesiąty! Aż go na koniec ksiądz na uczynku zdybał i sfukał. Spuściwszy nosa, chłopiec znowu ten nos swój w elementarz wsadził. Ksiądz wyszedł. Wąż malcowi powiada: „Leż znowu do te-go zegara; on akurat tak, jak drzewo wiadomości zle-go i dobrego!”

Chłopiec poszedł znowu i znowu tak się zaga-pił, że go znowu ksiądz przydybał. Znowu się Ignas

zawstydził, ale dlatego, jak tylko mógł, drapał się na stół i na zegar gawronił. Już to było silniejsze od niego.

Poczc'we księżysko naprawdę lękać się zaczęło o zepsucie jedyne go, jak świat w Dorsuniszkach szeroki, swojego zegara. A tu zegarmistrza, żebyś dał konia z rzędem, za nic na mil kilka nie znajdziesz.

Nakoniec jednego dnia zegar, święcie i regularnie przez Dzikowską o prymarji nakręcony, nistał, nizowąd stanął doprawdy, ale to tak, że choć i nakręcany, ani się ruszy! Dzikowska w płacz. Ksiądz, wróciwszy z kościoła, wzięwszy się za głowę, powiada: „A to ten łotr Ignasiek!” Zakrystjan w rozpacz potakuje księdzu. Ale po przejściu pierwszego żalu, ksiądz reflektuje się zaraz, że Ignas od dwóch dni z Dorsuniszek wyjechał. Wziął go z sobą ojciec do Kroń, żeby się przypatrzył, jak okuwać koła, jak kalamaszkę narządzić. Zegar całe dwa dni szedł jak najlepiej. Nie, to już nie wina Ignasia! To dopuszczenie Boże! Wprawdzie zwilgotniało powietrze, ale czyż raz tak bywało, a zegar o to nie dbał? Nie, to być musi inna jaka przyczyna. Ale może to i od tego?...

Nadjeżdża Ignas. Widzi całą plebanję z okropnie długimi twarzami. Pleban sobie, wikary sobie, zakrystjan sobie, Dzikowska sobie — choć na koniec świata uciekaj! Tak to wszyscy do życia tego zegara własnego życia i ruchu przywiązywali interes. Ignas, spojrzawszy na niemego już i skołałego kilkomiesięcznego przyjaciela swojego, naprzód zalał się łzami a potem z żalu, jak kot, skoczywszy na stół, zaczął perpendykuł całować i oblewać łzami. Po

chwili uciszył się raptem, podbiegł do proboszcza, upadł mu do nóg i zrozpaczonym głosem zawołał: „Jegomość, jegomość, pozwólcie mnie tylko wleźć zupełnie na stół i tam we środek popatrzeć! Może ja i pomogę, może dam radę!”

Pleban, sam złym wypadkiem zmartwiony, drapiąc łysinę, machnął i ręką i głową na znak rozpaczliwej zgody w tak krytycznym razie. Chłopiec staje na stole, patrzy z uwagą, przypatruje się lepiej i zaczyna śmiać się i tańcować na tym poważnym stole. „Pójdzie zegar, jegomość! pójdzie zaraz znowu! Niech się jegomość nie alterujel!” i jak długi upadł nanowo z radości do nóg naszemu księdzu. W parę minut zegar szedł doprawdy z poważną fantazją pływającego pod wszystkimi żaglamy okrętu. Szedł jak gdyby níc mu nigdy nie było.

Przyczynę jego choroby sprawiło zaproszenie jednego kółka spadłym ze stolowania kawałkiem wapiennej pobiałoty. Ignaś zręcznie różeczką, z miotły wyjętą, tego nieprzyjaciela wyrzucił i zegar majestatycznie poszedł. Podziwu i aplauzów dla małego zegarmistrza nie było miary. Ignaś, cały już dumą talentu od stóp do głowy pokryty, zapowiedział księdzu, że pomimo to on dostrzegł kilka innych defektów i że się oddawna już lękał, żeby ta cudowna machina lada moment nie zatrzymała się w swoim wdzięcznym ruchu. Trzy wielkie nieżywe i zaschłe już muchy, jeden kosą nieubłaganej śmierci podcięty pająk i mnóstwo pyłu tak złowrogi wywołały prognostyk i nową całemu miastu groziły zegara stagnacją. Każdy już wierzył ślepo zdaniu Ignasia. Dreszcz po skórze słuchaczy przebiegł. Zapytał go więc

ksiądz tak już, jak dorosłego mężczyznę, coś na to za rada.

— Ja muchy i pajaka może i wyrzucę, ale pyłu wyrzucić nie mogę! Ale zegar trzeba wyczyścić. Niech jegomość nie lęka się, niech mnie tylko pozwoli, ja wszystko zrobię. Niedarmo ja tyle czasu w niego patrzałem.

Pomimo przeczących głowy Dzikowskiej ruchów, ksiądz się zgodził na to. Ignaś od tego zaczął, że wszystkich obecnych i Dzikowską nawet za drzwi wyprowadził, a w oczach księdza zegar rozebrał, oczyścił i złożył. I zegar szedł tak dobrze, jak jeszcze nigdy nie chodził!

Ignaś do chleba z masłem, naznaczonego mu dawniej, dostał w drodze łaski dodatek: codzień kawałek litewskiego wędzonego kumpia. Cały świat o tej nadzwyczajności przez kilka tygodni mówił. Sława dziecka po całym się mieście rozniosła szerokimi drogami. Nawet w Siekankach, wsi o całe pół mili od miasta odległej, dowiedziano się o tem i przez dwa dni w karczmie mówiono!

Pomimo tych mechanicznych triumfów, Ignaś nie zapominał ani o swojej bylicy, ani o swojej pokrzywie. Z radością widział, że te pod ojcowskim skrzydłem jego opieki, codzień ręką jego polane, w kilka dni naokoło ręką jego oplete, trzy razy wzrostem i bujnością przeszły te rówieśnice swoje, które samopas zostawione były. Odtąd czas Ignasia dzielił się między zegarem i różnemi dzikimi ziołami. Rad był, że go wdzięczna pokrzywa w łapki nie piekła, i widoczną prócz mechaniki do nauki ziół na-

bierał chętkę. A to tak dalece, że kiedy książęta Ogińscy, będąc raz w kościele, sławnego z niepospolitych zdolności chłopca zobaczyć chcieli a sama księżna oprócz gościńca dała mu jeszcze kilka cukierków, produkt najzupełniej nawet starcom dorsuniskim nieznanym i obcy, Ignaś, jak się dowiedział, że jeden z tych cukierków a najponętniejszy i najbardziej wprasający się do gęby jest migdałem, w cukier oblanym, odrzucił daleko od siebie łakomy głos podniebienia i, wierząc, że coś z tego migdała wyrosnąć może, sekretnie go do ziemi obok swojej bylicy posadził. Owszem cukierek ten przez całe cztery tygodnie rano i wieczór polewał, czekając, aż wszędzie. Wszystko to wiem od niego samego. W dojrzałym już wieku chęć postrzegać do tego posuwał stopnia, że mi się po jego śmierci dostała książka, w której, pielęgnując, już jako znawca, mnogie rośliny, pilnie badał i zapisywał, jak długo nasienie każdej z nich w danych okolicznościach w ziemi bezwładnie leży i jak wiele dni trzeba, ażeby rostek puściło i nad ziemię wzeszło.

W ciągu tych wypadków, które z natury rzeczy pewny przeciąg czasu obejmować musiały, pocziwy Międzygórski pomimo to, że się, jak ojciec, do tego dziecka przywiązał i w niem starości swojej widział osłodę, zwoławszy jednak familijną radę, oświecił burmistrza i matkę o coraz więcej rozwijających się Ignasia zdolnościach. Otworzył im oczy na dalsze nadzieje, piękną im w synie pokazał przyszłość. Skończyło się na tem, że Ignasia, już dosyć sporego podówczas chłopaka, oddać koniecznie do szkół postanowiono.

Fundusz burmistrza bił w oczy sąsiadów. Nie mógł tedy ojciec wymawiać się niedostatkiem grosza dla jedynego i tak zdolnego chłopca, do którego serdeczną przywiązany był miłością. Chodziło tu tylko o bolesne rozstanie się z tą duszą rodziców pociechą. Na to ksiądz trochę wziętych z Seneki i innych filozofów przyrzucił pociech. A oprócz tego na wszelki przypadek przyrzekł i zaręczył, że w razie niedostatku i on ze swojej biedoty obiecuje tak wielkim zdolnościom, o ile będzie w stanie, dopomóc.

Zarumieniło to trochę wielokrotnie od świętego plebana bogatszego burmistrza i ojca, zadrażniło jego miłość własną. I sprowadzeni z Butrymańców i krawcy i szewcy zaczęli dla Ignasia przystojne gotować sukienki, obuwie, kiedy matka ze swojej strony, otworzywszy przepełnione różnego gatunku płótnem kuferki i kubły, zwoławszy młode swoje sąsiadki, stosowną dla jedynaka przygotowywać zaczęła bieliznę.

Ignas tymczasem, nie wiedzący o niczem, chodził z nosem spuszczoneym na kwintę. Zegar jego wprawdzie dotrzymywał mu we wszystkim. Ale bylica i pokrzywa przy końcu właśnie sierpnia żółknąć i posychać to tu, to ówdzie pomimo wszelkich starań jego zaczęły!

VIII.

Szkoła.

Już tedy czas przyszedł! A jak przyszedł, umytego, uczesanego i ubranego porządnie Ignasia z dwoma złotemi na pierniki i z krzyżykiem cynowym od matki, obrazkiem Najświętszej Panny Ostrobramskiej od księdza proboszcza ojciec posadził na kałamaszkę i zawiózł jednym koniem do Kowna do powiatowej szkoły, gdzie chłopca po odbytym egzaminie do pierwszej klasy przyjęto.

Wszystko jeszcze w owej epoce było wesołe, śmiejące się, szczęśliwe. Pierwsze łagodne rządów Aleksandra lata dozwalały ludziom żyć w pokoju ze wszystkimi i z sobą. Dozwalały żyć z dobrą nadzieją i z zupełnem bezpieczeństwem o siebie. Jeszcze się był ów bicz żelazny z rękojeścią z ołowiu nie znalazł, którym się całe pokolenia Europy do smutków i kwasów zapędzać miały. Jeszcze nie było tych nieszczęśliwych podejrzeń, tych zgubnych delacyj, pod którąremi często i niewinności samej w fałszywej sukience zbrodni chodzić potem kazano. Nikt z obu stron wtedy o politycznych wpływach ani pomyślał! Dziwiono się blaskowi Napoleona swobodnie, głośno, otwarcie, jak cudownej jakiej komecie. Dyplomatom

i działom zostawiano właściwe w polityce rozprawy. Język mało podówczas w tym względzie znaczył. Gadaj sobie, co chcesz, a rób tylko, jak prawo każe, — taki był wówczas systemat. Nikt o buntach i powstaniach nie myślał. Tutaj opór, tam nieufność i bojaźń jeszcze były owego nieprzebitego do dziś dnia nie wykopały dołu i jaj w nim swoich nie złożyły jeszcze.

Szkoła kowieńska celowała podówczas nad wszystkimi w Litwie. Zewsząd tam dzieci wieziono. Przy równie dobrze, jak i w gimnazjach, wykładanych naukach daleko szczęśliwiej tutaj wpływano na usposobienie moralne i prowadzenie się młodzieży. Dozorcy i nauczyciele w tej szkole byli to ludzie, co dawny rygoryzm ojców jezuitów z nowemi wyobrażeniami, wlanemi przez różne komisje, w celu poprawy początkowego wychowania wytknięte, pojąć, połączyć i przeżuć umieli. Z samego Wilna, soczewki nauk na Litwie, wielu tutaj wychowywało swych synów, choć miało pod ręką tak sławną, jak wileńska, szkołę!

To życie, ten tak szczęśliwy kierunek i popęd dawało szkole kowieńskiej dwóch prawdziwie rzadkich i w swoim rodzaju genialnych ludzi. Dwie prawdziwie nauczycielskie gwiazdy. Szymon Ławrynowicz, prefekt, o którym już gdzie indziej obszerniej mówiłem, i Stanisław Dobrowolski, profesor historii i literatury. Szczęśliwe i stokroć błogosławione miejsce, gdzie się dla młodzieży choć jeden taki człowiek wydarzy! Tutaj rzadkim zbiegiem okoliczności dwóch ich obok siebie było! To niezwykły przypadek i przykład! Częstszym znowu w życiu przykładem ujrzysz, że tacy dwaj ludzie, obaj znani, obaj poczcivi z gruntu,

obaj szczerze bogobojni, obaj nieocenieni, obaj nieodbicie dla młodych kraju nadziei potrzebni, pomimo dobroci, nauki, rozumu i cnoty, należnej sobie nie trafią oddać słuszości!

Tak i tu było — na szczęście bez szkody młodzieży! Nie lubili się wzajemnie. Ławrynowicz za nadto się surowym i ostrym dla młodzieży profesorowi wydawał. Absolutnemu prefektowi profesor jakimś czadem demokracji i popularności trącił. Wszystko to jednak zręcznie się pomiędzy nimi ukrywać umiało. Młodzież to tylko czuła: że na głos Ławrynowicza cały świat szkolny natychmiast się w krzaki rozbieży. Że głos Dobrowolskiego w okamgnieniu skupiłby go co do joty w nieprzełamaną kohortę. Manewr tedy byłby w skutkach swoich najzupełniej zadawalniający. Ale skutki te były owocem wspólnego, rzadkiego ich talentu. A mimo to nie rozumieli się do samej śmierci. Wspólnym losem obadwaj w dalszych życia nauczycielskiego kolejach byli mniej więcej ofiarą tego przeznaczenia, które często imię ludzi bardzo powszednich z ust do ust podaje a zrodzonych, jakby się zdawało, w jakiejkolwiek sferze i błyszczyć i długo świecić jeszcze za ich życia w zupełną noc niepamięci pogrąża. Zapomnieli ich nawet własni ich uczniowie! A ci najprędzej, którzy im najmocniej byli obowiązani!

Z tem wszystkiem, odrzucając dzisiejsze całego świata do ministerstwa konieczne dążenia, kiedy już dla braku posad i czemsiś mniejszym rady nierady kontentować się potrzeba, czyż nie dosyć zawsze zaszczytu być przewodnikiem całego pokolenia, które nas w obliczu Boga i ludzi kiedyś ma swoim zastą-

pić życiem? I Ławrynowicz i Dobrowolski znali tę swojego życia i odbytej misji swojej wysokość. I z pogodnem czołem zawsze przestawali na swoim.

Szczery, pogodny, wymowny, dowcipny, szlachetny, więcej wszechstronnie niż gruntownie uczony, z pięknym organem głosu, pięknym oprócz tego obdarzony tenorem — Dobrowolski posiadał w sobie wszystkie moralne dżentelmena zalety, przykryte skromną ówczesnego literata manierą. Ławrynowicz, eksjezuity, surowy i ostry, ciągle warzecha Katona lamował kipiące i z szumem występujące z brzegów młodzieńcze życie.

Dobrowolski, historyk i w duszy poeta, ciągle po trochu pod nie podkładał ognia.

I z tych dwóch sobie przeciwnych a tak blisko siebie leżących galwanicznego stosu biegunów musiały się ogromnie żywotne wydobywać iskry.

Zadaniem Ławrynowicza, które sam przed sobą położył, była szczerza chęć wpojenia w nas religji, moralności i spartańskiej cnoty. Na resztę mniej zważał.

Zadaniem Dobrowolskiego było zrobić z nas jeszcze przytem poetycznych średniego wieku, rycerzy. Szlachetnych i pełnych wdzięku wojowników, Zawieszów Czarnych, mających się dążyć ze stojącym tuż przed nami i na nas uzbrojonym światem rycerzy, którzy i krwią zbroczeni i konający w ostatnich nawet ulatającego z nich życia momentach jeszcze się pięknie wydają i u wrogów swoich zbudzają zawiść. Przy tem dążeniu starał się, jak mógł, zwilżać oschłość nauki i nie zwyczajny w dzieciach wstręt do niej ale prawdziwą, serdeczną do niej ochotę i zapal zaszczyć.

szczepić. Obadwaj założone przez siebie zadania, Bóg świadkiem, wypełniali godnie, sumiennie i szczerze. A wypełniali je, co trudniej zapewne, z niepospolitą gorliwością, zdolnością, talentem. I jeśli się nie udało ich praca, to zaprawdę, nie ich już w tem wina!

Dobrowolski więc coraz nowej krępowanemu przez Ławrynowicza szkolnemu życiu dodawał ostrogi. Coraz mu nowe podstawiał żywioły. Ciągłe nowe a pożyteczne ruchowej studentów myśli wyszukiwał zajęcia.

Ławrynowicz, jak Montmorency, stał z dyscypliną nieruchomy i groźny i trzepał różaniec.

Ale dosyć tych porównań, czy różnic!

Dobrowolski stworzył ze studentów liczną i wyborną na ów czas muzykę, której sam głównym był dyrektorem. Zebrał i ułożył chóry śpiewaków, którzy się i po domach i w czasie tak zwanych rekreacyj i spacerów pod gołym niebem ćwiczyli a potem zgodnemi głosy zdobili służbę Pańską we wspaniałym kowieńskim farnym kościele. W wielkie święta o mil kilka zjeżdżano się do fary, żeby posłuchać śpiewu młodzieży i jak grzmot silnych basów Jawgiella i Pacanowskiego.

Rekreacje były to wolne od lekcyj chwile po południu we wtorki i czwartki. On tedy zaprowadził w te dni i święta pisanie rozpraw na dane wprzódty tematy i tuż obok wzajemne tych rozpraw piśmienne krytyki, które publicznie na schadzkach uczniów pod jego okiem i w jego obecności czytano. Tam w krytyce szczególniej każdy się sadził na wydobyć'e z siebie całej, jaką miał na ten raz, masy dowcipu. Wiedział bowiem, że jeśli nie w kolegach, to już najpew-

niej w pełnym dowcipu profesorze będzie miał słuchacza i domyślnego i pojmującego wszystkie wesołe weny odcienia. On wprowadził sądy szkolne, do których się i skargi i obrony w wolnych od nauk układały chwilach. A potem na publicznych uczniów zebraniach w zupełnem naśladowaniu jawności ówczesnych sądów krajowych przy wzajemnem najczęściej obrońców obu stron rozdrażnieniu młodzież się do nieprzygotowanego w publiczności mówienia wkładała. Sławne także były i tradycyjne na długo zostały w pamięci wymyślane przez niego majówki t. j. uświęcone wiekami u nas obchody 1-go maja. Przedstawiały one zawsze jakikolwiek wypadek czy z historii krajowej, czy z rzymskiej lub greckiej. Najsławniejsze z przepychu i prawdziwej niestudenckiej wytworności kostjumów była walka Horacjuszów z Kuracjuszami. Na to się cały rok szkolny młodzież pod przewodnictwem Dobrowolskiego sadziła. Zbroje, hełmy, przyłbice, orły, przygotowane i ozdobione przez studentów; wspaniałe miecze z tektury i drzewa; kopje, znamiona rzymskie, z doskonałą oddane trafnością, mnóstwo zewsząd zwabiały widzów, głodnych tak pięknego żywego obrazu, i powszechne w swoim czasie zadziwienia wzbudzały. Wszystkiemu temu dawał kierunek niezmordowany w dobrych chęciach swoich, słusznie takie noszący imię nasz Dobrowolski.

Jawgiell, Łabanowski, Kolenda, trzech jego w tej sprawie namiestnicy i uczniowie, perły kowieńskiej szkoły pod siwiejącym już wąsem, po ośm lat z ochoty w szóstej klasie siedzący, gorliwie i zręcznie wypełniali jego rozkazy i rady.

Ja to mówię po części o przedpotopowym dla mnie okresie. Jeszcze podówczas nie doszedłem był wieku, żeby się było można w szkołach przyzwoicie pokazać. Na to trzeba było już nosić koniecznie i buciki i spodnie. Ale i ja tam wiele takich rzeczy jeszcze widziałem i w niejednej sam udział brałem. Należałem naprzykład z zaszczytem i czynnie do sądów i krytyk, lubo już Horacjuszów i Kurjaczuszów drugi raz nie było.

Darujcie, przyjaciele moi, że tu zwyczajem moim pomieszcze myśl, może niestosowną i płołą, która mi w ten moment przy wspomnieniu o dawnych latach przychodzi. „Czas płaci, czas traci“, powiadali nasi ojcowie. Pomyślcie więc razem ze mną tylko, jak się to i opinie i kierunek ludzkich przekonań, jak w kalejdoskopie, co chwila zmieniają! Nie dalej jak, dosłownie, w kilka lat potem, gdyby kto się odważył wystąpić z tak szacowną i niewinną zabawą, jużby zaraz usłużny zbir jaki Pelikana, ówczesnego Uniwersytetu rektora, doniósł mu, że się tu w szkole ze studentów regularne przeciw rządowi formuje wojsko! Że całe te bitne szeregi wychodzą na manewra za miasto, że szyk bojowy doskonali się u nich widocznie! Że myślą o obaleniu istniejącego rządu! Że bunt prawdziwy lada moment wybuchnie!... I cała ta młodzież przekonana przez tegoż samego człowieka o te zbrodnie, wysłana byłaby do pułków na prostych żołnierzy na całe życie! A nauczyciele z powodu podeszłego wieku, jako niezdatni żołd wojskowy traktować, albowy się kopaniem miedzi po minach trudnić odtąd musieli, albowy pięknowłose po śniegach upędzać musieli sobole!...

Dla zaszczytu epoki i to przypomnieć nie wadzi, że donosiciele podobni z bardzo lichym wyjątkiem byli to wszystko... Polacy!

Wróćmy do naszego. Taki to kwitnął podówczas duch szkoły. Taki był zacny, nieoceniony w Dobrowolskim przewodnik. A jak ci zaczął wybitniejsze z historii rzymskiej lub greckiej malować czyny, i dreszcz po ciele przechodził, i gorące od serca po tobie rozlewało się ciepło! I tybyś, zda się, murem stanął w tych Termopilach! I tybyś wielką Kamila potrafił naśladować duszę! I tybyś „To mniej boli” zawołać umiał!..

Myślałby kto, że te pochwały są skutkiem przywiązań i uprzedzeń, wkorzenionych w dzieciństwie. Uprzedzeń, od których najczęściej już i człowiek dojrzały otrząsnąć się nie może. Że to skutek owego wiecznego: „*laudator temporis acti*”. Myliłby się. Gwiazda czy los mój były zawsze takie, że ja nigdy w życiu i w nikim sprawiedliwego o sobie nie zarobiłem sądu. Ze wszystkich nas, cośmy u Dobrowolskiego na pensji mieszkali, ja jeden, najmłodszy, cierpiałem najwięcej, a co gorsza, cierpiałem niesłusznie! Mimo to kochałem Dobrowolskiego zawsze, bo skąd inąd wart był tego. Względem mnie on był ofiarą obcej a nie swojej złości. Malec zawsze pogodnej twarzy i wesołego oka, choć dusza tak często i wówczas już jęczała, nie wiem, dlaczego miałem na moje nieszczęście już i wtedy tenże sam, co dzisiaj, sąd o otaczających mnie rzeczach. Czy ten sąd jasny czy fałszywy, to inne — zupełnie pytanie. W każdym razie o rzeczach świata tego sądzą Bóg i ludzie. I tutaj więc jeszcze różność głosów zachodzić może.

Dziwna rzecz; i dziś, i teraz przy najotwartszej na świecie duszy przez całe życie wtedy mię za najszczęśliwszego miano człowieka, kiedym, doprawdy, najboleśniejszym był dotknięty nieszczęściem! Owszem, sam wiem, znam to i czuję, że wtedy właśnie najweselsze i pełne żartobliwości listy do przyjaciół moich pisywać zwykłem. Żem się wtedy najwięcej uśmiechał przed każdym, kiedy mi się serce na drobne krajało kawałki!

Wszyscy mówią a ja i sam to czuję, że się wszystko maluje na mojej twarzy natychmiast. Skądże się bierze ten w wielkich boleściach duszy wyjątek? A wieleż to razy zdarza się ten wyjątek! O mój Boże! Ty — tylko jeden słuszny wszystkiego Oceniacz i Sędzia. Chwała niech będzie Imieniu Twojemu!

Mieszkałem przez lat kilka na pensji u Dobrowolskiego. Najprzód z Zabiełłami, Gutkowskim, bratem przyrodnim samej Zabiełłowej a wielkiej zdolności wcześniej dla kraju zmarłym człowiekiem, z Tarnowskim, Miłoszem i z wielu innymi. Potem już dobrzy Kossakowscy, dobrzy Brunoffowie, do śmierci przyjaciel — Pęczkowski, kolegowali ze mną i ja byłem już starszy. Pierwsi wszyscy byli bajbaki. Jeden z nich tylko Józef Zabiełło był i młodszy od nich, ale nie ode mnie, i lepszy. Wszyscy między sobą sąsiedzi z jednej strony z za Zmudzkiej Niewiaży. Niedawno zmarły koleżka Ignacy hrabia Zabiełło golił się codzień a chodził dopiero do piątej klasy! Ja w piętnastym roku szóstą klasę i szkoły skończyłem... Bajbaki te ciągle broiły. Jak się zaś ich swawola wydała, wszystko, co tylko rozsądnie mogli, składali na mnie. Na mnie, na *Transtawerana*, bo ja jeden tylko

od Niemna byłem i tem samem partji swojej na pensji zebrać nie mogłem, choć ją wielką miałem w klasach. Dodajże do tego, że i z wieku i z urody, trzymającej mnie aż do lat szesnastu w jakichciś drobniutkich kleszczach, za synka tych panów wybornie mógłbym uchodzić.

Zmówiwszy się tedy pomiędzy sobą, świadczyli przeciw mnie wszyscy bez zmruczenia oka! Czyli raczej, przebacź im, mój Boże! ale trzebaż rzecz po imieniu nazywać, dawali przeciw mnie fałszywe świadectwo! Dawali przeciw bliźniemu fałszywe świadectwo! Grzeszyli, to prawda. Oburzali do nieopisania prostego serca mojego uczucia, to druga prawda. Ale młodość usprawiedliwia bardzo wiele pomyłek. Spodziewam się, że w dalszem życiu zapewne tej się pozbyli zabawki! O tem może kto inny powie!

Dobrowolski, jakkolwiek człowiek pełny i dobroci i rozumu, cóż miał wnosić? Nie mogąc podejrzewać tak wielkiego w młodości zepsucia, musiał tak licznyemu świadkom zawierzyć, kiedy ja oprócz niewinności mojej żadnego za sobą postawić nie mogłem. Musiał cudze psoty na mój kark włożyć. Musiał mnie ukarać, musiał łzy moje i przysięgi za upor i krnąbrność poczytać i karę wprawdzie łagodną, bo łagodny był to człowiek, ale karę, drapiącą niedźwiedzim pazurem po zadraśniętej już duszy, karę publiczną, na przykład, klęceniem w kościele z parafjalną szkółką, mniemane swawole moje nagrodzić. A oni potem drwili i dodawali jeszcze od siebie! Oni się potem w żywe oczy i natrzęsali, i śmieli ze mnie.

Jak ciągle taka, oburzająca duszę niesprawiedliwość i krzywda, w młode zaszczerpiona serce, nie za-

mieniła go na dalsze życie w łotrowskie i kamienne serce, jak się nie wylęгло w tem sercu nasienie wiecznej na całe życie dla ludzkiego rodzaju zemsty, to już w tem łaska cudowna Pana Boga mojego. To skutek naszej już wiary! Owszem, przekonanie późniejsze, że się takie rzeczy nietylko po szkołach dzieją, ale na świecie w większym i obszerniejszym jeszcze praktykować się zwykły rozmiarze, zamiast wyrodzić nienawiść, zrodziły niewinną chęć tylko usunięcia się nazawsze od świata, a to nikomu nie szkodzi!

W takich tedy szkolnego życia wypadkach w nocy łzami zalany, kiedy już wszyscy usnęli, kiedy już i kochani koledzy moi „snem niewinności” byli objęci, kiedy Bóg jeden tylko był moim świadkiem, padałem na kolana, chciałem się modlić! Nie mogłem. Żal serdeczny i rozpacz nadto silnie jeszcze miotwały sercem! Jeszcze łzami ogień ujemny duszy mojej nie był zalany! Tarzałem się po ziemi, darłem na sobie włosy, krwawiłem piersi. I powoli, powoli mogłem nakoniec nie te francuskie, któreśmy z całą pensją razem codzień urzędowo rano i wieczór mówili, ale te polskie babki i matki mojej odmówić pacierzel I lżej mi było. I z pogodną już twarzą i z czystem sumieniem nazajutrz na naznaczoną mnie moralnie bolesną poszedłem karę. A nie domyślając się niczego tego, wielu studentów mówiło i nawet sam profesor kiwaniem głowy potwierdził: „Co to za krnąbrny i uparty chłopiec! co to za kamienny charakter! Pełen ambicji a na złość tylko udaje, że go ta kara nie wzrusza!”

Takie są wszędzie a wszędzie zdania o duszy pojedynczego człowieka! Nikt tajnych jej sprężyn ani

się domyślić nietylko pojąć nie umie! Biada rodzajowi naszemu!

Ale ot co gorsze było! Miałem nadzwyczaj srogiego, po staropolsku srogiego ojca. Dobrowolski, człowiek miękki i czuły, ani pojmując nawet, co to prawdziwa srogość, słusznie uważał za sumienną swoją powinność donosić ojcu mojemu o tym zaciętym moim i źle na przyszłość wróżącym charakterze.

Cóż mnie znowu z tym człowiekiem, z ojcem moim za to czekało! Pierwsza, co to czytać będziesz, kobieto, domyśl się męczeństwa mojego serca...

Przyszło do tego, że na kolanach bywało błagał, żeby mię ze szkół do domu nie puszczano na święta! Wówczas, kiedy cały studencki świat o tem tylko przez całe pół roku myślał, jakby się to na Wielkanoc wyrwać do domu!...

Jakżem znowu pogładzony kiedykolwiek od Dobrowolskiego za dobrą w naukach pilność, a byłem, jak mówiono, i dobre i potulne dziecko, rzucał się, jak miotana i chwiejąca się od wiatru gałązka chmielu, w objęciu tego silniejszego ode mnie dębu i krzywd swoich chciał w tym serdecznym zapomnieć uścisku, kiedym chciał się choć na chwilę koło ramion jego obwinać, kiedym ze łzami najszczerzej wdzięczności ścisnął go w moich drobnych podówczas rączkach — mnie, co jeden z nich czułem całą rozkosz, całe dobrodziejstwo karesu, całe szczęście tak rzadkiego w życiu mojem momentu — mnie, którego — „słuchajcie! słuchajcie!” ojciec mój nigdy z systematu nie przycisnął do serca, nie pogładził, nie pocałował w życiu, mnie zaraz kochani koledzy brali wtedy za

jakiegoś „lizusia“, za jakiegoś pochlebcę! A i sam profesor, bodaj, nie był od tej myśli bardzo daleko!

Tak to rozumieją, tak czytają w sercu człowieka! Tutaj serce było wprawdzie dwunastoletniego człowieka — ale zawsze serce! A jakież to wielkie znaczenie tego wyrazu!

Szkoła studenta — to mała szkoła! Świat — to wielka szkoła, cała różnica tylko w wymiarach... Przekonacie się o tem!

Powiedzcież bracia moi, przyznajcież sami, czyż to nie dziw, czy to nie cudo, że nie stałem się łotrem? Żem w szczerbę nie zaciął i zarażonego jadem nie wbił i sto razy w ich kiszkach nie zakręcił mściwego, zabójczego noża? Darowałem w duszy wszystkim, Bóg w dalszem ich życiu nie wszystkim darował. Honory a często sromotną dłonią pochwytane honory gorzej jeszcze to życie nie jednemu z nich zaćmiły, bo go na widniejszem postawiły miejscu. Przekleństwa tysięcy ludzi nie na jednym z nich do śmierci ciążyły! Ale to podówczas w szkołach byli jeszcze bardzo młodzi ludzie. Jakżeby im tego nie przebaczyć w sercu! Nie wiem jednakże, czybym jednemu z nich tylko szczerze mógł i dzisiaj nawet darować!

Łotrowi, lokajowi Zabieliów, człowiekowi bez duszy, co już miał lat czterdzieści i który zawsze, dogadzając panom swoim, naprzeciw dziecku fałszywie świadczył. To był podły wyrodek! A nosił z przeznaczenia Bożego, z tajemniczej woli Jego nazwisko jednej z najpocześniejszych, z najgodniejszych naszych familij. Nazywał się Giedrojć! Zapewne już dotąd nie żyje.

Takie to były i kiedyś męczarnie! Ale ten sam los, który mnie przez całe życie od wylania przed kimkolwiek serca mego tak, jak ono było, odpychał, który i w dalszym czasie ludziom i pochwały przesadzone, nieograniczone i wad swoich odkrycia fałszywie dyktował, ten sam los, powiadam, a raczej mówiąc po mojemu, taż sama Ręka umieściła w tem biednem sercu jakieś dodatnie i nagradzające tak smutne przeznaczenie sprężyny, które zrównoważyły, jeśli może nie zwyciężyły, siłę ujemną!

Biada na tym świecie, kiedy nie ludzie człowieka, ale człowiek sam siebie i swoje uczucia sprawiedliwie sądzić jest zmuszony. Ten sąd tak trudny, tak niepodobny prawie, tak ustawicznie to fałszem miłości własnej, to osobistą dumą, to uporem, to krzywym rozumem i krewkością natury naszej paczony, zdradzany, do tego tylko prowadzi koniecznie, że już całe życie na przestrzeganie siebie samego tylko w obliczu Boga a nie ludzi wystarczyć zaledwie może! Zdradzili ciebie przyjaciele, rozszarpali krewni, zwiódł w momencie najśłodszych i najcnotliwszych uniesień kochanka, pianą żółciowego jadu zmazała ciebie zimna otaczających tłuszcz? Cóż wtedy? Oto człowiek świecki, człowiek światowy, człowiek, może i dla świata i dla pożytku świata zrodzony, w ostracyzmie dobrowolnym, w ascetyzmie się zamknąć, w anachoretę zamienić i pustynią od bliznich swoich odgrodzić się musi!..

Każdy ból ciała ma, jak to już nieraz twierdziłem, jakąś okruszynę rozkoszy, jeśli tylko kto tego na sobie samym umie dostrzegać. Ale ból serca w ludziach prawych tę wielką posiada rozkosz, jaką daje

uczucie szlachetnego żadną plamką nieskalanego sumienia. Sądzić więc słusznie i z należną pochwałą ludzi zacnych i godnych, choćby nam czasem byli szkodliwi, choćby nam nawet i pączki same naszego życia już zatrzeć umieli, jest obowiązkiem uczciwej i nie mściwej duszy. Ale sprawiedliwość również wymaga, żeby każdemu sprawiedliwą według pojęcia naszego odmierzyć miarką. I gdyby syn twój rodzony nic lepszego wart nie był, trzeba, żebyś, jak stary Brutus, i o nim słuszny i podług sumienia twojego sąd wydał. Niestety! ta sprawiedliwość, ta słuszność sądów naszych daje u masy ludzi wieczne podejrzenie jadowitego dowcipu, mizantropji lub złości! I znowu sąd fałszywy! Kiedyż i gdzież się struna, na ten sam ton z twojem sercem napięta, odezwie? Gdzie na to czuły i wierny znajdzie się duszomiar?...

Ale dajmy już temu pokój! a wróćmy do swego.

Otóż przy takim, jak już opisałem, kierunku młodzieży, młodzież ta, oddana nauce, w chwilach wolnych zamiast czas marnować i tracić na zbijaniu bruków, to muzykalnej, to wokalne, to ręcznej, to piśmiennej oddawała się pracy. I to z ochotą, z rozkoszą, z prawdziwem zamiłowaniem trudu. Można sobie łatwo wyobrazić, jak nasz Ignaś, stając się powoli panem Ignacym, dobrze się uczący, przy swoich rzadkich ręki zdolnościach był i do wystrzygań i do gry „drapanosów” i do „pisanek”, czyli ładnie igłą rysowanych wielkarnocnych jajek, i do klejeń majówkowych potrzebny. Jak się z tego zaraz dał poznać i cenić.

Wspomniałem wyraz nie każdemu wiadomy. Najzwyczajniejszą grą studentów prócz piłki były tak nazwane drapanosy. Był to zbiór z drzewa de-

likatnie i foremnie wyrobionych najrozmaitszych narzędzi rolniczych i rzemieślniczych, zbiór piłek, łopat, szufelków, mieszków, młotków, nożyc, drabinek itp. Rzucały się one na kupę na stole, splątane, jak się udało. Gra zależała na tem, żeby grający czy kruczkciem od szpilki, w drzewo osadzonem, czy zagiętem w kruczek piórkiem bez wstrząśnienia kupki pojedyncze każde z tych narzędzi wyjąć potrafił. Komu się to nie udało, przegrywał. I za pokutę kruczkciem po nosie bywał drapany, po tyle razy, jak liczba, atramentem na każdym z tych narzędzi oznaczona, grającym pokazywała.

A przytem — że jeszcze były owe sławne karbowane studenckie różnokolorowe z papieru latarnie, prawdziwie artystyczna i piękna robotka, z którymi szukało się tylko pretekstu, żeby się popisać, to idąc do kościoła, to wracając z niesporów, to żeby pana profesora odprowadzić do domu. A oweż wyklejanie ptaszek? Praca i pożyteczna i piękna. Wszystko to wkrótce najślawniejszym było z rąk Łukaszewicza. Tak żyjąc, ucząc się i bawiąc, często też nasz kawaler i do zegarmistrzów zaglądał, dokąd go nieprzełamane, od mała nabyte wlokły pociągi. Tym sposobem z lat biegiem, studencką otoczony sławą, jako zręczny i pilny i dobrego prowadzenia się młodzian, nasz pan Ignacy obejrzał się raz na siebie i z zadziwieniem dostrzegł, że aż do trzeciej dobrnął już klasy.

IX.

Studenci.

Nie wiem czy jest teraz po szkołach co podobnego? Ale i nacóż się to dziś tak bardzo zdało! Wtedy uczono się w szkole, żeby się czegoś nauczyć. Dziś chodzą do szkół dlatego, żeby nieodbicie potrzebną jeszcze w opinii ludzkiej ceremonję odbyć. Jeszcze dzisiaj, jak kto powie: „Patrzcie na tego basałyka, on i do szkół nawet nie chodził” — wstyd! Ale za lat kilka i to przejdzie.

Język łaciński, język i tak już od wieków umarły, teraz i w ostatniem swojego życia schronieniu, w szkołach już pogrzebiony został! Studenci w tańcach, w gimnastyce i zgrabnym rycerskim ciała układzie nie potrzebują szkolnej „erraty”. Prawdziwa „errata” i jej hieroglify są i mieszkają dla dzisiejszych szkolnych swawolników w oczkach błękitnych i w czarnych oczkach młodziutkich, miłutkich panienek, co im po wieczorach i balikach pomagają w tańcu, panienek, co dawniej za naszych czasów tylko chciwem okiem przez kraty klasztorne patrzyły na chłopców.

Jakaż to ogromna różnica masy doświadczenia i rozumu przybyła z biegiem XIX wieku. Tam w początku jego, w początku tego najbliższego sąsiada ośmnastego stulecia student wąsaty, stary, siwawy po kilka lat dobrowolnie w szóstej klasie siadywał, żeby się tylko mógł bawić i bawić — z książką. A rozumiał się przed kobietą, jak burak, choć już dobrze po łacinie Owidjusza rozumiał. Tu w połowie XIX wieku czternastoletni młodzieniec nie wie nawet, że był taki Owidjusz na świecie, ale taką już da temu staremu praktyczną lekcję z Owidjusza, jakiejby on przez całe życie swoje w dawnej szkole ani domyślić się nie mógł! Owóż na to podług mnie wychodzi, że dzisiaj ładne dziewczęta najlepszymi są dla studentów audytorami. Dobrze to jest. Dobrzeby to było. Ale *ne quid nimis*.

Otóż dla pamięci wiedzieć potrzeba, że w szkołach wtedy jeszcze zachowany był dawny jezuicki zwyczaj. W każdej z klas niższych była tak nazwana „*errata*“. Robiono ją na cały miesiąc na wielkim rygułowym arkuszu. Obok nazwisk studentów były kratki, na których zapisywano codzień, czy uczeń umiał swoją lekcję albo, jak mówiono, *pense*, albo nie. W tym celu profesor naznaczał z uczniów wydatniejszych czy zdolnością, czy konduitą i pilnością swoją, tak nazwanych *audytorów*. Każdy z nich miał w klasie od dziesięciu do dwunastu rówieśników pod swoim dozorem. Jak już zadzwoniono raz pierwszy, to jest między pierwszym zadzwonieniem na „*baczność*“ i drugim, zwiastującym przybycie profesora na lekcję, audytorowie słuchali swoich podwładnych z zadanych wczoraj przedmiotów i zdanie swoje o tem

oddawali głównemu audytorowi klasy, inaczej i *centurionem* zwanemu, który miał w rękach swoich erratę, ową wielką, straszną, nieubłaganą erratę!

W kratkach znaczone: albo SC t. j. *scit*, umie. Albo NBS., *non bene scit*. Niedobrze umie. Albo N. T. S., *non totum scit*. Nie wszystko umie. Albo (SC), z kreskami na około, od jednej do czterech, co nazywało się „z pałaszami”. Znak ten wyrażał *scit sub dubio*, t. j. wątpliwość czy dobrze i zupełnie umie. Studenci ten stopień umienia i znaku nazywali *subdubium*. W algebracznem zrównaniu *subdubium*, czterema pałaszami obramowane, ledwie, że nie znaczyło N. T. S. i już wtedy czapka z oślemi uszami wisząca przy katedrze na kołku, bardzo bliska bywała od takiej studenta głowy. Kiedy kto nic a nic nie umiał lekcji, stawiano w erracie obrzydliwe N. S. *ne scit*, nie umie. Litery okropne, które po trzech z rzędu razach prawnie w ustach kolegów nadawały biedakowi przydomek *osła* i za to miano gniewać się już na nikogo nie mógł nieborak! Ci, co doskonale od innych lekcję swoją umieli, nad swoim SC, miewali ma-lutkie *ce* albo *e*, *cum eminentia*, *eminentissime*, i to już były perły całej klasy. W innych szkołach właśnie pałasze nad SC. najwyższą doskonałość oznaczać zwykły. A litery S. D. oznaczały *subdubium*. Dosyć, tak się to było do szpiku pokoleń całych przyjęło, że prawie po rok 1825 włącznie ludzie poważni i starzy, kiedy się chcieli pochwalić, że dobrze co znają i wiedzą, że im się co doskonale udało, powiadali: „Znam to SC”. „Udało mi się SC, ten interes zrobić” i t. d. Łatwo pojąć, że w takim układzie erraty trudno było audytorom wszystkie główek młodych odróżnić od-

cienie, choć im w tej rzeczy i inni urzędnicy klasy, jak, na przykład, stróże obyczajności i porządku, *cenzorami* zwani, mieli prawo pomagać. Ale, jak w każdej ludzkiej rzeczy, tak i tu wkradały się nadużycia! Audytorowie czasem przez złość i zemstę niesłusznie mazali studentowi erratę. Czasem znowu dla przeciwnych powodów i za francuskie ciasteczka, to jest za kubana, i nieumiejących zapisali dobrze. A nieraz i sami nic nie umieli a dopiero od recytujących przed sobą studentów nauczali się lekcyj a drugich jednakże pilniejszych od siebie krzywo sądzili. Serce musiało wprowadzić boleć dziecięciu. Ale się to serce nie pacyło w sobie doznaną niesprawiedliwością. To była szkoła a nie prywatna pensja. Było natychmiast na to uzdrawiające lekarstwo. Przychodził profesor. Siadał w katedrze w rodzaju niekrytego kościelnego konfesonau. Czasem się i sam nieborak narazie stropił, jak mu błazny pod siedzenie kilka podrzucili puka-wek! Ale zwykle siadał spokojnie, poważnie, serjo. Potem, położywszy książkę, tabakierkę i chustkę przed sobą, rozkładał leżącą na wyniesieniu katederki erratę. Dreszcz w tym strasznym i solennym momencie całemu szkolnemu światu przechodził po skórze!

Zaraz potem płacz, jęki pokrzywdzonych dawały się słyszeć. Szczególniej wtedy, kiedy mistrz, przejrawszy całą erratę, ze wzgardliwą miną, ściskając ramionami, głośno sam do siebie niby powiedział: „Próżniaki!”

Każdy, co chciał mówić, wysuwał do góry jedną rękę z wyprostowanemi palcami. To był już zwyczaj powszechnie przyjęty. Starsi studenci ze szczegól-

nym umieli to robić ujęciem i wdziękiem. Młodszy i bez żadnej potrzeby łapki swoje wystawiali do góry.

Profesor skarg wysłuchał. Żalący się wychodził z ławek na środek sali dlatego, żeby go kto z przyjaciół z pod ławki podpowiadaniem nie uczył, i recytował czy, jak także mówiono, wydawał lekcję. niesprawiedliwy audytor tracił natychmiast swój honorowy urząd wobec całej klasy. A czasem i na jego wysokie miejsce usprawiedliwionego malca sadzano! Czasem też ze względu na łagodzące winę okoliczności tylko na dni kilka to zadośćuczynienie pokrzywdzonemu dawano. Erratę sam profesor wyskrobał i poprawił. Czegoż więcej? Ale na tem jeszcze nie koniec! Czasem tak usprawiedliwiony student nie kontentował się tym sądem i w takim razie pan audytor musiał całe półgodziny klęczeć przy piecu. Czasem znowu zamiast tego, uczeń wyzwiał audytora *de plagis*. I wyszło nieraz, że sam audytor lekcji nie umiał!

Chociaż *pieniek* stał zawsze i wiecznie dawnym obyczajem w zapiecku, gotowy ciągle na wszelkie szanownej publiczności usługi, wyraz jednakże *de plagis* nie znaczył już tego, co u jezuitów, gdzie przegrywający natychmiast na nim brał w sepet. Znaczyło to już podówczas prostą formułę wyzwania. I jeśli przegrał audytor, tracił tylko swoje miejsce na korzyść zwycięzcy a nie brał, broń Boże, w skórę.

Taki tryb zastosowany był aż do trzeciej klasy włącznie. Czwarta i dalsze już wolne były od podobnych trudności.

Owóż pan Ignacy, któregośmy zaniechali tak dawno, ciągle i zawsze miewał SC. z eminencją w er-racie. Ciągłe był z najlepszej notowany konduity. Ciągłe od prefekta i od nauczycieli chwalony i za przykład wszystkim stawiany. I mimo to wszystko, jednego pięknego w maju poranka znikł, jak kamfora, i przepadł, Bóg wie gdzie, z Kowna!

X.

Fugas - chrustas. Blech. Rusalka.

Szukano go. Troszczono się o niego. A on — mamże powiedzieć? — poprostu, zabrawszy swój mantelzaczek, uciekł ze szkół do domu.

— Nie mogę, tatusiu, nie mogę. Księżę proboszczu, róbcie ze mną, co chcecie, choć mnie tu zetnijcie, ale ja dłużej w szkołach wytrzymać nie mogę! Powieszę się albo zwaruję!

A duży już wyrósł bajbak! I wąż sypać się ogromnie zaczął! Róbże z nim, co chcesz sobie!

A to wąż poządliwości, jak się okazało potem, silnie się zabrał w duszę pana Ignacego. Trwoga, jaką sama myśl o Ławrynowiczu w szkołach wzbudzała, kruszyła długo tę żelazną czartowską wędę. Ale na tym świecie szatan zawsze wczas czy prędzej, czy później przemaga.

Pan Ignacy został tedy w domu u mamusi i u taty. Pan Ignacy też zaraz i w Dorsuniszkach i w promieniu dwóch mil naokoło niesłychane zaczął wyrabiać dziwy! Mało tego. I za Niemen do cudzego kraju całą torbę nieprawości swoich często wynosił. Nie było schadzki, wieczorynki, guzin czyli chłopskich maskarad, nie było blechu, żeby tam pan Ignacy swe-

go nosa nie wetknął. A jak go wetknął — bywajcie zdrow! Nazajutrz strapione matki, żałośni ojcowie przychodzili i do rodziców jego, i do księdza proboszcza na skargę! A na to, co się stało już, jak wiecie, n'e było rady! Pan Ignacy wszystkie konie ojca do ochwatu do dychawicy zajeździł.

Pocziwy kapłan sromął się złości, ale kochał z małego tego bajbaka. Może też i swoje dawne rozumem i wiarą skarcone przypomniał chucie.

Burmistrz, który dla przypadłej głuchoty złożył był już dawno z siebie tokę organisty, choć mu żal było synka, do ostatecznych cierpliwości sprowadzony krańców, nosił już od dni kilku tajemnie założony za cholewę porządny boćkowski bizun. Wtedy tak nazwanych majtek nie znano. Ale tak uzbrojony czekał jeszcze, azali się piwo nie wyszumi jakkolwiek.

Matka — i śmiała się w kątku, i klaskała w dłonie, i całowała syna ze łzami radości. Nie dziw. Uważajcie to sobie. Wszystkie gospodynie wiejskie. nie wiedzieć dlaczego, jak tylko zajdą przypadkiem na śmietnik, gdzie ich kogut grzebie, statecznie i co moment z radością klaskają w dłonie. Szczególniej, kiedy nie świeżych jaj do pierogów potrzeba. Cóż to za prognostyk? To już ich sekret. Matka więc, udając przed ojcem srogość, pokątnie gdziekolwiek panu Ignacemu mówiła: „Nie bój się dziecko! Nie bój się, póki tylko ojce i matki na skargę przychodzą! Wszak jeszcze żadna ze skargą na ciebie nie przyszła córka.”

Pan Ignacy nie bał się i dalej sobie szczęśliwie broił! Ksiądz wikary, ale już nie ten dawny wikary (trzeba przyznać, że pan Ignacy nie był do wikarych

szczęśliwy), człowiek rumiany i hoży, czy z zawiści, czy z cnoty najgwałtowniej na pana Ignacego wszędzie powstawał; a pierwszy i ognie swojej wymowy po całym mieście wyrzucał.

Miasto też całe strwożone było nagłym pojawieniem się tego zuchwałego i nienasyconego bandyty, tego wszystkich ale to nawet najbardziej zawiedłych cnót miejskich bezbożnego mordercy.

Ksiądz wikary kilka już razy proroczym duchem przed nosem pana Ignacego powtórzył: „Mospanie mój, kto czem wojuje, ten od tego ginie!”

I prawda. Półtora roku tak rozbójczego, tak zabójczego dla okolicznych niewinności życia miało na koniec swoją słuszną odebrać zapłatę!...

O pół mili od starożytnego miasta Dorsuniszek nad Niemnem był sławny na całą tę stronę duży blech szlachecki. Kilkanaście jagniąt, kilkanaście ślicznych rusałek, jednym słowem, k'lkanaście młodych szlachcianek pod wystawionem sztucznie z chróstu i słomy przykryciem w kilku budkach strzegły wyrobów nadniemeńskiej Arachny.

Pan Ignacy już nieraz tam bywał — i niejedne to dobrocią, to złością rozbroił serce.

Ale jedna z tych panien imieniem Pomusia, od św. Jana Nepomucena, któremu tu wszędzie na mil pięć w promieniu, nie wiem z jakich powodów, wystawiano poświęcone słupy z jego figurą, Pomusia, mówię, zimnem napozór okiem patrzyła na te jego wszystkie szarmy i sprawki. Wesoła, pusta, śmiała, hoża, kształtna, jak djabłatko ładna, a i z jakim takim posażkiem drwiła sobie z wypraw szalonego najeźdźnika naszego i sypiała na blechu spokojnie z to-

warzyszkami, oddając wprawdzie w duchu słuszną męstwu jego palmę. On się długo na nią nie oglądał zgoła, bo i nie miał, prawdę mówiąc, czasu. Ale kiedy już całemu temu blechowi zkolei dał się porządnie we znaki, kiedy go już ta babia hałastra znudziła, przyszło mu raz na myśl, już ułożonemu na nocny spoczynek: „Cóż to sobie znowu? drwi ze mnie ta krnąbrna Pomusia? Co ona za jedna? Co ona sobie myśli?...”

Nie wiedział pan Ignacy o tem, że Pomusia myślała ni mniej, ni więcej jak zostać jego żoną i sama jedna pochłonać to, co się dotąd na tyle rozdzielało ułamków. Patrzac na koleżanki, Pomusia kiwała cichaczem główką i mówiła o nich sama do siebie: „Głup'e!”

W ową tedy noc piękną letnią, cichą, jasną, ożywioną słodkimi promieniami księżyca, budzi się raptem na blechu Pomusia ze szczęśliwych słodkich niewinnych snów swoich... a nad nią stoi krw'ożerczy i nóż swój w samo już serce mający utopić morderca!

Krwawa się walka pomiędzy rusałką - amazonką i naszym rycerzem wszczęła! Jedno drugiemu ustąpić kroku nie chciało. I Pomusia, czując już opuszczające ją siły, w ostatniej odwagi próbie zrozpaczoną ale zwycięską ręką, której złą wolę długo potem opłak'wać musiała, niewyciężonemu dotąd rycerzowi występna skruszyła kopję! Jęk żywej boleści, głosem rozpachy wydany, rozległ się szerokiem echem po sosnowych okolicy borach! Rycerz leżał bez pamięci... zemdlony!

Rzewny płacz wszystkich rusałek szlachcianek i niesiona naprzebój dla orzeźwienia jego słodka nie-meńska woda dowiodły w obliczu tej nocy przed

światem, jak w duszy pomimo srogich przed matkami narzekań, córki wysoko ceniły zalety tego nowego Rolanda!

Ksiądz wikary wygrał, grając z nim tylko w przysłowia. Po dwumiesięcznej ciężkiej chorobie, pan Ignacy jakby się przerodził! Ze spuszczonego nosem na kwintę uspokoił się nazawsze! I nikt odtąd nie widział, żeby w życiu swoim z jakąkolwiek czy klócił się, czy żartował kobietą.

Matka zapomniała o tem, że baby czasem w danych okolicznościach klaskają w ręce.

Ojciec niepotrzebny już bizun nanowo do kuferka schował.

Ksiądz wikary uśmiechał się złośliwie półgębkiem i myślał: „Doigrał się na koniec!”

Pocziwy i święty proboszcz surowy dla siebie, pełen względności dla bliźnich powiadał: „Szkoda biednego chłopca.”

XI.

Palestra.

Są smutki, są ciężkie ołowiane życia wspomnienia, które pomimo całej swej boleści przywiązują nas do miejsca, gdzie czy serce, czy dusza nasza srodze targane były.

Nieraz stojąc nad urwiskiem brzegu bystro pod domem twoim płynącej rzeki lub folgując zmordowanym dziennymi trudami stopom, usiadłszy na jakim odwiecznym kamieniu, tak dobrze, tak dawno tobie znajomym, ocierając pot z czoła twego, z tęsknym uśmiechem zagłębisz się w przeszłość i przypomnisz, żeś tu kiedyś gorzkiem zalewał się łzami. I kamień ten, tego niemego świadka łzów twoich, dłonią przyjaciela mimowolnie uściśniesz!

I dla tego ci tu miło, żeś tutaj cierpiał. Czas wielkim — na wszystko lekarzem. Ale nawet i wtedy, kiedy cię Bóg temi srogiemi dotykał próby, wstrętu do tej rzeki, do tego kamienia, do tej ziemi nie miałeś!

Są znowu i takie nieszczęścia, które przyszłość życia naszego na zawsze kalecząc, obrzydzają nam natychmiast samą myśl o tych miejsca, gdzie nas te nieszczęście dotknęło. Uciekasz wtedy stamtąd, jak od zapowietrzonej krajiny, otrząsając proch z obuwia

twego, żeby się na niem z tak przeklętej ziemi ani jeden nie został pyłek.

Abeillard pewno się wzdrygał z rozpaczą na samą myśl domu Fulberta. I chyba nieprędko potem ze łzami na niego mógł patrzeć. Łukaszewicz, niedawno jeszcze porwany wirem dwuletnim działających na niego pochołów młodości, tak jak był dotąd kochał Dorsun'szki, tak je też sobie teraz najgwałtowniej obrzydził. Błagał więc rodziców i proboszcza, żeby mu innem dali odetchnąć powietrzem!

Ze wspólnej rady wypadło, żeby się uczył praktycznie prawa, co jeszcze podówczas ludziom zdolnym dosyć korzystny obiecywało zawód.

Oddany tedy został w Kownie znowu na aplikację do adwokata Swolkienia.

Wincenty Swolkień, starodawny kowieński szlachcic, był jednym z najosobliwszych kowieńskich oryginałów. Niepodobna nie powiedzieć o nim słów kilka. Ale, żeby pojętym być jakkolwiek, trzeba coś także wprzód wspomnieć o powiatowych palestrach.

Ustawiczne, ale to ustawiczne picie, a raczej żłobienie rozmaitych, jakże tylko sobie pomyślisz, trunków — od rana do wieczora — było podówczas modą palestry.

Wódka i zakąski, wina i portery koszarowe prawdziwe angielskie nie szły do liku. To się wypijało tak sobie, od niechcenia, mimojazdem bez żadnego znaku po sobie, akurat, jakbyś plasnął biczem po wodziel! Tu wypilo się, idąc na sądy; tu wypilo się dlatego, że człowiek idzie na sądy; tu wypilo się, że człowiek już przyszedł na sądy. Tam, że coś, Bóg wie od czego, brzuch boli! Tu, że już południe, *hora canonica*,

a człek dotąd najmniejszego apetytu nie czuje! Tam jedynie przez grzeczność dla amfitrjona! Tam dla miłości przyjaciela od serca, dla któregoby się człowiek rady dał powiesić! Dosyć, że się piło, piło, piło i piło!

Gdzie się to w człowieku w tak szczupłych od Boga na pokarm i napoje przeznaczonych celkach mieściło, to tylko Jemu jednemu wiadomo. Tak jednak się działo!

Ale te przedwstępne podłechtowania gardzieli, to dorywkowe raczenie się były, jak powiadam, tylko ziarenkiem piaseczku w morzu! Prawdziwe libacje zaczynały się dopiero po południu.

To się nazywało systematycznym fachowem nazwiskiem; nazywało się: *Bibenda*.

Bibenda dwojakiego bywała rodzaju.

Jedna obywatelska, trąca obczyzną, bo wiejska, mieszana w trunkach, szumna, *en compotte* i dlatego licząca się do nadzwyczajnych, boć się to nie codzień zdarzało. To zwykle była skutkiem wdzięczności za wyszły dzisiaj, na przykład, sądowy dekret na korzyść amfitrjona. Tutaj figurowały i wódka i dubeltowe piwo. I kołduny i szampańskie. I kielbasy i Bordeaux. I lura, i portery, i poncz. Była to jednym słowem babilońska wieża z napojów i jadła, podparta butelkami i szklankami, były to szumne wyjątkowe niby rekreacje - palestry, po których zwyczajnie jak po nadużyciu, jak po przypadkowych orgjach i zbytku, czasem i głowa boliwała nazajutrz całej prześwieatnej palestrze.

Druga bibenda — zdrowa, krzepiąca lud Boży, poważna, spokojna, bibenda codzienna, zwyczajna,

bibenda *ex officio*, kolejką przez członków palestry wyprawiana, skromna, jak kryjący się w trawie wiosenny fiołek, cicha, jak słodkie naszej Wilji nurty, zawsze jeden tylko wyłącznie przed sobą, przed całą masą skoalizowanych gardzieli stawiała trunek bez żadnych mieszanin. Dziś, mości panowie, porter? — to porter. Jutro dubeltowe piwo? — to piwo. Ale najzwyczajniej poncz palmę odbierał. Wypić od trzeciej po południu do dziesiątej wieczorem na głowę po piętnaście szklanek ponczu było to, jakbyś swoje wyloty za plecy zarzucił. O tem już nikt ani wspominał!

Nielaskawem okiem patrzano na ludzi tegoż samego stanu, którzy czy dla pierwiastkowego staranniejszego wychowania, czy dla wrodzonego wstrętu od takiej bibendy, bo ja tego pijatyką nazywać nie śmiem, nie łączyli się z kolegami swojemi. Jedno tylko zdrowie, a w szczególności suchoty albo puchlina, w skutku dawnych staropolskich jeszcze bibend nabyte, znajdowały szczere pobłażanie i względność; tym wolno było patrzeć i zacierać ręce a samym nie pić.

Zliczeniem jednakże takich, o których wyżej mówiłem, zdrowych moderatorów nigdziebyś pięciu swoich nie zmordował palców! W Kownie, na przykład, jeden był taki adwokat Jagintowicz. Ten, w ochędóstwie wielkie mający zamiłowanie, strojnie się nosił, nigdy nie pił i nie upijał się nigdy. Wyglądał zatem, jak raróg, jak monstrum pomiędzy niemytymi, nieuczesanymi i nieogolonymi, ale pełnymi zdolności i weny matadorami kowieńskiej palestry. Szanowano go powszechnie, bo trudno było inaczej Ale

go nie lubiono. A nietylko nie lubiono w palestrze. Nie lubiono go nawet bardzo i między obywatelami powiatu. Powiadano o nim, że dumny. Pogodźcież te kontrasty!

Aa! Bo i obywatele ze wsi, wierzący, że, wjeżdżając naprzykład do Kowna, wjeżdżali do miasta, wierzyli, że tu wieśniakowi koniecznie i pohulać, i podweselić się trzeba. Nie drwijcie sobie z takich przekonań. Bibendy wprowadzie ustały. Ale po latach dziesięciu pobytu na wsi i wy, coście doprawdy miasta widzieli, uwierzylibyście w te same dogmaty.

Zdarzało się nieraz, że jadącego ze wsi obywatela, idąc spacerem, spotkano przypadkiem na rogatce. Zaciągnięto go zaraz na łykawkę prosto, jak był, z woza. I tam wszystko z nimi, i co miał w kocy, i co miał w trzosie, i co zostawało w walizie, jak raz za jednym wieczorem przepił. A nazajutrz ileż to było żartów i kpinek! Jak się do rozpuku z prowincjała, z domatora śmiano! A on się po swojemu odcinał. A czasem i nieźle odcinał.

Zacny i pocciwy sąsiad mój, stary sędzia Wisniewski, dawniej sam kowieński adwokat a potem, po złożeniu tej broni, dziedzic Nikodworca, wjeżdżał raz do Kowna z całorocznym podatkiem. Spotyka go cała znajoma i od duszy przyjazna palestrancka gawiedź. Szpik szpiku, krew ze krwi, kość z kości jego.

— A witajże, sędzio! *Salve et fave!* A skądże się ty tu wzięłeś?

— A skąd? Zwyczajnie, jesień, przywiozłem podatki.

— Jakie podatki? Przeżegnaj się lewą nogą! Skądże ty przyjeżdżasz, z Ameryki, czy co? Wszak podatki darowane! Czyż ty tego nie wiesz? 23 augusta cesarz ukaz podpisał!

— Co waćpaństwo mówicie?!

— A tak...

Sędzia pocziwy, łatwowierny, *viveur*, dawne jeszcze polskie o darowaniu podatków piastujący idee, zdjawszy z głowy bawełnianą szlafmycę i wyrzuciwszy ją do góry, powiada: „No, kiedy tak, kiedy to już bez tego przepaść, jak w Charybdzie, miało, niechże sobie przynajmniej z dobrymi starymi przyjaciółmi przepada! Proszę ichmościów z sobą na kwaterę”.

I poszli.

Sędzia się upił z radości, jak cztery dziewczki. Dwa dni i dwie noce pili bez pamięci. A jak się w pół tygodnia wytrzeźwił, dopiero dowiedział się aż wtedy, że to była facecja, że nigdy najmiłościwszy nie darował podatków. I biedny sędzia, rad nie rad, pożyczonym od kogoś groszem tę mniemaną darowiznę do skarbu opłacił!

Ale znowu nie myślcie, że tam tylko pito i pito wszystko, jak brahę! Że to były rury! Dowcipu tam wszędzie było, jak w bród! Rozumie się, dowcipu powiatowego, czysto powiatowego, czysto palestranckiego, któregobyście, wy stołeczni, narazie nie pojęli, ale potem pojawiały się, nie chcąc nawet, śmiać byście się musieli. Tam wszystko iskrzyło się, jak nasz litewski zapalony smolak! Tam artykuły, na przykład statutu, a czasem półgębkiem i ukaz jakiś włączały się metaforą w sądy i zdania o wy-

padkach potocznego życia i trafnem użyciem prawniczych wyrazów, trafniejszymi jeszcze robiły aluzje. Tam wprawdzie materia górę brała nad dowcipem zlatującym z ducha. Ale, że to bywało i bardzo często bywało bardzo pocieszne, choć najczęściej rubaszne, tego i Bóg i ludzie nie zaprzeczają nigdy.

Dodać tutaj winienem, a to zważcie sobie dobrze, że te wszystkie swawole nie tykały się, broń Boże, młodzieży; służyły one wyłącznie samym mecenusom. Aplikanci odbywali, jak błazny, prawdziwy księżę a czasem nudniejszy jeszcze od księżęgo nowicjat. Hodowano ich, jak panienki. Nigdzie nie wolno było ani wetknąć im nosa. Nawet z papierami do pijącego pryncypała przyszedłszy, za drzwiami traktjerni stawali. Bo nieraz i kij bywał w robocie za to, że weszli, gdzie się im nie godzi, i zaraz najpewniej bywała „fora ze dwora“. Słabościom tedy Noego nie uragały nigdy dowcipy Chama! I jeżeli kto z młodych zgrzeszył, to już bardzo, bardzo cichaczem. I słusznie! *Quod licet Iovi, non licet bovi!*...

Otóż tedy Swolkień był nie król palestranckich pijaków, niech mnie Pan Bóg od takiej potwarzy broni, ale był królem palestranckich, prostodusznych, dobroduszych, dowcipnych a zawsze pełnych miłej łagodności w obejściu się z ludźmi — bibułów. Człowiek zdolny bardzo i nieubogi z siebie, zajmujący kilka razem sądowych urzędów i posad, nadto nie był komu potrzebnym gdziekolwiek, a wszędzie był zawsze kochany. Pijąc ciągle, ale nigdy sam jeden, żał mu czasem bywało i na jedną sekundę tak przyjemną opuścić kompanję! Kiedy więc po wypiciu z rzędu *dwudziestu czterech* szklanek ponczu myślał, jakby to

jeszcze z nowym tych szklanek sprawić się tuzinem, zdarzało się, że wnętrzości jego nowe w tym celu i dla ponczu i dla jadła wołały miejsce! Ale, jak powiadam, często się lenił i markotno mu było miłe rzucić towarzystwo! I tym sposobem to, coby czy za węglem, czy daleko dalej jeszcze za sobą zostawić było mu potrzeba, nieraz to wszystko, mówię, o własnej sile i nogach wracając do domu, stroskanej i codziennem osamotnieniem zmęczonej żonie w rodzaju gościńca, w rodzaju nagrody i pociechy przynosił! A jednak ta żona, a takich żon było mnóstwo w pałestrze, była zawsze cnotliwa! I nie pomyślała nawet, jak to robią dzisiaj, oddać mężowi w innych rzeczach wet - za - wet.

Otóż go macie! Oto już wrócił Swolkień i z ogromnym pod sobą zapasem! Wrócił o jedenastej w nocy, spity, zbłocony, zmazany!

Oczyszczono go, obmyto i położono w łóżeczko. Ale nie o to idzie!... Jutro jego wielka sprawa przypada. Wszyscy o tem wiedzą, a żona wie o tem najlepiej od całego półrocza. Jutro jego sprawa, a on głosu ani zaczął pisać!... Zwyczajem wszystkich zdolnych ludzi odkładał on ten głos na ostatni moment... A w ostatnim momencie, akurat, z przypadku dziesięć razy raz poraz się upił! Rozpacz żony, córki, familji! Co będzie z jego reputacją? Straci praktykę zupełnie!...

O pierwszej po północy mój Swolkień, sam, niebudzony, wstaje. Kładzie szlafrok na siebie. Budzi swoje jagnięta, swoich trzech aplikantów. I chodząc po izbie najpewniejszym już krokiem, wszystkim trzem głasy w różnych sprawach, jutro w ziemstwie,

w grodzie i w magistracie przypaść mających, razem dyktuje. A jak tylko gdzie który z nich rozespany zrobi pisząc pomyłkę, jak gdzie w ortografii skrewi czy prostą linię pisma sfałszuje, to go w ten moment pociągnie za ucho! I wszystko na jutro rano do dnia gotowe! O! tenby mógł, zaprawdę, równie sprawiedliwie, jak i kto inny, powiedzieć: „*Si plus bibissem, melius dixissem*“...

Swolkień tem się szczególnie w domowych stosunkach ze swoją młodzieżą odznaczał, że w uczniów swoich trafiał, sam o tem nie wiedząc, wlać zawsze jakąkolwiek część swojego ogólnego prawniczego łyku. To w obejściu się i w mowie, to w stylu, to w charakterze ręki każdy aplikant zawsze od niego coś dobrego przejął. Ale tak, że mu to zostało do samej śmierci. W dalszem życiu to z tego, to z owego powodu wytykano zwykle aplikantom Swolkienia, że jego na sobie to w tem, to w owem noszą pieczętkę.

Koledzy czasem nazywali go pedantem. Dlatego, że tak ortografji i czystego pięknego w aplikantach pilnował pisania. Tem on właśnie w uczniach wieczną swojej dobroci i ojcowskiej troskliwości zostawiał pamiętkę. Tak — on był najzawziętszy, ale najpocziwszy, ale użyteczny bliżnim swoim, ale bardzo zdolny, ale genialny — bibuła! Koledzy jego „*salva melia ratione*“ przy dobrej może skądinąd duszy byli tylko najczęściej zmysłowe „moczymordy“ czy tam „moczywasy“.

W czasie tej Łukaszewicza u Swolkienia, jak mówiono, aplikacji ja, który wtedy do szkół w Kownie chodziłem, wyszedłem raz z ko-

legami i guwernerem moim na przechadzkę. Na wielkiej ulicy spotkał nas człowiek młody, ale z taką fizjonomją, z takim wyrazem twarzy, że się one każdemu koniecznie odrazu na wieki wieków wbić były powinny i że go nawet i na tamtym świecie niezawodnie poznaćby musiał.

Człowiek ten, wtedy już około dwudziestu kilku lat liczący, w modnym podówczas, jak u Żydów, z ogromnemi brzegami kapeluszu, à la *Bollivar* zwanym, miał pod nim czoło, wystające o cal przynajmniej nad nos i oczy. Brwi gęste i groźne powiększały jeszcze rozmiar tego osobliwszego ukształcenia czaszki. Oczy pod takim daszkiem siedziały i bardzo głęboko i nieco ukośnie. Nos równy, nieco zadarty, niewielkie usta i zęby, naprzód wydane. Twarz biała była podówczas, jak u mieszkańca miasta, któremu słońko rzadko w oczy zaziera. Szczęki zapadłe i chude. Włos ciemny blond. Reszta postaci, jak u innych ludzi.

Frak, który wtedy ze stojącym kołnierzem i z połami aż po kostki długimi noszono, i całe ubranie było szaraczkowe. *Wellingtony* z łańcuszkami białemi.

Wellingtony?... Otóż to, zagadka!..

Trzeba wiedzieć, że podówczas niedawno jeszcze po upadku Napoleona tylko co się była znalazła moda noszenia t. zw. majtek. Na te majtki, wymyśli Anglików, bo Francuz wtedy i garści bobu na świecie był niewart, wszyscy starzy, jak na największą nieprzyzwoitość, siarczyste rzucali pioruny. Rzeczywiście od spodni do butów na codzienne użycie, od spodni do butów węgierskich z kutasami albo z ła-

hierowanemi żółtymi sztylpami, używanych do wizyt, i od krótkich spodni do trzewików, używanych na wieczory i bale, ten rodzaj odzienia, ten nowy sposób ubrania, majtki, piekielną się odszczepiał i wrzeszczał herezją. Majtek dotąd używały tylko dzieci do lat dziesięciu, a po nich furmani i lokaje, i to tylko na codzień! To wszystkim starszym srodze biło w oczy. Moda jednak ze zwykłą sobie dyplomatyczną chytrością dla zmniejszenia oporu i tarcia, dla zmniejszenia szorstkich śladów pierwszego wrażenia i gwałtownej tranzycji z jednej ostateczności w drugą, domyśliła się pozłocić pigułkę i rzuciła ludziom — właśnie *wellingtony*.

Wellingtony więc były to majtki od spodu na bokach zewnętrznych aż po wyższą część łydek rozcięte. Całe to rozcięcie zapinało się na gęste drobne guziki a nadto przykrywało się długim sztryflikiem czy klapką. Żeby zaś więcej sprawić efektu, w rodzaju strzemiączek albo podpinek przyczepiano do tych guziczków długie tak, jak i samo rozcięcie, łańcuszki żółte albo białe, t. j. złote albo srebrne. Łańcuszki te brzękiem swoim zdaleka sprawiały w organie słuchu jakąś parodję zbliżających się do siebie ostróg. Czego to było znamieniem? Czy wyjścia z niewoli, czy wejścia do niej, to już rozumniejsi ode mnie wyłożą.

Aleśmy znowu odeszli od swego.

Wzrok tedy, jak powiadam, tego człowieka, połączony z czołem, wystającym z pod takiego przykrycia, musiał być i surowy i ostry tak, że pozazdrościłby mu jego i włoski *briccone*.

Patrzałem długo na twarz osobliwszą, bo człowiek ten, znajomy dozorczy naszemu, zatrzymał go na ulicy i czas jakiś z nim rozmawiał.

Był to właśnie Łukaszewicz.

Fizjonomja ta ugrzęzła, werznęła się w pamięć moją tak silnie, że w dziesięć lat potem, kiedym, jako wierzyciel, na zjazd eksdywizorski z ojcem moim do Jezna przyjechał i w ciżbie różnych a różnych osób, które cały ten ogromny pałac, jak zmudzką kiskę sobą wtedy napchały, twarz tę napotkał, nietylko, że ją sobie przypomniał odrazu, ale i jej nazwisko natychmiast na myśl mnie przyszło.



ELEGANCI Z POZĄTKU XIX W.
(według litografji W. Smokowskiego)

XII.

Wracajże do chaty.

Po kilkoletniej u Swolkienia nauce, z której prócz praktycznej znajomości prawa jeszcze piękny jednostajny i równy, jak perły, charakter ręki, wdrożenie się w ortografię i wydoskonaloną wrodzoną już sobie cierpliwość wyniósł, Łukaszewicz, nie widząc wielkiego w tej drodze dla siebie losu a ciągłym stęsknionych i rozkochanych w nim rodziców wabiony głosem, powrócił znowu do Dorsuniszek. Przez ten czas, póki był w Kownie, mozoląc głowę, daną mu już od przyrodzenia do ciągłej pracy skłonnością, nie opuszczał i wszelkich zręczności, jakie się mu przytrafić mogły przypatrzenia się temu wszystkiemu, co i ręce jego nadal zająć i przyjemną sprawić jemu mogły rozrywkę.

W kraju, który o żadnych machinach, bodaj aż po dziś dzień najmniejszej nie ma idei, zegarek, rozumie się, że pierwsze w uwadze jego musiał zajmować miejsce. To też na tej drodze Łukaszewicz wielkie zrobił postępy. Bo przedewszystkiem kusił o ciągle aż do śmierci czy genjusz, czy szatan mechanik. Wsie tymczasem litewskie, prądem z miast wiejącego cywilizującego wiatru powoli objęte, coraz

się obficie w klawikordy i fortepiany bogaci zaczęły. Jeszcze wprawdzie język samych gospodyń wahał się, jak ma nazywać te harmonijne narzędzie. Jeszcze czasem, bywało, i pokojowa dla wczesnych jajek pieszczona kura i indyk, gałkami tuczony, niegrzecznie na niem siadywał. Jeszcze i o „kortofianie” i o „pantaleonie” nieraz niewprawne matek usta mówiły...

Dosyć, że tu nad Niemem fortepiany zagęszczać się zaczęły. A dudarzy, z dudą dla zabawy szlachty chodzących, coraz to bardziej, niestety! ubywało na świecie. A ubywało po tak spadzistym urwisku, że dzisiaj wszędzie już jest fortepian, choć od lat dwunastu ani jednej nie widziałem dudy. I jakem ja w Warszawie w 1846 roku pod pocziwą jakiegoś wędrownego starca ręką zobaczył, rzuciłem mu się ze łzami na szyję i takem go akurat tym wyskokiem zadziwił, jak kiedyś nasz pocziwy Karpiński, rzucając się na stojącego na polskiej granicy polskiego żołnierza, kiedy się pierwszy raz po odrodzeniu Królestwa do Warszawy był puścił.

Otóż tedy klawikordów u nas wielkie znalazło się mnóstwo a tych, co je nastroić umieli, ani jednego.

Wszystkie fortepiany były rozstrojone i najzupełniej fałszywe. Co to za rozkosz dla ucha!...

Ten deficyt w budżecie muzykalnych naszego kąta zasobów był powodem, że wszystkie panny, jakie wtedy żarem młodości i wdzięków swoich oczy nasze paliły, najokropniejsze uszom naszym zadawały morderstwa.

Pierwsze zmarszczki, które mi się wyrzyły na czoło, winien jestem tej właśnie w każdym sąsiedzkim

domu powtarzanej drapieżnej muzyce. A uwolnić się od tego żadnym żywym sposobem nie było można. Trzeba było odbyć to koniecznie, jak ospę, przy każdej wizycie, bo i ojciec i matka chcieli pokazać, że nie darmo na wychowanie córki tracili i chcieli się jej talentami popisać...

Cóż tedy nasz Łukaszewicz?

Napędzany od ojca swego z dzieciństwa do muzyki, syn i wnuk muzykanta, prawdziwe pokolenie artysty a doskonałym obdarzony słuchem i pojęciem instynktownym tonów, Łukaszewicz umiał wybornie stroić fortepiany. Zwąchali to okoliczni panowie sąsiedzi. Reperacja więc zegarków i strojenie instrumentów, imię Łukaszewicza naokoło szeroko uczyniły głośnem. A to tem więcej, że ten szlachetny i uczciwy człowiek tylko darmo z grzeczności, z przyjaźni każdemu służył, o żadnej za uczynioną przysługę nie myśląc nagrodzie. Owszem oburzając się nawet na samą ideę jakiegokolwiek wynagrodzenia. A to i u nas, i bodaj czy nie wszędzie nadzwyczajnie lubią! Widziałem sam na własne oczy, jak mu przed kilku jeszcze laty jedna z krociovych dam naszych, wróciwszy z Marienbadu, za tysiączne bezinteresowne i kilkunastoletnie przysługi, za kilkotygodniowe pilnowanie o własnym koszcie i przelewanie w różnych hamerniach jej miedzi do parowej gorzelni, za przechowanie we własnym domu w czasie rabunków naszego powstania w 1831 roku kilku tysięcy rubli srebrnych w gotówce — kupioną niby zagranicą a rzeczywiście u włóczącej się Żydówki w Kownie za kilka groszy włóczkową sakiewkę w rodzaju pamiątki przywiozła! A w tej sakiewce, żeby

go bardziej darem rozłechtąć i zadowolnić, znajdowały się trzy ziarnka nasienne, czy w Augustowie, czy w Aleksocie na poczcie z wazonu skradzione, jakiejś niby osobliwszej w Marienbadzie rośliny, która się okazała potem najpospolitszą z wazonowych roślin t. zw. *Fuchsia coccinea*. A poczciwy Łukaszewicz ledwo nie skakał z radości, ceniąc, rozumie się, nie rzecz ale pamięć tak wielkiej pani o sobie. Cieszył się z tego daru całą duszą swoją! Bogatszegoby najpewniej nie przyjął. Ale warto przecie zastanowić się nad egoizmem i skąpstwem tej zacnej niewiasty, tem więcej, że ona ciągle tylko na egoizm ludzki cieniutkim głosikiem wrzeszczała... Pomimo takich kapitalnych i nieocenionych przysług, których wielkość i po dziś dzień ten tylko prawdziwie domyślić się może, co mieszkał na wsi, bardzo oddalonej od miasta, — sąsiednie obywatelstwo przywykło tę uprzejmą grzeczność, że nie powiem wspaniałość, Łukaszewicza za prostą i należną jakąś sobie uważać powinność. Traktowano go powszechnie w domu u siebie protekcyjnalnie i zgóry, sadzono na szarym końcu. Chciano mu pokazać, że wielki honor mu czynią, kiedy szlachetkę okolicznego w zakopciałych i muchami zapstrzonych salonach swoich przyjmują. Pierwszy do niczego niesposobny szulerek lub chłystek sto razy od niego wszędzie więcej był poważany!

Czuł on to w duszy bardzo. Czuł i to, że szlachcic, którego ojciec miał kilka tysięcy rubli gotówki w kuferku, może tym grandom i coś innego oprócz twarzy pokazać. Ale czując obrazę, nigdy się z tego przed nikim nie zwierzał.

Jednakże ani zegarków zepsutych, ani fortepianów rozstrojonych co moment niema.

Łukaszewicz, przywykły już z natury swojej do ciągłego zatrudnienia i pracy, sam sobie wynajdować ją zaczął. Rodzice bowiem, ślepo do niego przywiązani, uważając go za coś wyższego od siebie, nie chcieli go zajmować rolniczymi pracami, któremi się sami zajmowali gorliwie. A ojciec prócz tego zawsze i myślał i mówił, że panicz do gospodarki nie zdatny.

Mieszkała podówczas w Kroniach, dawnem gnieździe Ogińskich, w Kroniach, co jedne tylko starego Niemna litewskie dochowały nazwisko, mieszkała tu, mówię, pani Regnier, majątna wdowa po słynnym swojego czasu wileńskim lekarzu, i dobra te wspólnie z Dorsuniszkami dzierżawą trzymała. Książęta Ogińscy, Gabrjel i Kunegunda, Platerówna z domu, przebywali ciągle w skonfiskowanych dzisiaj na rzecz skarbu za powstanie 1831 r. Strawiennikach. Pani Regnier, białogłowa w podeszłym już wieku, ale jeszcze nosząca na sobie najwyraźniejsze ślady zachwycającej piękności, której kiedyś i anieli nawet zazdrościć musieli zapewne, lubiła nadzwyczaj kwiaty. Bywała tam z Wilna znajoma, także amatorka kwiatów, pani Gutt, która ich mnóstwo pielęgnowała u siebie i dzieliła się nimi z panią Regnier. Łukaszewicz, jako dorsuniski obywatel, zaznajomiony z tym domem, uczuł w sobie odżywającą młodą chęć swoją i zapał do hodowania kwiatów. Wyprosił, czy wymodlił więc u ojca kawałek ziemi pod domem mieszkalnym i tam założył parter kwiatowy, urządzając się w nim podług metod, podawanych

przez Kluka, którego skądś na ten raz dostał i całego własną ręką przepisał.

Chodząc około tych kwiatów z właściwą sobie uwagą, cierpliwością, pilnością, od początku zaraz szczęśliwym skutkiem prac swoich cieszyć się zaczął. Rosło wszystko daleko bujniej u niego, niżeli gdziekolwiek indziej. A zczasem talent swój ogrodnicy do takiego doprowadził stopnia, że rzeczywiście i kwiaty i same rośliny do bajecznych u niego dochodziły rozmiarów. Strumiłłowie nasi, Wagnerowie ryscy, mogli przy nim pójść za piec.

Ale u nas liczba kwiatów gruntowych jeszcze podówczas bardzo ograniczona była! Nikt się w tem nie kochał. W naszym zakątku, prócz pani Regnier, jeden tylko ojciec mój na większą od niej skalę sprowadzał je i przywoził zewsząd. Orodnicy jednak tak się z tem na gruncie nie umieli obchodzić, tak to mieli za fraszkę a owoce za wszystko, że co rok to nowe nasiona kupować musiano. A to było i ambarasowne i dosyć kosztowne.

Jedyny wielki ogród sławny na całą Litwę a nawet i Polskę oprócz Zofjówki i Puław był u hrabiostwa Morykonich w Towianach. Tam prawdziwie były rzeczy warte nietylko Litwinów ale i każdego cudzoziemca uwagi. Łukaszewicz wyprosił u ojca kilka rubelków i konika, żeby ten prześliczny ogród zwiedzić, obejrzeć i poznać. Drugą w parę lat później badawczą peregrynację odbył Łukaszewicz do Wiszniewa, dóbr hrabiego Adama Littawora Chreptowicza, kanclerzyca litewskiego, gdzie były wielka hamernia i rudnia.

Otóż cała masa jego podróży! Bo oprócz trzech czy czterech bytności swoich w Wilnie — i to już w późniejszym czasie — nigdzie nie był i nic oczyma ciała swojego nie widzał. Ale co tylko gdziekolwiek zobaczył, natychmiast i dośledził, i pojął, i dobrze w swoją zaklinał pamięć.

XIII.

Złote ręce.

Póki było lato, dosyć mu było ogródka, z którego nie wychodził nigdy. Ale zbliżała się zima. Jął się tedy książek. Czytał je naprzód biorąc u sąsiadów, potem zbierać i skupować zaczął dla siebie samego. Nie znał innego języka oprócz polskiego. Litewski, który posiadał i którym kiedyś tak słodko do płci pięknej przemawiał, w literaturze nie mógł się mu przysłużyć. Rosyjskiego dopiero pod starość za moją namową i pomocą nieźle się nauczył. Wszystkie tedy książki jego polskie były. Mimo to przez różne godziwe starania, handelki, frymarki, jak było można, wszystko, co jeszcze w książkach po domach szlachty okolicznej było, do siebie przygarwał, pościagał i w parę lat doszedł do tego, że miał bibliotekę z około tysiąca tomów. Jakże się tylko po okolicy rozniosło, cały świat, udający, że chce czytać, a chcący doprawdy cudzą książkę osmarować, obedrzyć i nad nią drzemać; świat, mówię, swoim zwyczajem, panowie i słudzy, bogaci i ubodzy, dalejze zbiegać się do niego, z jego pracy i starań korzystać i wołać: „Panie Ignacy, pożycz książkę do czytania, umieram z nudy!” Mówiąc nawiasem, ten ro-

dzaj śmierci u każdego tutaj aż dotąd jest na ustach. Nikt jednak dotąd na szczęście z tego defektu nie umarł. Karty, butelka i rumiana buzia specyficznymi na to okazywały się środkami. Przed paru laty i fuzyjka do tej należała apteki. Ale tę rząd z politycznych uwag wszystkim teraz co do nogi odebrał. Tamtych środków wszakże na lekarstwo wystarczy. Wołali tedy wszyscy. „Pożycz książkę, pożycz!” Cóż to począć? To już taki zwyczaj! Wiesz zgóry, że jak pożyczysz, zwałają ci książkę, zabrzydzą, najobrzydliwiej splugawią, tomy potracą, karty wydrą na zapalenie fajki alboć na co gorszego w potrzebie nagłej, bo u nas po domach tak mało papieru! A jak to zrobią, wielka łaska będzie, kiedy ci już takiego szkoszlawionego trupa oddadzą! I jeszcze w oczy patrzą, czego to, odbierając tak ozdobioną księgę, postawiłeś marsa.

Poczuł to natychmiast smutnem doświadczeniem nasz Łukaszewicz. On, co każdą książkę, tylu trudami nabytą, tak umiał cenić, ze łzami spotykał wracającego do domu obdartusa wówczas, kiedy go wytwornie czystego, umytego i wychuchanego pożyczył. Osoby wszakże które go o książki prosiły, były najczęściej takie, że im przyzwoitość nie pozwalała odmawiać. Jedną z najdemokratyczniejszych i najpopularniejszych zalet w naszym kraju jest kapcaństwo. Nie wyłącza ono żadnego stanu...

Wtedy mu więc myśl przyszła, żeby oprawiać te książki. Ze tym sposobem przynajmniej jakąś część ich się ochroni od zupełnej zguby. Ale jaki to koszt i skąd wziąć introligatora?! Przypomniawszy sobie,

że bywał w Kownie u takich majstrów. A u niego raz rzucony wzrok na jakąkolwiek ręczną i mechaniczną robotę już, jak mówiłem, na wieki zostawał w pamięci. Rzucił się więc do introligatorstwa. Wystarał się maleńkiej drukarni na tytuły, sprowadził parę nieodbitych narzędzi, resztę albo sam dorobił, albo własnym przemysłem zastąpił. I miał warsztat! I każda książka oprawiona przez niego była często wprawdzie oprawiona ubogo i prosto, co do powierzchownej swojej odzieży, ale z takim wykończeniem, taką dokładnością, taki na sobie doskonałości wyrobu nosiła odcisk, że i paryscy majstrowie zawstydziliby się za tę robotę nie mogli.

W ciągu tych zatrudnień zajmował się jeszcze i różnemi wystrzyganiami dla ozdoby ołtarzów w kościele i rysunkami. Dostał raz na wiązanie od poczciwego proboszcza całe pudełko farb, jakie zwykle dla dzieci po kramach sprzedają. Zasmakował w tej pracy także. Nie ucząc się nigdy rysunku, tylko cierpliwości swojej był winien zupełne podobieństwo w kopjach, jakie z różnych robił landszaftów. Zadziwiająca była doskonałość roboty i wykończenia szczególnie ludzkich postaci lub koni. Wszystko to wyglądało jak najstaranniej wypracowana minjatura. Znających się tylko na rysunku uderzała przy zupełnej we wszystkim innem miękkości niejakaś ostrość konturów, z resztą roboty niezupełnie zgodna. Inni tylko na to z rozdziawionymi patrzyli gębami i mówili: „Aaa!...” W wiele lat potem, kiedy już był zupełnie zarzucił rysunek i poznał się ze mną, w przypadkowej rozmowie wytłumaczył mi tego przyczynę. Nie ucząc się nigdy sposobu użycia kolorów, sam sobie

musiał wynaleźć metodę i manierę, jaka mu najdogodniejszą narazie wydała się. Wpadł więc na okropnie marudną, morderczą i zdrożną drogę wymywania stopniowego silnie na całej, naprzykład, twarzy nałożonej farby i przytem wymywaniu, wykończania całego rysunku. Oczywiście, że tym sposobem podmywana farba najsilniej około samych konturów skupiać się musiała. Konturów już bez zepsucia podobieństwa podmyć nie było można. Ale jakiejże to kamiennej trzeba było cierpliwości i pracy, żeby, tak niewdzięcznym sposobem rysując, tak jednakże doskonałe, oprócz tej jednej wady robić utwory!

Tym tedy, jak widzicie, różnostronnej pracy nadanym kierunkiem sfera działania Łukaszewicza ogromnie się rozszerzyła. Czytanie, rysunek, oprawianie książek, kwiaty, zegarki, fortepiany, rozmaite inne to ślusarskie, to stolarskie roboty t. j. ciągle a ciągle praca i zajęcie się cały czas jego brały.

Raz, kiedy dla rozmówienia się o czemsiś z wybornym pokojowym malarzem, przez ojca mojego namówionym i sprowadzonym do Jezna, przyjechał do tego miasteczka, zastał tam syna tegoż malarza, który się w Wilnie u uniwersyteckiego kowala uczył a potem do weterynarji i zootomicznych prac pod Bojanusem przykładać się zaczął. Właśnie wtedy trzpiot jakiś zabił u nas czarnego bociana. Ojciec mój nierad z tego, bo dawnym naszym a i całego pono świata zwyczajem bocianów wszelkich szanował, kiedy go już zabitego zobaczył, dawszy zabójcy porządną burę, posłał go synowi malarza, żeby go wypchał.

Łukaszewicz na tę robotę akurat nadjechał, pierwszy raz wypychanego ptaka zobaczył i do tej roboty śmiertelnie się zapalił. Powiedziałem już nieraz, że do czego tylko ten człowiek wziął się, robił to zawsze doskonale, ale tak, że ani Francuz, ani Anglik, wyłącznie rzemiosłu takiemu oddani, lepiejby nie potrafili rzeczy dokonać. Ktoś wyrzekł, że genjusz — to tylko cierpliwość. Zaiste, gdyby to prawdą być miało, byłby on niewątpliwie jednym z pierwszych w kraju naszym genjuszów. Cierpliwość jego była rzadka. Teraz więc zaczął i bić i wypychać ptaki. Owocem tego nowego pochopu jest zbiór ledwie że nie wszystkich w naszych stronach gnieźdzących się lub przez strefę naszą przelatujących ptaków. A zbiór tak pięknie i doskonale wypchany, jakim ani paryskie nawet muzeum poszczycić się nie może! Większe, których w szafie pomieścić nie mógł, przez mole zjedzone, przepadły. Mniejszych około dwóchset z całą szafą mnie, umierając, na pamiątkę zostawił. Te w pierwotnej ich doskonałości chować się staram i za prawdziwą z tak wielu względów domu mojego poczytuję ozdobę.

Nie znając mnie jeszcze, kiedyś, kiedyś dowiedział się od kogoś, że ja zbieram owady i te na szpilkach do tabliczek z wosku przytwierdzam. Rzeczywiście znaczną ich liczbę ofiarowałem w młodości mojej gabinetowi historii naturalnej w Wilnie. Tam ją z innemi zmieszaną w wiele lat potem widziałem za profesora uniwersytetu i przyjaciela mojego Karola Muyschela. Co się dalej z tem wszystkim stało, nie wiem. Powiadają, że wszystkie przedmioty, w tych sławnych wileńskich gabinetach znajdujące

się, w czasie gwałtownego i nieumiejętnego z Wilna do Kijowa przewozu starte i zupełnie uszkodzone zostały.

Mnie do tego zbioru pierwszy powód dała niezwykła w lecie 1821 r. powódź, w której rzeka u mnie płynąca, Wierzchnia, tak rozlała, gdzie tylko mogła, żeśmy się nowego spodziewali potopu. A przez dni kilka prawdziwym otoczeni byliśmy morzem. Stojąc wtedy na dostępnych wzgórzach, postrzegłem wielkie mnóstwo uniesionych z trawy owadów, przypędzane falą do brzegu. Zacząłem je zbierać garściami do słoików a potem na szpilki nasadzać i tym sposobem dużo ciekawych egzemplarzy dostałem. Łukaszewicz w swoich wędrówkach po ptaszki łapał także owady i zbiór ich niemały po sobie zostawił, który się po śmierci jego stał w jakimsiś niewiadomym ręku. Bo jak tylko zamknął już oczy, dosłownie rabowano wszystko i zabierano bez żadnego sumienia.

To zatrudnienie razem z poświęceniem się ptakom zmusiło go do zajęcia się historją naturalną w pewnym sposobie. Znał więc systematycznie dużo owadów, ptaków i kwiatów.

Wieloletnie a różnostronne jego zabawki i roboty tak się na koniec popularnemi stały, że lud przeważał go i zawsze odtąd nazywał: „Złote ręce”.

Proszę było zobaczyć naprzykład, broń przez niego zrobioną. Rozumie się rurki miał już gotowe i wypróbowane. Ale reszta! Najśliczniej wyrobione łoże, snycerską robotą najdoskonalej oddane głowy lwów, osłów, gryfów albo innych jakich bajecznych stworzeń! Zamki przez niego samego wyrobione

i wypilowane, sprężyny w oczach jego hartowane! Słowem całość cudowna.

W kilka już lat po jego śmierci zdarzyło mi się kupić od spadkobierców jego ołowianą blachę na kompas, ręką jego wyrzniętą. Robił to, jak data wskazuje, w 1824 r. U spodu, gdzie już wskazówka cienia nie daje, wyrznięte są stosowne wiersze. Proszę zobaczyć, jak to doskonale z matematyczną ścisłością i zgrabnie zrobione! A do wszystkiego tego służył tylko prosty scyzoryk, napilnik i szydło!

Powiedzcież sami teraz, co by mogło być, co by z tego człowieka było, gdyby go od młodości łaskawa ręka losu przeprowadziła po świecie tak, jak innych ludzi prowadzi: Czegoby te złote nie dokazały rzeczy? Czegoby ten człowiek nie odkrył? Tunele Londynu, wiszące mosty i tem podobne wieku naszego dzieci, musiałyby się w kąć schować przed tem, czegoby ten człowiek niezawodnie doszedł. Dosyć mu było coś tylko powiedzieć, o czemkolwiek nadmienić, co się mechanizmu jakiego tyczyło, żeby natychmiast ci odrzekł: „A, to, panie, tak i tak zrobione być musi!”

Kiedym już był z nim zażyły, wspomniałem raz przed nim o zamkach podróżnych angielskich, do drzwi używanych, które i dotąd jeszcze podobno za niedostępne dla wytrychów złodziejskich są miane.

Wysłuchał mnie. A potem rzekł: „To chyba taki mechanizm w nich być musi”. Wyniosłem mu taki zamek. Rozebrał go, opatrzył. I okazało się, że zgadł zgóry.

Po kilkunastoletniej w Litwie nieobecności musiałem nakoniec z powodu śmierci ojca swojego wró-

cić w rodzinną stronę. Jak owad, co się na świeże ciało łapczywie i żarłocznie rzuca, a rodzicowi swemu niejako folguje, rzuciły się natychmiast na mnie wszystkie wszystkich języki. Najpłodniejsze wyobrażenie nie zdoła tego opisać, co kochani współrodacy moi, co dobrzy bliźni moi, co łaskawi sąsiedzi o mnie mówili. Jakich na mnie odrazu nie rzucali potwarzy, czego im nakoniec do głowy nie przyszło. Nie licząc już takich bredni jak to: że jadam zawsze surowe mięso, albo, że mam konszachty z „duchami”, co niedawno jeden z nich nawet drukiem ogłosić raczył. A najlepsi w tem rzemiośle byli właśnie ci, którym dawniej, kiedy tu za młodu mieszkalem, najżywotniejsze uczynilem przysługi. Jam ani drgnął na to. Śmiałem się z tego w duchu, bo wiedziałem zgóry, że tu tak być musi. Puściłem wszystko na los szczęścia. Tam zaś, gdzie już i najświętsze, i najlepsze chęci w potwornym sposobie przewracano, ceniiono, powiadałem dla własnej pociechy: „*Barbarus hic ego sum, quia non intelligor illis!*...” i na tem się cała zemsta kończyła! A oni nie umieli po łacinie!

Łukaszewicz, tak mało kiedyś ze mną znajomy, objęty czadem najrozmaitszych plotek i gawęd, długo u mnie pokazywać się nie śmiał. Lękał się. Ale czego?... tego i potem nigdy nauczyć nie umiał. Głównym i na samym ostrzu stojącym przeciw mnie zarzutem była — „nadzwyczajna duma”. A żadna sąsiadka, żaden sąsiad ani w oczy mnie jeszcze nie widział! Roili sobie tylko, na własną mierzac mnie skalę, że z takich a takich powodów już mi ani krukiem nosa nie dostać! Bo to pewna, jak potem po-

znałem, że w takimże razie u nich przy największem staraniu niczem do tego nosa dostaćby się nie było można. Ale ktoby do niego miał interes?

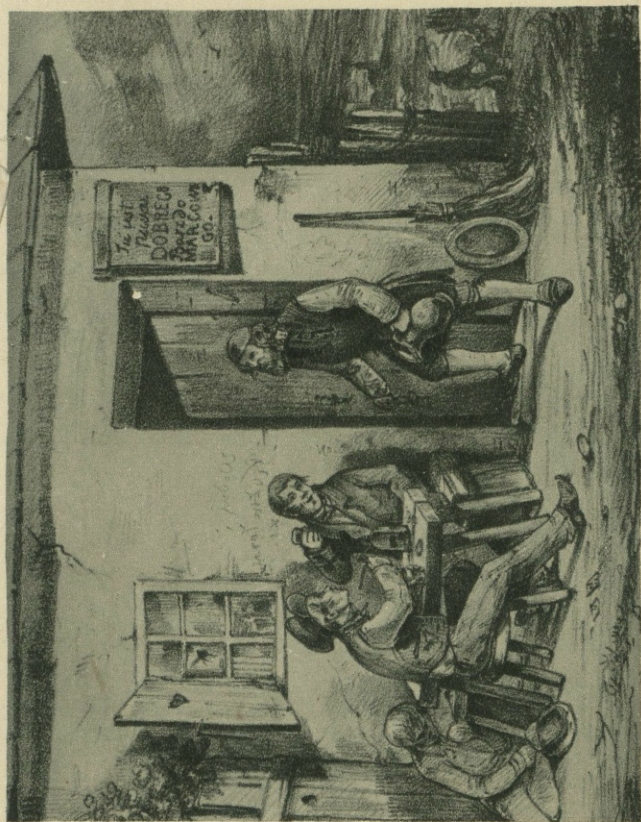
Kiedy tak każdy mój krok brano na nice, kiedy każde słowo moje natychmiast przez najętych *ad hoc* plotkarzy spaczonym sposobem roznoszone było, wieść raptem gruchnęła, że w ogrodzie moim niewidziane dotąd najosobliwsze znajdują się kwiaty. Że je z Ameryki, z księżycy, z pod ziemi nawet sprowadzam. Że tu, co najwięcej znaczyło, nikt taką ciekawością popisać się nie może. W 1838 roku jeszcze tu pod tym względem tak ciemno było, że nikt naokoło nawet pełnych georgin nie widział!

Natychmiast więc damy tutejsze albo i małżonkowie, chcący połowom swoim miłą zrobić siurpryzę, użyli najprostszego i mającego tu prawo obywatelstwa sposobu. Wysłali do ogrodnika mojego posłów, ażeby go przekupić i co można ukraść! Fil Pustelniku, jakież to niegrzeczny wyraz!

— Cóż robić, panie moje, kiedy się to akurat tak po polsku nazywa!

Posłowie oszukali się haniebnie! Po długich staraniach wysledzili nakoniec, że ogrodnikiem — ja sam byłem. Jakże tu mnie samego przekupić? A prosić o to niby wstyd było.

Wypadało koniecznie za podobny zawód na mnie się zemścić. Czyż nie słusznie?... Nie był-żem winien?... I różowe pięknych sąsiadek moich usteczka, jak na kołowrotku, tysiączne za tę przeszkodę pręść na mnie zaczęły wymysły i smalić okropne duby.



ZABAWA ZA MIASTEM

(według litografii wileńskiej z pierwszej połowy XIX w.)

XIV.

Jakież tam kwiaty?

Główna panująca nad Łukaszewiczem dodatnia namiętność były kwiaty. O ujemnej wkrótce także powiem.

I słyszał on już tyle razy o tych osobliwszych moich kwiatach, że mu się tylko śniły a śniły. Jak mi sam potem powiadał, ważył się z sobą i ważył, mocował, odpychał od siebie, jak mógł, pokusę. Ale się w duszy paliło! Niema rady! Więc, kiedy mu już żadna filozofja na pomoc przyjść nie mogła, kazał raz koniki swoje założyć i w imię Pańskie, co będzie, to będzie, do Ustronia na wszystko przygotowany przyjechał. Poświęcił się dla miłości kwiatów. „Jakkolwiek przyjęty, zobaczę”, mówił: „kwiaty i dosyć, i niech go potem lichy bierze”. Na większe jego szczęście na ten moment nie było mnie w domu. Przyjęła go więc matka. Miał czas z trwogi ochłonać — a i ja tuż nadjechałem. Przywykły być lekko traktowanym wszędzie, gdzie od lat dwudziestu tak wielkie każdemu robił przysługi, przygotowany był na najbardziej upokarzające w moim domu przyjęcie. Jakże się zadziwił, kiedy to wszystko odrazu znalazł zupełnie inaczej! Gość u mnie,

a zdaje się, że tak być powinno, bo tak i ojcowie nasi robili, ktokolwiekby to był, pierwsze zawsze zajmuje miejsce. Nie wiedziałem, co miał Łukaszewicz na sercu, ale i on to miejsce zajął wszędzie a wszędzie w mojej chałupie. A to mu się pierwszy raz dopiero w życiu i już na starość zdarzyło! Nagłym więc przekonań swoich a wstecznym obrotem, całym się pierwiastkowym wstrętem swoim natychmiast do mnie przywiązał i, jak siłą namiętności swojej zmuszony do mnie przyjechał naprzekór sobie samemu, tak znowu z sercem pełnem przychylności wrócił. Odtąd przez sześć lat całe, t. j. do końca życia swojego, stale dobroci, szacunku i przyjaźni swojej dawał mnie dowody. A wspólna nasza do kwiatów skłonność i dawane mu przeze mnie coraz to nowych gatunków nasiona więzy te silniej jeszcze ściszały. Jedyny to był może człowiek w tych stronach, co był wart tego nazwiska. Ale się mylę zapewne! Nikogo tu nie znam i z nikim nie żyję. Zapewne jest ich więcej. Czyż nie prawda? Ciągłe tu jednak powtarzane słyszę przysłowie: „Są tu ludzie, ale człowieka niemal”...

Po śmierci ojca swojego, który zawsze sądził, że równo z życiem jego wszystka praca jego u tego literata i artysty w poniewierkę pójdzie, Łukaszewicz zajął się rolą gorliwie, bydła i koni pomnożył i dwa razy tyle, co ojciec jego, przez punkt honoru potrafił z tejże samej ziemi otrzymać dochodu. Pojmowałem to dobrze. Bo i mojego ojca o mnie także było mniemanie. Zdawało mu się, że się natychmiast w stos min i brudów zamieni to piękne, to prześliczne Ustronie...

Przy związkach, do których i zacność i uczciwość tego człowieka tak słuszne dawały prawo, jeszcze się pomiędzy nami zrobiła emulacja o trafniejsze i szczęśliwsze hodowanie kwiatów. Łukasiewicz, kiedy nie wypychał ubitych u mnie ptaków w czasie jego tutaj bytności, cały czas na parterze wśród kwiatów moich przebywał. Mogły się o kilka kroków dalej całe gałęzie łamać pod owocami, on to tylko jedno studjował.

Był to człowiek uprzejmy, usłużny, wesoły i dobry. Surowa a ledwie że nie straszna mina jego straszniejsze o nim daleko rodziła zdanie, niż było w istocie. Owszem prawdziwą było dla niego rozkoszą robić ludziom przysługi — ale pod tym koniecznym warunkiem, żeby nie żądać i nie przyjmować od nich żadnego materialnego dowodu wdzięczności.

Lubił pieniądze, wziął je po ojcu, zbierał je od siebie i zbierał skrzętnie nie dlatego, żeby w ich posiadaniu znajdował jaką przyjemność i rozkosz, ale dlatego jedynie, żeby, znając już dobrze ludzi tych słojów, przez które w życiu swoim przychodził, a w tej rzeczy wszystkie słoje mało się od siebie różnią, nie dojść nigdy do tego najwyższego stopnia upokorzenia, ażeby się w jakimkolwiek sposobie o pomoc i wsparcie u nich dopraszać. Przyzwoity, układowy, trzeźwy, nieposzlakowanego we wszystkim prowadzeniu się, postrzegacz wielki i trafny z tą tylko znajomością świata, jaka się między Dorsuniszkami a Kownem na przestrzeni mil kilka nabrać dała, nigdzie śmiesznym nie był a często bardzo interesował wszystkich w rozmowie. Skromny i mniej da-

leko, niż wart był, siebie ceniący, nigdy się nie wysuwał naprzód. Zapytany odpowiedział i odpowiedział zawsze rozumnie. Słowo jego było, jak żelazo, prawdziwe *verbum nobile*. Co przyrzekł, zawsze dotrzymał. Stronił się, ile mógł przyzwoicie, dla uniknięcia opinii dumnego, od towarzystwa jego-
czesnych ludzi swojego stanu, gdzie się teraz tylko dobrze upić można. Jedynym jego, jak nazywał, zbytkiem była herbata. Bez tej przy słabem i pracą wyniszczonem zdrowiu obejść się nie mógł. Żeby z większą jeszcze rozko-
szą wessać w siebie odżywczy a ulubiony jej aro-
mat prócz zwykłego samowaru, inne sobie własnym pomysłem potworzył blaszane naczynka, które mu do tego celu skutecznie służyły, a które, gdy-
by po jego śmierci rozchwytane i zniszczone nie były, inożebym trafnością swoją i innym ludziom się zdały. Pomimo ciągłych utrudzeń ciała i rolnych zatrudnień, bo nawet siał zawsze własną swoją ręką, żył tylko mlekiem, jajami, twarogiem. Chociaż się i innych potraw naszych i przypraw bynajmniej nie wzdra-
gał. Owszem, sam się nieraz, na przykład, na moją sławną czysto litewską duszoną kapustę zapraszał i z dobrym smakiem ją zmiatał. Zresztą wtedy tylko jadł prawdziwie, kiedy jadł u mnie wieczerzę. Bo dla niego jednego właśnie podówczas z mleka i jaj różne wymyślano koncepty. To go wielce cieszyło i bawił się tem bez żarłoczności, jak dziecko.

Przy tak wielkiem i bystrem objęciu wszystkiego, co się mechaniki lub robót ręcznych tyczyło, Łukasiewicz ze zdaniem prostem i zdrowem, dziwnem or-
ganizacji głowy zjawiskiem czasem tępo bardzo poj-

mował najprostsze wypadki. Długo one od niego odskakiwały sprężyste, aż póki ich pojęcia tak mu silnie razem do mózgu nie przylgło, że całą jego na długo zajmowały uwagę. Miałem w życiu mojem kilku znajomych a wcale nie głupich ludzi, z podobną organizacją głowy. Zwykle okoliczności, najwięcej nas obchodzące, zrazu gorąco i czule, potem siłą rozumu, woli, religji i tysiącznemi wlanemi w nas duchowemi pomocami coraz wolniej i słabiej nas dotykają.

Są znowu ludzie, którzy nic z tego nie czują, chociaż rzecz pojmować się zdają, i dopiero nieprędko, nie wiedzieć dlaczego, raptem im jakaś kleпка w głowie odskoczy, raptem w niej zaświeci. Wtedy już to, co z początku obojętne dla nich było, rozpalonem żelazem mózgi ich piecze i dławi. Łukaszewicz należał, jak widać, do tego dosyć zresztą rzadkiego ludzi rodzaju.

Uporu miał w sobie dużo narazie. Wiele rzeczy, już w towarzyskiem naszym życiu dzisiejszem najzupełniej przyjętych, zdawało mu się strasznem dziwactwem. Nie znając obyczajów światowych, nieraz powszechnie już w nas wsiąkle ich przejawy z podziwieniem i ze wstrętem, jak Chińczyk lub Azjata jaki, przyjmował. Długo się o nie dąsał. Dysputował długo. I z tego względu był dla mnie bardzo interesujący, bo uiszczał sobą wtedy sąd pierwiastkowego człowieka o zwyczajach i obyczajach już zepsutych cywilizacją ludzi. Długo tedy wielu z takich rzeczy i głupstwo i zupełny brak zdrowego rozsądku zarzucając, jak się potem w domu sam na sam z sobą rozmyślił, przy nowych odwiedzinach sam pierwszy zapomnianą już przeze mnie wznawiał ma-

terję i nieraz pocziwie się do niesłuszności dawniej prowadzonego sporu przyznawał. Często jednak na słuszne jego zarzuty nie było co odpowiedzieć. W każdej jednakże dyspucie albo dyskusji nigdy się nie zapomniał do tego stopnia, żeby mu brak wychowania, którego rzeczywiście nie miał, można było zarzucić.

Przyjaciół gorący i szczerzy, przywiązujący się gruntownie sercem, kogo już lubił, to go za oczy, jak kokosz kurczą swoich, przeciw wszem wobec i przeciw każdemu zosobna i dziobem i pazurami bronił. Chociażby nawet ci przeciwnicy i do wysokich społeczeństwa należeli słojów. Na to się już nie oglądał wtedy. Niemało więc wojen miał za mnie. Pamiętam, jak raz zupełnie i nazawsze dom jeden znakomity opuścił dlatego tylko, że słyszał za stołem poufałą gawędkę, w której się gospodarz z żoną swoją nad ukartowaniem i wytoczeniem mnie pieniackiego jakiegoś procesu naradzał. Szlachetne objęło go oburzenie, bo wiedział, że miano mnie, świeżo przybyłego, naturalnie za fryca, mającego pieniądze. A tu wszyscy pocziwosze na pieniactwie tego kuci byli i z tego tak, jak i z kart, ciągnęli i zabawkę i zyski.

Pojmując w tem i gości, i gospodarza moralne zyski, przyjeżdżał do mnie nietylko często, jak na tydzień lub dwa tygodnie zrzędu. To nam wzajemnie dawało swobodę i wolność, jaką gość, nawet najmilszy, przybyły na chwilę tylko, najzupełniej gospodarzowi domu odbiera. Trzeba go wtedy nieodstępnie bawić czy nudzić. A jedna z dwóch stron czy tego, czy tego doświadczyć musi koniecznie. Ja

się przynajmniej wtedy najzupełniej nudzę. Ale z takim, jak Łukaszewicz, człowiekiem, nigdy nudy mieć nie było można, bo on ciąglem i tylostronnem zatrudnieniem swoim i siebie i drugich zawsze potrafił zabawić, gdzie się tylko pokazał. A sam sobie nawet zostawiony, zawsze jakąś zajmującą umiał dla siebie znaleźć rozrywkę.

XV.

Nienawiść sąsiedzka.

Ale te spokojne i ciche, o którecheśmy mówili, skłonności, te namiętności, jeśli je chcesz tak nazwać, nie drażnią życia człowieka. A kto nie jest prawdziwym starożytnym filozofem, ten bez takiego bodźca życia swojego cenić, jak należy, nie może, nie umie. Takie to są słabości biednego człowieka! Trzeba mu koniecznie pieprzu. Trzeba koniecznie, żeby mu po słabiznach i schabach dobrze wyraszplowana łechtąła ostroga!

Takim bodźcem całego życia, takim ciąglem dla Łukaszewicza drażnidłem i wzajemnie był sąsiad jego w Dorsuniszkach, szlachcic Florjan Kołyszko. Nienawidzili się obadwaj. Ale to zgrzytali na siebie zębami przez całe życie!

Kołyszko był z rzędu tych ludzi, których można spotkać nieraz na świecie w rozmaitych stanach, którzy sami o tem nie wiedzą, jak do nich przez proste tarcie i polor i powierzchowność zaletna i pewien rodzaj dobrego tonu przylega. Jest i w duszy ich i w ciele ich jakiś gatunek woskowatości, pozwalający przyjąć na siebie tego rodzaju odciski. Umieją oni zręcznie uchwycić za same makówki przy-

zwoitszego, wyższego pomiędzy ludźmi obejścia się i tak je zaraz na swoje kopyto przerobić, przetrawić, że widać tam mniej więcej zgrabną samoistność a nie widać niezgrabnego małpiarstwa.

Talent taki służy im tylko zwykle od czasu do czasu. To jest wyjmuje się, jak żupan świąteczny, tylko w niedzielę, tylko na tę chwilę, kiedy się w wyższym nad ich urodzenie towarzystwie znajduje. Pomiedzy swoimi w domu i za domem to, czego się skorupa zamłodu napiła, występuje na brzegi skorupy.

Kołyшко, przystojny i zdrowy mężczyzna, od pierwszej młodości ciągle patrzył na wyższych od siebie ludzi, jak chodzą, jak stoją, jak stoją, jak siedzą. Wyuczył się przed zwierciadłem może tej łatwej a może i bardzo trudnej maniery. Zazdrościł tym ludziom ciągle ich położenia na świecie, ich układu ale z tą nadzieją, że i sam kiedyś jakkolwiek do tego dojdzie. Pozory i powierzchwnia pierwwej nad nim górę wzięły i zawojowały go, nim się na zasadach poznać potrafił. Jak je poznał, cofać się już było trudno. Doszedł więc obraną drogą rzeczywiście do samej mety po samej powierzchni.

Granica t. j. brzegi naszego pocziwego starego Niemna, były zrazu strzeżone przez szlachtę. Zwano ich po naszemu strażnikami a z ruska „objezdczykami”. Zaszczyt ten finansowy nie był przez szlachtę należycie pojęty! Mówiono: „At, czego to, mospa-nie, Moskala żałować!” A mógłby on jednakże wyprowadzić tę szlachtę na wyższą i lepszą niż teraz sferę działania. Nigdy nie było większego tutaj „przemytu”, jak kiedy go strzegła krew nasza szla-

checka! A rząd spuścił się był wtedy na jej uczciwość i honor. Pieniądze przekupne toczyły się ryczałtem do tej szlacheckiej z kużelu utkanej kieszeni!... Ale, jak w dziurawej beczce, złota woda, z jednej strony nalana, natychmiast wyciekała przez drugą. Że aż Żydzi, połykając ślinkę, ramionami tylko ściskali. Rzadki, arcyrzadki się znalazł, coby grosz ten, sam się do niego gwałtem cisnący, nadal zachował. A to tem dziwniej, że portery angielskie i wszelkie zagraniczne trunki zalewały wówczas od stóp do głowy nadniemeńskiego strażnika — szlachcica w rodzaju prezentów i darów. Że to do datku pieniędzy nie mięszało się zgół równie, jak z cudzoziemskich wyrobów żon, sióstr i córek stroje. Bo to było tylko t. n. „baryszem“.

Żołd strażnika wynosił sto pięćdziesiąt rubli asygn. rocznie. To jest mniej więcej dwieście siedemdziesiąt złotych polskich. Tyle właśnie każdy z nich najpewniej nabrał od przemycających na wszystkie strony Żydków przez jeden tydzień. Ale Pan Bóg, co dał złoto, dał i na wymknięcie się jego obfite także kanały. Dał i karty i piękne to tu, to ówdzie rzucił babie twarzyczki. Karty, miłość rozpustna, zbytki wszelkiego rodzaju, w ludziach, żadnego nie mających wychowania, zagęszczone, tak się głęboko w straż graniczną szlachecką wklepały i w niej zaklepały, że ci, co tak stale pełne złota miewali za mojej nawet pamięci kieszenie, dzisiaj i to od kilku lat dziesiątków o zebranych chlebie po naszych stronach skromnym przechodzą się krokiem, nosząc na sobie najczęściej ślady dawnego swawolnego życia! Kto jednak chciał choć trochę z roztropnością żyć

w zgodzie, mógł się przez to nadużyć ufności rządu wzbogacić... Kołyszko akurat był strażnikiem na początku swego publicznego zawodu. Prowadził się dobrze. Brał wiele. Mało tracił. Dużo więc zebrał pierwej, nim rząd, ostrzeżony o tak zbójeckich przeciwko systematowi swojemu frymarkach szlachty, opuścił ją nazawsze i nowy dla granicy opatrzył dozór. Jak już więc w tej wodzie nie było ryby, Kołyszko poszedł na ówczesnego parafjalnego dozorcę, t. j. na dzisiejszego kluczwójta t. j. na główny i najostrzejszy pazur policji ziemskiej. Na pazur, który się pojedynczo tylko na każdą naszą parafję zapuszcza i ciągle ją rwie i szarpie w najrozmaitszych kierunkach. A tam, gdzie się szarpać zaleknie, zlekka tylko łechce i drapie, ale zawsze cokolwiek dla siebie wydrapie. Czas ten, o którym mówię, 1817—1826, był dla naszej policji ziemskiej, równie jak świeżo miniony dla strażników, istnym rajem szatana. Zewsząd lało się złoto!

Dwie srogie rany toczyły podówczas tutejszą obywatelską społeczność. Jedną z nich było chytre i umyślne ukrywanie ludności w spisach jej, „skazkami” zwanych, w celu zmniejszenia opłaty podatków od dusz męskich. Drugą: przechowywanie zbiegłych z rosyjskiego wojska żołnierzy i rekrutów, albo nawet i zapisanie ich do ksiąg ludności dlatego, żeby w każdym prawie naszym majątku, więcej daleko ziemi niż ludzi mającym, przybyło rąk zdolnych do pracy.

Nie przechowywano wprawdzie tych rekrutów, jako rekrutów, z wiadomością rzeczy. Rzadki chyba był tylko tak bezwstydnym obywatel, ale bywali i tacy. I takich niewielka szkoda. Przechowywano ich

w ogólności z przypadku dlatego, że tylu tu jeszcze było zdrowych i silnych z całego świata włóczągów, którzy sami nie wiedzieli co z sobą robić, a którzy do popisu stawić się musieli, że często i przyczajony skądś tam rekrut, w tajemnicy pochodzenie swoje trzymając, przez chciwego na pracowite ręce obywatela najniewinniej na własną prośbę do księgi popisowej majątku zapisany albo i bez wpisu trzymany był.

To postępowanie, jak i wiele innych zgubnych w skutkach swoich nadużyć, nieszczęsne, kalekie dziecię wzajemnej nieufności pomiędzy narodem i rządem, szczerze albo i nieszczerze czasem usprawiedliwiała się wpływem obcego nad tym krajem prawa. Usprawiedliwiała się przy domowym ognisku nadzieją, jeszcze wówczas zieloną, przyjscia do swego własnego kraju zarządu. Do dawnego jeszcze nieładu przywykli a wybierający z pomiędzy własnych braci - współobywateli na sejmikach całą policję ziemską wszyscy tutejsi dziedzice włości rachowali w tej rzeczy na sekret braterski, na spokojność i cichość. Ale djabeł nie śpi! Ale i wtedy byli już ludzie, co, jak owi proletariusze paryscy, wstawali i u nas rano, nie wiedząc, co i kogo zjedzą przez dzisiaj. Nie wiedząc gdzie się spać położą na jutro! A wygodki sobie na przyszłość za co bądź zapewnić chcieli! Takimi właśnie byli wybierani kreskami współbraci swoich urzędnicy policji ziemskiej. Nie chcąc przez resztę wstydu sami prosto leżeć w oczy swoim łaskawym wyborcom a wiedząc podług przysłowia policyjnego urzędnika Krüdnera, że „i najlepsze siemię nie da oleju, póki go nie wyciśniesz”,

wszywali się w skórę baranka a cichaczem podma-
wiali Żydów albo innych łotralków, ażeby do nich
wnosili urzędowe doniesienia czyli delacje o zata-
jonych przez obywateli opisowych ludziach i o wło-
częgach z rekrutów. Ale z wyraźnym warunkiem,
żeby zawsze o jednym tylko naraz mówiono tam,
gdzie ich było kilku, dlatego, żeby się za miesiąc nowa
indagacja powtórzyć mogła i nowe do ich kieszeni
weszły wyderkafy. Ci zatem urzędnicy, niby niewin-
ni i współczuciem przejęci, przyjeżdżali potem w to-
warzystwie prokuratora czyli strapczego, urzędnika
od korony a więc już patentowanego obdzieracza, i ni-
by zmuszeni naturą rzeczy z podobnem doniesieniem
majestatycznie i groźnie przed obywatelem stawali.
Obdarli go na ten raz, jak sami chcieli, i wzięwszy
kubana dziesięć razy wyższego od kwoty podatku,
jakiby się skarbowi za opuszczonego człowieka w po-
pisie należał, albo połowę sztrafu za utajonego czło-
wieka, znowu sobie jaki miesiąc, drugi, cicho i spo-
kojnie siedzieli. A potem o nową zatajoną duszę,
nową podobną temuż samemu obywatelowi wytaczali
sprawę. Bezwstyd i łakomstwo urzędników w tym
względzie przeszły były podówczas wszelkie gra-
nice!

Ten, co się nauczy „donosów” t. j. delacji, jak
raz tylko nogę w to błoto postawi, niełatwo na
pierwszych próbkach przestaje. To szlachetne za-
jęcie, jak każdy grzech śmiertelny, musi być rzeczą
bardzo powabną i słodką. Znalazła się tu więc rap-
tem oddzielna rasa niepocziwych ludzi, formalnym,
wyartykułowanym charakterem „donoszczyków” czy-
li szpiegów odziana. Dowiedziawszy się już raz, że

stąd niezły dochód mieć można, zrobili z tego rzemiosło. Szli to przez zemstę, to z chciwości, to dla różnych innych pobudek społecznego życia, protegowani przez władzę, ze swojemi doniesieniami coraz to wyżej i wyżej. Ale nakoniec stanęli szpiegowie aż tam, gdzie już przekupić urzędnika nie było można! Tym urzędnikiem ni mniej, ni więcej był tylko sam w. książę Konstanty, rządzący Litwą z Warszawy. Bardzo się on na takie nadużycie rozsrożył. Otaczający z samolubnych widoków więcej jeszcze rozdrażnili pana.

Ale kancelarję jego podsmarować, podmydlić, podmaślić to była rzecz inna wcale. I udawało się zawsze. Tylko, że to kosztowało diabło!... Wolano tedy na miejscu taniej zakończyć, niż wpadać w gardziel nienasyconej hydry. Wogóle rzeczy te ogromne, bajeczne w ręce łupieżców oddawały sumy. Zdzierce miljonowe kupili dobra! Prawdziwi dziedzice Litwy przyszli do torby!

Najpierwszym prześladowcą obywateli w tej rzeczy był jeden z najpodlejszych pod względem ludzkiego rodzaju wyrodków Żyd, dotąd wielce jak na Żyda bogaty i prześliczną mający córkę, niejaki Szachnowski. Niechaj pamiętać jego przeze mnie przynajmniej nie zginiel... On ani mnie, ani moim nic złego nigdy nie zrobił, bo nie było się do czego przyczepić. Ale wieluż on nieszczęśliwych porobił! Był to więc, wracając do rzeczy, złoty czas dla policji, osypywanej zewsząd świetnym proszkiem mamony! Dozorca parafji był pierwszą działającą w niej sprężyną.

Kołyшко tu się wzbogacił powtóre. Kołyшко został nakoniec i sam asesorem, t. j. jakby powie-dzieć, komisarzem okręgowym policji ziemskiej. Do-stał więc urząd, jak dla niego, niebotycznie wysoki, urząd, którego powaga u nas tych, co go noszą, bez względu, rozumie się, na osobiste zalety, do wiejskich naszych salonów z kwaśnym duszy grymasem wpro-wadza, ale którego właśnie też sama powaga urzędu i w Rosji właściwej, i na całej kuli ziemskiej zawsze i wiecznie za drzwiami trzyma. Co to i mówić o nas! *Vae victis!* Urząd ten jednakże może się stać ze swojej natury drogą do najwyższych wysiłków cno-ty. — To wielki los w loterji. Albo, jak zwykle, co-dzień a codzień jest najniższym szczeblem i moralnej i społecznej pozycji człowieka. Żli chwytają tę po-sadę z ochotą, wyrywając ją sobie jak kość jaką wzajemnie różnemi najnikczemniejszymi drogami. Dobrzy ze łzami w oczach, z rumieńcem na twarzy biorą ją z musu, bo z nędzy dla jakiegokolwiek ka-wałka chleba!

W ciągu półwiecza, w ciągu całego półwiecza nad Niemnem jeden tylko był człowiek wart daleko lepszego losu, człowiek, którego cnota przez piasto-wanie tak śliskiego i tak powszechnie pogardzanego urzędu do wyższego podniosła się blasku i wdzięczną u wszystkich po sobie zostawiła pamięć! Zanotujmy jego imię. Nazywał się Adam Jabłoński.

Owóż wspomniałem o nienawiści Kołyшки z Łu-kaszewiczem. Po nienawiści rodzinnej niema może upartszej, zaciętszej i bardziej zalegającej serce nie-nawiści, jak nienawiść sąsiedzka.

W każdej okolicy szlacheckiej, o zakład, i bujno rośnie i pełnym kwiatem kwitnie chociażby jedna tylko między dwoma domami sąsiedzkimi nienawiść. Nienawiść ta radaby ni mniej, ni więcej jak po żyłce i z nieprzyjaciela samego, i z dzieci jego, i z wnuków jego wyciągać! Radaby pastwić się nad nimi. I ciągle, dniem i nocą nienawiść ta przed oczyma ich duszy staje, ciągle ją tylko na coraz to nowej zemsty wyzywając wysiłki. Jak ludzie od siebie mieszkają dalej, czasem i prawdziwe do gniewu powody i połkną i strawią i będzie cicho. Jak się tylko chata o chatę łokciami ociera, bywaj zdrów, pokłóć się ludzie aż do krwi o jedną garść bobu!

Powody nienawiści sąsiedzkiej czasem, czasem ale to bardzo u nas rzadko bywają słuszne: za krwawe, na przykład, i śmiertelne duszy obrazy. Wtedy i korsykańska nawet *vendetta* przynajmniej pojęta być może. Najczęściej jednak drobne, śmieszne przyczyny, ciągle a ciągle, jak kropla wody na kamień, działając, powoli a tem samem silniej i trwalej zakorzeniają się w sercach. Nienawiści takie teraz w tym opłakanym czasie powiększyły się jeszcze co do ich liczby od drugiej ćwierci bieżącego wieku przez eksdywizje, które duże majątki w skutku ich rozdziału na szmaty, na prawdziwe okolice szlacheckie zmieniły.

Wszakże eksdywizje te, na które tak bardzo i słusznie wrzeszczą i wrzeszczeć będą, póki jeszcze to pokolenie nie zeszło do grobu, eksdywizje, które i moją własną tak bardzo zmniejszyły fortunę, miały dobrą stronę. Było to, jak owe *liberum veto*! Dziw-

nie szlachetne i dobre w zasadzie. Śmiertelnie zgubne w zastosowaniu. Dlaczego dobre? — to już dzisiejsze publiczne wypadki na świecie poniekąd tłumaczą. A zgubne dlatego, że sędziowie, których sam tytuł wyobrażenie prawości i cnoty za sobą prowadzi i prowadzić powinien, w spodlonym już moralnie kraju, jak pijawki, wyssali krew z każdego na eksdywizję oddanego majątku. To było już przez lat kilkadziesiąt chlebem powszednim pewnej klasy zgłodniałych i nienasyconych bankrutów i łotrów, którzy, przekupując ciągle izbę cywilną zarwanami także po eksdywizjach pieniędzmi, ciągle tylko na członków sądów eksdywizorskich naznaczani byli. Przeciągali oni wszystko dla własnego zysku, jak mogli. Brali naprzód zgóry pieniądze nazwane *salaria*. Brali kubany. Żyli kosztem majątku dłużnika t. j. wierzycieli. Mieszkali w nim z żoną, dziećmi, dworem, końmi a czasem i psiarnią na koszczie masy. I nieraz, przeżywszy takim sposobem lat ośm lub dziesięć na cudzym chlebie zawsze z celem oddalenia, ile można, dekretu i na to pozorne ale prawne znajdując przyczyny, umierali sobie nakoniec w ciągu eksdywizji. Na miejsce ubytych zbójców naznaczano innych, a ich było tak dużo! Było z czego wybierać, kto większy! Wierzyciele znowu i tym powtórnie a czasem i po raz czwarty opłacać *salaria* musieli! I kończyło się zawsze na tem, że sami sędziowie cały majątek i masę zjedli! Znajdziecie ich imiona tysiącami i w aktach i w drukach. To była przeklęta masa ludzi, których do trzeciego pokolenia przynajmniej palec Boga dosięgać i karać będzie. Bo to co do nogi łotry największej ręki!

Żeby sprawiedliwość zachować i to dodać trzeba, że intrygi wierzycieli, którzy zamiast się jednoczyć i łączyć jeden przeciw drugiemu pałające chciwością i zawiścią stawili obozy, przedłużały sprawę. Oni tego nie widzieli i widzieć nie chcieli, jak na własną swoją szkodę pracują! Otwórzcie im oczy! Nie dadzą się!...

Powtórzmy tę obyczajową uwagę, że sposób, jakim rozdrabiano i rozdzielano ziemię, przemieniał w pewnym względzie dobra w okolice i oprócz innych skutków, korzystnych zczasem dla ogółu, nowe niewyczerpane źródła do kłótni i nienawiści stworzył. A o tem właśnie i zaczęliśmy mówić. I lepiej daleko, kiedy się tego tylko trzymać będziemy.

Wróćmy do Łukaszewicza i Kołyszki.

Kołyszko otrzymał był w tychże samych Dorsuniskach grunt od Ogińskiego obok Łukaszewicza i na tychże samych co i Łukaszewicz warunkach. Stary już się był zagospodarzył i obudował, kiedy do tego dopiero z trudem i wielkim kosztem przystępował Kołyszko. Pierwszy powód wzajemnej zawiści. Znalazły się to u tego, to u tego, to pod oziminę, to pod jarzynę lepsze kawałki gruntu. Nowy powód krzywego na siebie patrzenia.

„Czemże on lepszy ode mnie?”

Zaczęły się potem szkody w polu wzajemnie robione. Ten pierwaj pożał i wypuścił bydło swoje na rżysko. Tu się zabrało bydło i za szkodę kazało się zapłacić. Tam przypilnowano umyślnie i oddano wet za wet. Tu przybito kurę, tam koźlę, wypędzając je z ogrodu. Potem się kaczka łakoma przez zagrodę do rozsady wcisnęła! Tutaj się przypad-

kiem nadorała miedza. O! w takim już razie dawajże do kijów i grabił! Tu chłopcy swawolne do grochu wlażyły i całe dwie garści ukradły, tam całych dwudziestu strączków bobu nie stało! Tu kot zakradł się na poddasze i zjadł sąsiadowi cały kant w połciu słoniny. Tam odmówiono i namówiono do siebie hojną obietnicą ośm lat służącego na miejscu parobka!

Co ty za jeden!... — A ty co za jeden?!...

Ty taki!... — A ty taki!?...

I tym sposobem od igły do nitki wielkie kwasy i coraz większe kwasy codzien rosły i rosły! — Ale nie dość na tem. Łukaszewicz, nie wdając się w żadne urzędowania publiczne, siedział spokojnie czy w Kownie, czy potem w domu i swojemi cichemi zajmował się pracami. Kołyszko, ciągle służbie publicznej oddany, na różnych jej szczeblach zostając, miał naturalnie więcej potęgi, zarozumienia i siły. U nas zaś, jak tylko kto choć sto rubli ma we własnej kieszeni a wężem zgaduje, że ich jaki dziesiątek jeszcze z cudzej bezkarnie wydobyć może, choćby i dziesiętnikiem został, już mu rady niema! Zaraz od tego zaczyna, żeby się nadać i rogi swoje bez żadnego z niczyjej strony wezwania pokazać! To jest, żeby źle innym za co bądź zrobić dlatego tylko jedynie — „żeby miał poważanie i żeby go się bano”. O to ostatnie bardzo tu idzie. I to właśnie stan społeczeństwa naszego, do jakiego przez tyle nianiek doprowadzone zostało, najdokładniej w oczach myślących ludzi maluje.

Kołyszko tedy wszelkiemi możliwemi środkami upokarzał cichych Łukaszewiczów. Póki jeszcze

starzy sami jedni byli, udawało mu się to dobrze. Ale jak syn z Kowna przyjechał, a przyjechał z palectry, nasłuchawszy się co sąsiad z nimi wyrabia, zaczął silniej czuć krzywdę i bronić rodziców swoich. Rozmówili się jeszcze kilkakrotnie przy spotkaniu a rozmówili się naturalnie i ostro i grubo.

Kołyшко miał Łukaszewicza za człowieka do niczego, za czystego próżniaka. Łukaszewicz Kołyškę za człowieka z bardzo długimi rękami, które ustawicznie po cudzych rolach pracują. Wszystko to sobie wypowiedzieli w oczy.

Kołyшко nic nigdy nikomu darmo nie zrobił, choć był to robić powinien z miejsca i obowiązku swojego. Łukaszewicz przeciwnie nigdy nic znowu za pieniądze lub datek nie zrobił, ale wszystkim darmo nawet z własnym swoim uszczerbkiem. Chociaż do tego niczem obowiązany nie był.

Kołyшко znał się wybornie na tak nazwanych kruczkach policyjnych i pogardzał Łukaszewiczem. Łukaszewicz ani pomyślał nigdy o żadnym kruczku. Ale cenił siebie z tego powodu, że umiał prawdziwie pożytecznych rzeczy sto razy więcej od dziesięciu Kołyшków. I z tych powodów wzajemnie pogardzał Kołyšką.

Te ciągle porównywania się z sobą, te ciągle starcia, te ciągle w jednym miasteczku przez ulicę od siebie mieszkających kobiet wzajemnie noszone plotki doprowadziły na koniec zwykłym obyczajem do jednego, drugiego procesu. Naturalnie, że Kołyшко, różnemi związkami, bo ręka rękę myje, z urzędem złączony, zawsze proceder wygrywać musiał. Stąd

z jednej strony większa jeszcze pogarda i większe lekceważenie. Z drugiej większa nienawiść i większa chęć zemsty! Koniec końców ani pies z kotem, ani te ptaki pińskie, co je bataljonami zowią, tak się nienawidzić nie mogą, jak ci dwaj ludzie nienawidzili się z sobą. Samo imię jednego drugiemu napędzało już spazmów i rzucało krew w oczy. Nic tyłkoby jeden drugiemu z rozkoszą nóż we wnętrznościach trzymaście razy zakręcił!

Łukaszewicz na lat parę przed śmiercią czy dla osłabionych nerwów, czy z powodu codziennego zmęczenia się od ręcznej pracy, bo ten człowiek ani na chwilę próżnować nie mógł, pod wieczór wśród najciekawszej niekiedy rozmowy zasypiał. A był już i niemłody i wielce słabego zdrowia. Dręczyły go to i wstydało. Jednakże wada silniejsza była od niego. Jak się to u mnie kiedy zdarzyło a było nas tylko dwóch, dawałem mu spokój. Ale czasem, osobiłwie przy obcych ludziach tak się mu na prawdziwy i głęboki sen zaniosło, że dla samej przyzwoitości nie obudzić go nie można było. Obudzony jak raz w ten moment znowu głowę na piersi schylał.

Na to ja tedy następne i ciągle wielce skuteczne wymyśliłem lekarstwo. Kiedy się już bardzo nieborak rozespał, pytałem go głośno: „Powiedzże mi, panie Ignacy, co tam Kołyszko porabia?” Jak tylko Łukaszewicz to imię usłyszał, zrywał się, bywało, równemi nogami natychmiast, chodził zwawo, rozprawiał z ogniem i już tego wieczora pewno więcej nie zasnął.

I zawsze, a zawsze ten sposób najskuteczniej mnie służył.

XVI.

„Prawujem się, panie!”

Są powody, dla których, kiedy już mówią o szlachcie, wypada mi opowiedzieć jeden z pomiędzy wielu Łukaszewicza z Kołyszką procesów. To może się przyłożyć do wyobrażenia teraźniejszego z wielu względów okresu. Przed odjazdem moim do Warszawy na cały rok pobytu w 1845—1846 r. wezwany byłem przez Łukaszewicza i Kołyszkę na kompromisarza w celu polubownego ukończenia wiążącej od lat wielu nad nimi sprawy.

Jak zwyczajnie w kompromisie strony się odrazu zgodziły na osobę sędziego, ale zaraz jedna z nich wydany odrzuciła wyrok. To już taki tu zwyczaj.

Prawdziwie ciekawą rzeczą był bieg i kształt procesowi temu nadane. Co było w małych, mogło być podniesione do Bóg wie jakiej potęgi w większych zatargach i sporach. Szło tylko o to, jak się kto starał. I to dać może ideę tego opłakanego naszego czasu. Pamiętajcie bowiem na potem, ktokolwiek żyjecie, że jedna, jedna tylko urzędowa niesprawiedliwość większe daleko zepsucie obyczajów od trzyczciestu publicznych domów rozpusty za sobą prowa-

dzi! To się tak, jak dźwięk, drganiem powietrza rozchodzi i złego uczy.

Było to w 1831 roku. Rząd jeszcze pełgające głównie i żary powstania zewsząd garniętym zasypywał popiołem. Żydzi i tu i tam słodkie robili oczy. Jak się udało „wiernie” obu stronom służyli. Przekonani, że cel wszelkie względem Chananejczyków usprawiedliwia środki, jedną ręką, pomagając Rosji, drugą wydzierali z niej same prawdziwie dzisiaj odżywnie soki ciąglým nad granicą i to na wielką skalę towarów zagranicznych przemytem. Stańło na tem, żeby pomimo w tymże samym celu od sześciu lat już wydanego a żółtim krokiem spełnianego monarszego ukazu, nowem jeszcze rozporządzeniem wszystkich Żydów natychmiast od granicy na mil zgórą siedem oddalić. Ukaz wyszedł. Słuchać trzeba. Takby się zdawało. Ale u nas dotąd papier i rzecz, w tym papierze objęta, to dwie tak różne rzeczy! Żydzi po dawnemu na miejscach zostali, opłacając za to wedle możności swojej jakąś kwotę dla policji ziemskiej.

Po uśmierzeniu powstania rząd i kosztami wojny zubożony i nie mogący trzymać dostatecznej liczby urzędników policyjnych, oprócz asesorów, tych już wiadomych stróżów porządku, stworzył jeszcze żelazną dłońą honorowe bezpłatne policyjne posady z samych niewmieszanych w polityczne zaburzenia obywateli i tych na okręg — okręgowymi, na parafję — parafjalnymi naczelnikami nazwał. Tym sposobem Łukaszewicz został chcąc niechcąc parafjalnym naczelnikiem miasteczka Dorsuniszek. Kołyszko był wtedy asesorem policji, o mil kilka stamtąd wydział

swoj mającym. Będąc jednak sam stróżem prawa, nie wahał się ani na chwilę trzymać na przekorę najsurowszym samego monarchy ukazom Żyda z całą familją w dzierzawionym przez siebie zaścianku Miszkuciach, blisko Niemna leżącym, i temu jeszcze Żydowi dwadzieścia kilka krów swoich na dojło czyli na pacht arendą wypuścił. Oprócz policji nad Niemnem trzymała od siebie jeszcze dozór straż pograniczna, już podówczas nie ze szlachty ale z żołnierzy i oficerów złożona.

Nadstrażnik dorsuniski, niejaki Jewdokimow, dowiedziawszy się, że Żydzi w Miszkuciach swobodnie mieszkają, udał się z tem do władzy swojej i do sądu policyjnego ziemskiego w Kownie. Sąd, lubo dobrze za podobne rzeczy opłacony, musiał się jednak za taką odezwę do miejscowego asesora swojego, niejakiemu Żelny z rozkazem wypędzenia tych Żydów odwołać. Żelno, zajęty tysiącznemi sprawami, powieżył to na piśmie od siebie parafjalnemu naczelnikowi a kopję tego poruczenia nadstrażnikowi przesłał. *

Odtąd Jewdokimow co moment napierał Łukaszewicza o wypędzenie Żydów, mieszkających u Kołyszki. Jakkolwiek krwawo z Kołyszką zadarty i ognistą ku niemu pałający zemstą, Łukaszewicz tyle był szlachetny, że nie chciał robić gwałtownych chociaż oddawna już przez policję przyjętych jego Żydowi szykan. Prywatnie zatem zawiadomił Kołyszkę i Żyda o tem postanowieniu władzy, radząc, żeby się, o ile można, najprędzej do tego zastosować chcieli. Sposób zaś wypędzania Żydów przez policję ziemską przyjęty, który ja tu jeszcze w 1839 ro-

ku zastałem w całej świetności, zależał na tem; czy w lecie, co mała bieda, czy w zimie, kiedy bywa 25 gradusów mrozu, wyjąć natychmiast w ich mieszkaniu i drzwi i okna, obuchem piec rozbić i wszystkich na śnieg wypędzić. Dzieci drobne niech sobie i zmarzną! To była powszechna wszystkich urzędników metoda. Z drugiej strony trzeba na ich usprawiedliwienie i to powiedzieć, że nieposłuszeństwo i upór Żydów równał się ledwie nie co do joty wymiarowi takiej ze strony policyjnej urzędników tyranji. Człowiek uparty sto razy gorszem i bardziej morderczem jest stworzeniu od wszelkiego innego na świecie stworzenia. Żydzi tutaj walczyli *pro aris et focis*.

Łukaszewicz, co moment napędzany od Jewdokimowa i na ciągle narażony wymówki, dowiedział się z drugiej strony, że Kołyszko, ówczasowy policyjny asesor, nietylko Żydowi swojemu ruszać się z miejsca nie kazał, ale jeszcze zapowiedział, że jeśli go tylko Łukaszewicz ośmieli się z Miszkuć wypędzić, za staniem Kołyszki na Syberję zesłany zostanie. Tu już mu chrześcijańskiego pobłażania zabrakło. Chwyciło go to za najdrażliwsze a i tak już do ostateczności przeciw Kołyszce napięte sercowe struny. Na biedę nim się jeszcze wysapał, nadjechał tuż zaraz z żołnierzami swoimi Jewdokimow i z urzędowem pismem, w rękę włożonem, wezwał go jechać do Miszkuć.

Łukaszewicz Żyda żałował, bo miał dobre serce.

Ale nie było co robić! Jewdokimow podług zwyczaju — w obecności Łukaszewicza drzwi Żydom i okna wyjął, piec prosty z gliny ubity nieszkodliwie,

bo to było w lecie, nadbił. Ceberek zebranego mleka na dziedzińcu wylać żołnierzom swoim rozkazał. Serów kilka za okno wyrzucił. Żydów zaś i żonę i męża pod konwojem do Kowna przy swoim raporcie popędzić kazał. I tu cała wyprawa na tem się skończyła. Takich tu było tysiące.

W miesiąc potem, kiedy Łukaszewicz, kwiatami zajęty, o niczem nie wiedział, niczego się nie domyślał, zjechała do Dorsuniszek komisja śledcza i zatrzymała się w domu Kołyszki. Członkowie jej w skutku podanej przez Kołyszkę na Łukaszewicza skargi przyjechali dośledzić jego nadużyć:

- a) ocenić, jak wielką szkodę sprawił samemu Kołyszce napadem zbrojnym na jego majątek i zburzeniem mieszkalnego domu;
- b) jak wysoką szkodę zrobił Łukaszewicz mieszkającemu tam Żydowi;
- c) wielu pokaleczył Żydów; wielu z nich umarło, wielu kalekami zostało;
- d) wiele Żydówek przez poboje i przestrich zroniło;
- e) wiele chrześcijanek z samego przestrichu takimuz nieszczęściu uległo.

Na to wszystko znalazły się niezaprzeczone dowody, które wprawny w takie rzeczy Kołyszko potrafił ułożyć. Łukaszewicz tylko sobie przecierał oczy, pytając się siebie samego, czy nie śpi.

Koledzy Kołyszki, składający komisję, uproszeni od niego obietnicą wzajemności w danym razie, nawalili mury na Łukaszewicza. „*Faciamus experimentum in anima vili*“, powiedzieli sobie. Tyle jednak sumienia mieli, że opinji swojej o poronie-

niach i kalectwach dać nie chcieli, przedstawiając tylko zeznania świadków, przekupionych przez Kołyszkę, na opinię prześwietnego sądu. Wysokość strat biednego i trzech groszy nie mającego Żydka na sześćset rubli srebrnych, t. j. na cztery tysiące złotych oceniona została na wiarę Kołyszki!

Tak tedy Łukaszewicz, gwałtem na urząd wysadzony, spełniając wyraźne i składane na piśmie kilkakrotne polecenia władzy sądowej, z dwóch stron do niego doszłe, o zbrodnię, o kryminał oskarżony został!

Jewdokimow, główna całego tego interesu sprężyna, przez władzę swoją wyjęty z pod sprawy i od wszelkiej odpowiedzialności uwolniony.

Takie jest i dzisiaj wyjątkowe prawo. Włościanin skarbowy, wzięty teraz pod nadzwyczajną rządu opiekę, chociażby ojca rodzonego zabił, nie może być sądzony przez sądy zwyczajne dopóty, póki na to zgoda nie nastąpi t. zw. izby dóbr państwa, znajdującej się w każdej gubernji. U niej zaś taką *uwalniającą* od sądu opinię łatwo wyrobić czyli o nią się wystarać. Otóż to mówili, że Polska nierządem stoi!

Łukaszewicz tedy samiuteńki jeden, jak palec, pod sąd oddany został. Zrazu taką o pomstę do Boga wołającą niesprawiedliwość zdurzony wkrótce i sam uczuł i przez przyjaciół swoich uspokojony został, że podobna sprawa, o funt klaków prowadzona, z samych potwarzy złożona, na niczem skończyć się musi. Spokojny tedy w sumieniu swoim bieg sprawy sprawiedliwości ludzkiej zostawił. Nie starał się!

Tymczasem po zejściu śledczych papierów do właściwego sądu staraniem Kołyszki wciśnięto tam jeszcze przyjętym obyczajem pokryjomu kilka niebyłych aktów, opatrzonych wszelkimi formami. Znalazł się zawsze ktoś taki po kancelarjach co za kilka złotych bez zgryzoły sumienia to zrobił.

Po kilka latach, jak sprawa przeszła zwykłą rutynę, a już wtedy jawności sądu nie było, Łukaszewicz za winnego uznany został. Ale przy jawności nawet sądów byłoby toż samo, bo sprawy kryminalne już jej nie ulegały oddawna, a tu właśnie tego rodzaju był proces. Dowiedziawszy się o tak haniebnym dla sędziów dekrete, podpisanym przez sędziego, który tylko podpisać się umiał a dzisiaj mieszkając od kilka lat na wsi i tego już nawet zapomniał, biedny Łukaszewicz apelował do Izby Kryminalnej wileńskiej. I znowu spokojnie zasnął. Kołyszko i tutaj nie spał! Pomimo to Łukaszewicz pewnoby tu wygrał. Najwyższy, bo najczynniejszy urząd tej Izby, rozpatrzywszy się w tej rzeczy, zapewnił go, że, jak Bóg żywy, tak podobnego rozboju nad biednym człowiekiem i bezbronną owcą nie dozwoli nigdy. Znalazł się tymczasem usłużny delator, który urzędnika tego o polityczne oskarżył przestępstwa. Wzięty do więzienia wykazał po kilku miesiącach swoją niewinność. W ciągu jego niewoli sprawa Łukaszewicza, który na tym człowieku polegał i o losie jego nic a nic nie wiedział, w Izbie Kryminalnej odeszła. Znowu Łukaszewicz na głowę przegrał! Ale ponieważ rzecz była o szlachcicu i o dopełnionym przez niego kryminalne, sprawa ze swojej natury do Senatu przejść musiała.

I tam się dostał Kołyszko. Senat jednakże samą nawet myśl jakiegokolwiek kryminału czy poranień odrzucił. Winę mimo to napaści i najazdu na dom uznał. O straty zaś, poniesione przez Żyda, za którym Kołyszko jako prosty plenipotent stawał, kazał się nanowo z Łukaszewiczem drogą sądową, znowu od pierwszej instancji zacząwszy, rozprawić. Sąd więc pierwszej instancji miał w tej nowego rodzaju sprawie jedynie tylko do ocenienia wysokość strat, oznaczonych w skardze. A tej inaczej nie mógł ocenić, jak naznaczając Kołyszce przysięgę. Kołyszko tak nienawidził Łukaszewicza, że, powiedziawszy ze skruszonym sercem: „Mahomecie, zmrzuż oczy!” najpewniejby przysiągł, a przysiągłby najkrzywiej.

Znał to dobrze Łukaszewicz i dlatego o kompromis do mnie się udał. Ale ze swojej strony żadnym znowu sposobem do śmierci tego pojąć nie chciał, że tu już teraz nie o stopień winy, którą Senat wyrokiem swoim czy słusznie, czy niesłusznie potwierdził, ale tylko o proste rachunki chodziło.

On ciągle dowodził, że wyjechał wypędzać Żyda z wyraźnego rozkazu władzy zwierzchnej. Że chociaż tam żadnego nadużycia nie było, jeden tylko Jewdokimow za wylanie ceberka mleka i wyjęcie okien odpowiadać powinien.

Ja po rozpatrzeniu papierów znajdowałem, że cała szkoda, ceniąc ją sprawiedliwie, i dwudziestu złotych nie była warta. Dla spokoju jednak świętego, dodawszy koszty procesu, utrzymania na swoim stole komisji, procenty od tego kapitaliku, przez lat tyle policzyć się dające, oznaczyłem kwotę nie przewyższającą pięćdziesięciu rubli. Łukaszewicz to

przyjął. Kołyszko się zerwał. I tak znowu rzecz nakręcił, że sąd trocki nawet po obu ich śmierci od Łukaszewicza Kołyszce sto pięćdziesiąt rubli srebrnych nie wiem już za co zasądził! I to spadkobiercy już jego opłacili zięciowi Kołyszki. Niechaj więc opis tego malutkiego procesu da wyobrażenie wymiaru tegoczesnej sprawiedliwości. A czyż takie rzeczy się dzieją?!...

XVII.

Groby.

Ostatni raz widziałem Łukaszewicza, kiedy się ze mną wyjeżdżającym do Warszawy pożegnać przyjechał. Obchodziliśmy z nim razem mój piękny parter kwiatowy. Było to na wiosnę.

Wśród tych tylko co wychylających się z kieli-cha i uśmiechających się kwiatów, wśród tej majowej pogody przeszła mi przez głowę myśl o śmierci, która mi zawsze po wiele kroć razy na dzień, jak na biedę, przychodzi!

— Panie Ignacy — rzekłem — może już ostatni raz i z temi kwiatami i z sobą się widzimy! Któż to zgadnąć może?... i komu się ciągle nie zdaje, że tu wiecznie żyć będzie! Jeżeli umrę, zostawiam rozkaz na piśmie, ażeby wszystkie książki moje i wszystkie georginy tobie na pamiątkę po mnie oddano.

Oczy mu się łzami zalały. — Żyj, panie — rzekł — ja starszy i pewno ja będę z brzegu. Nie traćmy nadziei, pókiśmy jeszcze młodzi i zdrowi. Z mojej jednakże strony zaraz, jak tylko do domu powrócę, zapowiem i matce mojej i domowym moim, żeby, jeśli mnie nie stanie, to, co mam najmilszego, zbiór wypchanych ptaków moich, panu oddano. Pan jeden znasz tylko, ile mnie to kosztowało mozołu i pracy.

Pan jeden tylko w tej stronie zachować to potrafisz i pamięć o mnie zatrzymasz!

Rzucił mi się za tem w objęcia! I to było ostatnie na tym świecie nasze pożegnanie. Ostatnie...

Jakoż po rozstaniu się ze mną, niestety! nazewsze, natychmiast, jakem się potem od jego matki dowiedział, i jej i domowym swoim polecił, żeby to jego rozporządzenie wykonali sumiennie. A jakżeby śmierć swoją przeczuwał po kilkakrotnie tu do komisarza mojego przyjeżdżał w czasie nieobecności mojej, zalecając, ażeby się natychmiast po śmierci jego o te ptaki dopominał. Po zgonie jego nazajutrz staruszka matka znać dała, żeby stąd po nie ludzi wyprowadzić.

I ja, powróciwszy z Warszawy, nie zastałem już przyjaciela, ale znalazłem czekającą na powitanie u mnie jego pamiątkę...

Umarł Łukaszewicz z zaziębienia. Pracując w Wielki Piątek w swoim ogródku na zdradliwym wiosennem powietrzu, źle się poczuł. Matka jego od kilka tygodni także leżała chora. Nie było komu o lekarzu pomyśleć. Po kilku dniach gorączka się wzmogła i dnia 14-tego kwietnia 1846 roku w sam dzień Przewodniej Niedzieli, gasnąc co chwila, jak świeca, Bogu ducha oddał w pięćdziesiątym pierwszym roku życia swojego.

Pochowany w Dorsuniszkach obok przodków swoich, dłużej od niego kiedyś cieszących się życiem, bo w ósmych krzyżykach także w Dorsuniszkach zmarłych.

Wdzięczni dorsuniszczenie za wielkie na budowlę ich murującego się kościoła zapisy, kościoła, mające-

go zastąpić drewniane tylekrotnie od XV wieku wygorzałe szopy, za jego w ciągu życia niesione im pomoce nawet wyrzniętej na kamieniu z jego nazwiskiem grobowej deski przez dobrego jakiegoś człowieka — nabyć za kilka rubli nie chcieli!...

Dziwnym zbiegiem wypadków a, kto wie, może i cudownym jakimś tajemniczym wpływem Łukaszewicz i Kołyszko, ludzie tak wzajemnie sobie nienawistni, tak wzajemnie na siebie zażarci, tak sobie ani na chwilę nie dający spokoju, ludzie ci dwaj którym tu za mało było miejsca na świecie, obadwaj razem z tej ziemi zabrani zostali.

Łukaszewicz leżał już na śmiertelnej pościeli, kiedy lekko zapadł Kołyszko. Posłano dla niego po lekarza, który, przybywszy natychmiast, nic zatrważającego nie znalazł. Tegoż wieczora około północy dano znać, że Łukaszewicz już skonał. Ucieszyło to niewypowiedzane Kołyszkę, ale tylko co się był w różne z tego powodu przed swoim lekarzem zaczął wdawać wesołe przechwałki, strwożona czeladź wpadła do niego, wołając gwałtu, że dom jego gore!...

Zerwał się więc na ratunek a ciągle głośno powtarzał, że djabeł, niosąc duszę Łukaszewicza, głównie piekielną przez ostatnią już zemstę na dom jego spuścił.

Tymczasem to przerażenie, ta fatyga i straty, jakie go od tego pożaru spotkały, natychmiast tak gwałtownie pogorszyły stan zdrowia jego, że w parę dni potem i sam za swoim odwiecznym nieprzyjacielem poszedł...

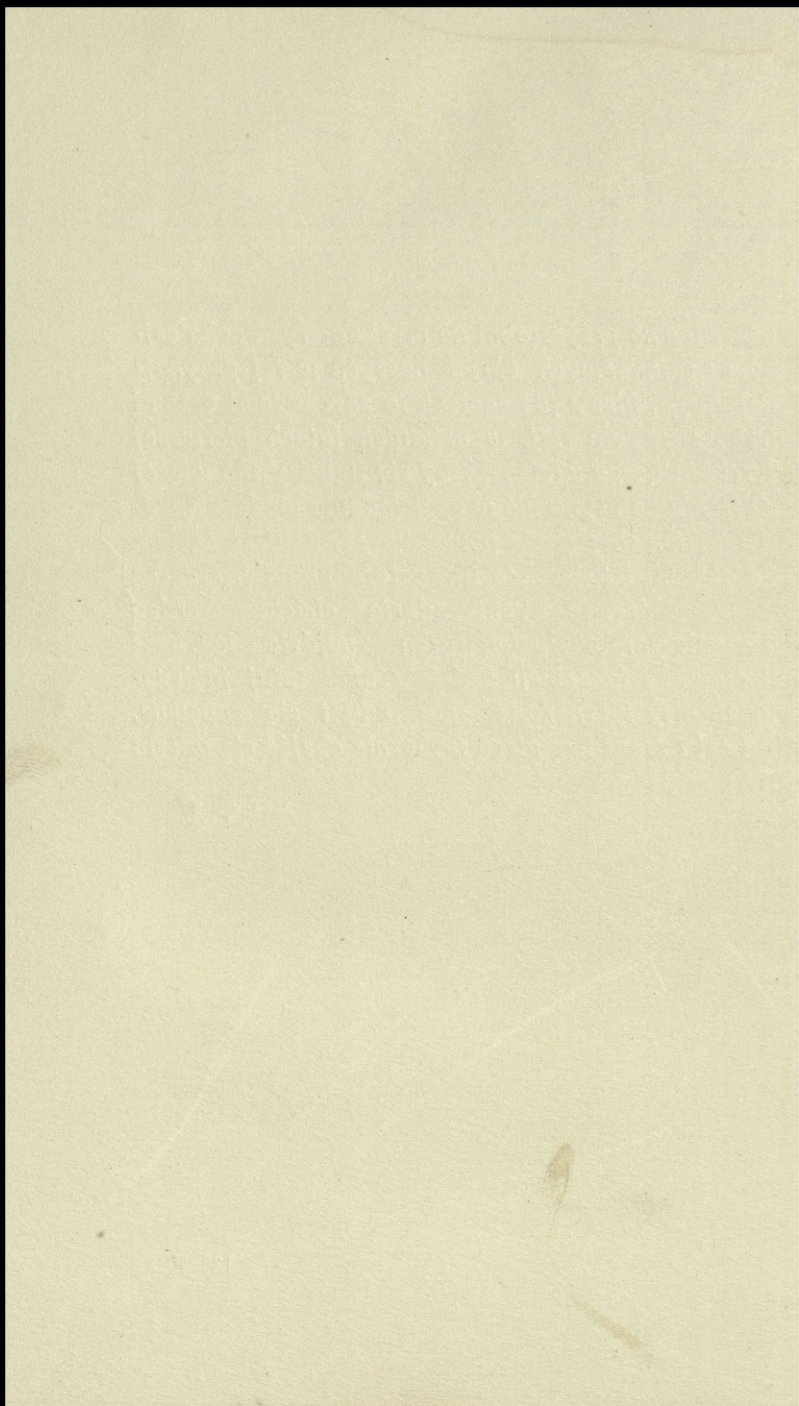
Dom w każdym kątku i czysty i schludny i gospodarka rolna, jak w zegarku, jak w ulu i ogródek kwiatowy ślicznymi i we dwoje bujniejszymi niż u ogrodników z rzemiosła kwiatami ozdobny, a własną uprawiany ręką; tysiąc tomów polskich w bibliotece; kilkaset ptaków, prześlicznie wypchanych w kuferku; kilkadziesiąt beczek zapaśnego zboża na świrnie; ustawiczna to umysłowa, to ręczna najrozmaitsza a zawsze przedziwna praca — oto zalety praktyczne Łukaszewicza, szlachcica, żyjącego na dwuwłócznej siedzibie.

Boże daj, żeby przykład takiego okolicznego szlachcica reszcie szlachty naszej, daleko większe od niego posiadłości mającej, za wzór do naśladowania kiedykolwiek posłużył!...

*Zacząłem o Wszystkich Świętych
1849 roku. Skończyłem, napisawszy
przytem i kilka innych zabawek, na
Gromniczną 1850 roku.*

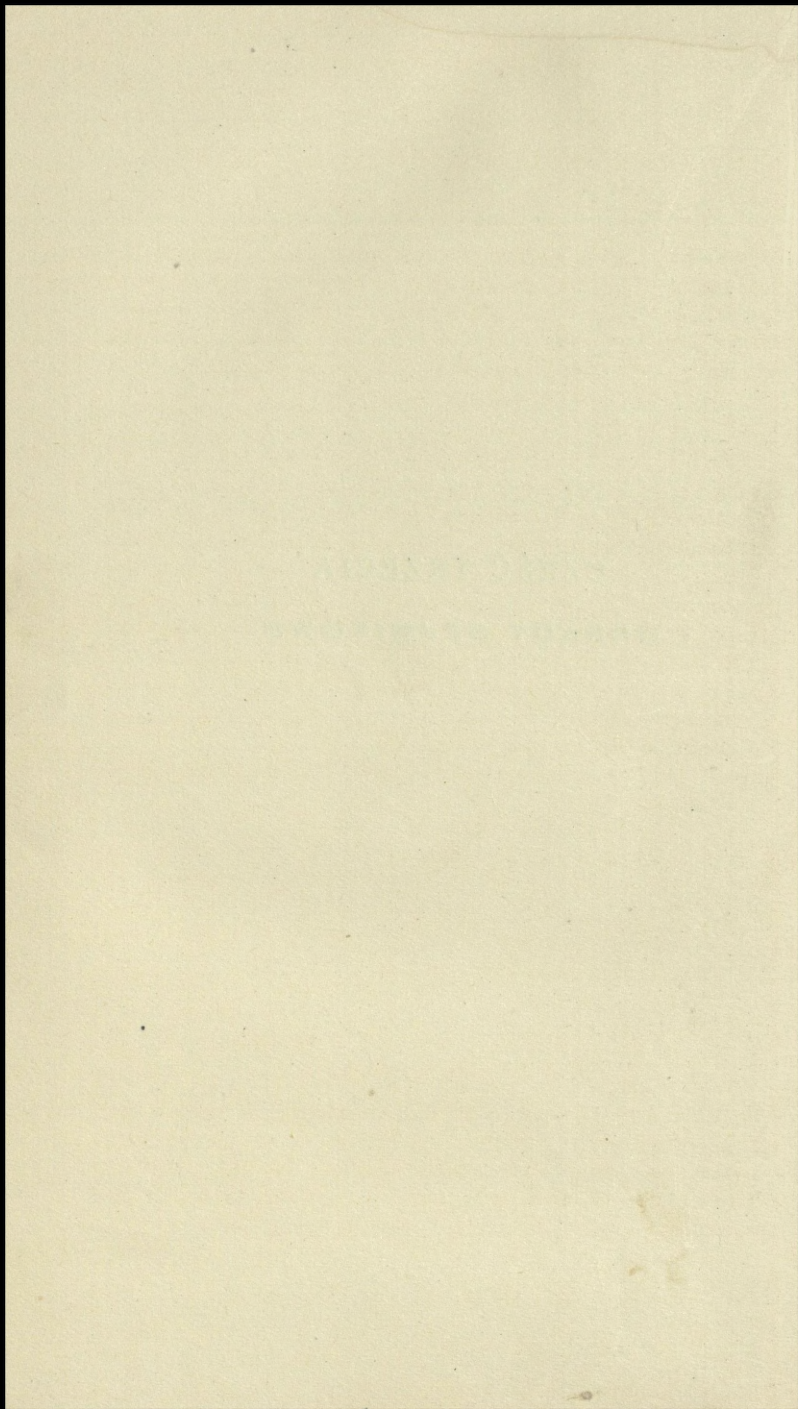
Niedawno przyszło mi na myśl dać rys ducha sejmików i sejmikowych obrad naszych w tej przynajmniej epoce, kiedy już sam na to zdrowszemi oczami patrzeć zacząłem t. j. w ostatnich latach pierwszej ćwierci bieżącego wieku. Żeby się to wszystko więcej w zbliżeniu do czynu niż w opowiadaniu wydało a może i dla innych jeszcze powodów obrałem sobie formę dialogu. Kto zechce tu znaleźć prawdę, szczerą prawdę, skórę, żywcem zdartą chociaż bardzo wyrozumiałym skalpelem, ten znajdzie ją bez wątpienia. Kto znowu będzie szukał tutaj jakiegokolwiek artystycznego talentu, omyli się zapewne. Ale i cel i rzecz bez niego wybornie obejść się w tym razie mogą.

S. M.



CZĘŚĆ TRZECIA

OBRADY SEJMIKOWE



OBRADY SEJMIKOWE NA LITWIE

Bzdurstwo.

(Konferencja przedwstępna w sali dużej neutralnej, w której większa część zgromadzenia szlacheckiego, na sejmiki przybyłego, bez względu na rozdzielające członków tego zgromadzenia partje w skutku wezwania jednego z ich naczelnictwa zebrała się dla deliberacji nad przedmiotami, tyjącącemi się wspólnego interesu).

O S O B Y:

Podkomorzy, głowa jednej partji, zajęty wyłącznie i ciągle zbieraniem jak największej liczby kresek dlatego, żeby jego kandydaci znowu prym wzięli. Te zabiegi źle zrozumianego punktu honoru podkomorzy staraniem „o dobro publiczne” ze szczerego przekonania nazywa. Sam on nigdy już do żadnego urzędu nie idzie, tylko innych prowadzi. Trzyma się garbato i ciągle zamyślony przez całe sejmiki.

Starosta, światły, znakomity i zacy obywatel do żadnej nie należący partji. Nosi się bogato po polsku; piękny, szlachetnej postaci i okazały Polak.

Pan Zyciński, chorąży, ośmdziesięcioletni staruszek, zacy obywatel, nosi się po polsku.

Pan Kurdziukiewicz,

P. Zabarmucha,

P. Wojdylło,

P. Lingowd,

P. Brygadjer,

P. Strupejko,

P. Rubaszko,

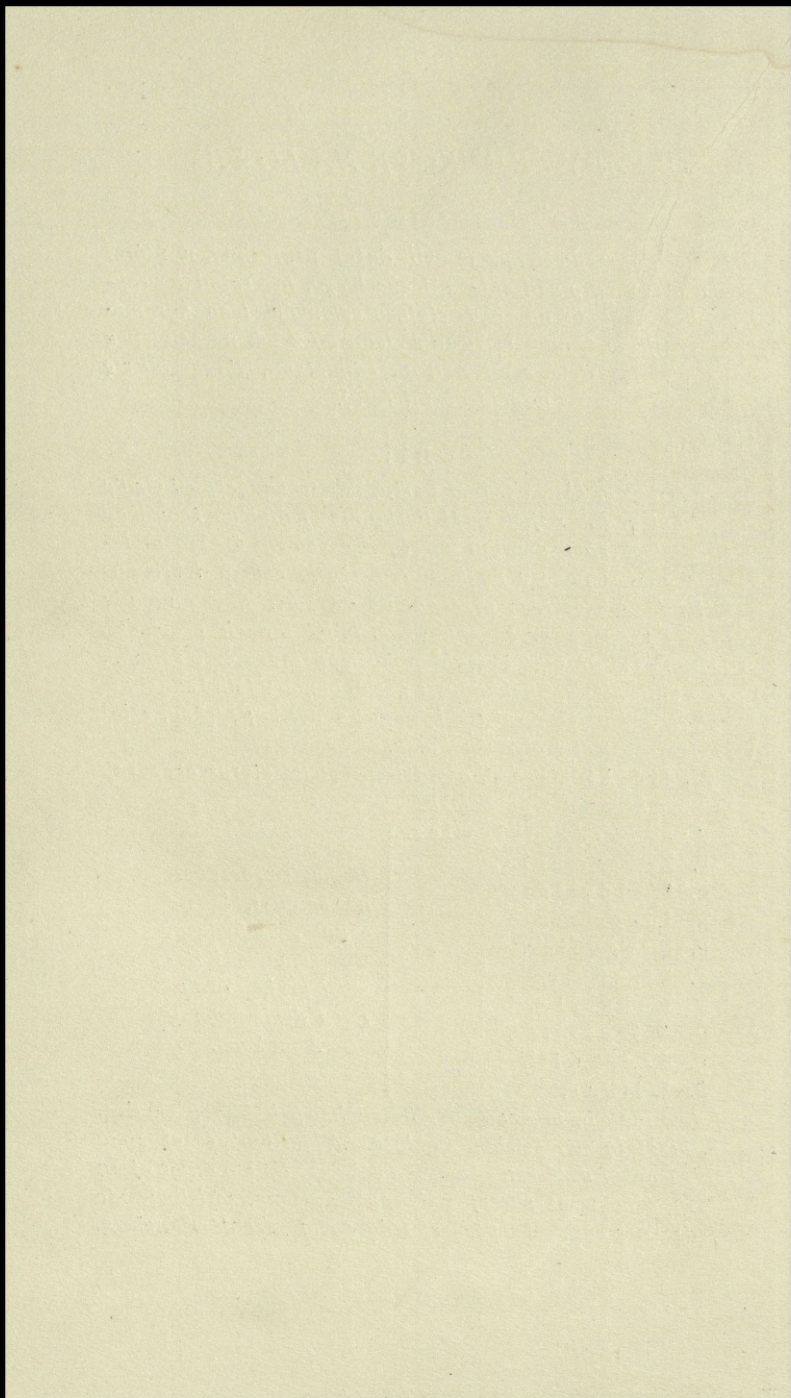
P. Wirpsza,

P. Tanskwiłł,

P. Wiłkuć.

Obywatele, przybyli
na sejmiki, ludzie
czynni, mówiący,
Cyceronowie i Demostenesi, oratorzy i deklamatorzy sejmikowi.

I mnóstwo innych, milczących albo ruchawych, którzy chodzą, szepcą, kłaniają się, ściskają, całują. A im kto gorzej kogo nie lubi, tem go serdeczniej całuje i ściska. Im kto dumniejszy i hardszy, tem teraz więcej pokorny i uniżony, że ledwie nie przysiadła do ziemi. Wszyscy ci tedy do „figurantów” należą.



SCENA 1.

Wszyscy wymienieni oprócz Brygadjera.

P o d k o m o r z y (zasiadłszy na kanapie, po chwili wstaje i w tym sposobie zagaja posiedzenie).

Szanowne Zgromadzenie! (wszyscy): syt, cyt, sss, sza, cysss! wołają) Szanowne Zgromadzenie! Od wieków tutejszy brat szlachcic i posesjonat od dziadów i pradziadów i cały ród mój i ja staraliśmy się zasłużyć na łaskawe względy wielce szanownych i zacnych współobywateli; spodziewam się po ich staropolskich uczuciach, że krew, która od antenatów niezmiennie i wiernie służyła okręgowi temu, potrafiła sobie zaskarbić zaszczyt tej przychylności i łaski, o jakiej, nie mówiąc już o sobie samym, przodkowie moi u przodków waszych statecznie się dobijali. Wielu z przeznaczonych obywateli a-między nimi szczególnie j. w. pan starosta życzyło tu sobie mieć zebrany kwiat obywatelstwa naszego bez względu na różniące nas może w innych rzeczach zdania. Idzie tu o poprzednie rozstrzygnięcie w braterskiem kole projektów różnych, które tylko podczas tak solennego zjazdu pożytecznie na uwagę wzięte być mogą. Kiedyście już w tym momencie wezwaniu mojemu uczynili zadość, raczcie najszanowniejsi koledzy dozwolić, ażebym ja, głównie teraz „dobrem publicznem” zajęty, prezydencją tego posiedzenia mnie z łaski waszej konferowaną, czcigodnemu sta-

roście tymczasem zostawił a sam się na dalsze o temże dobru publicznem poświęcił zabiegi (kłania się niziutko i odchodzi).

S t a r o s t a (zasiada na kanapie otoczony stojącą i siedzącą szlachtą. Trzyma w jednym ręku duży portfel. Drugą ręką pokręca wąsa); Szanowni współobywatele, koledzy i bracia! Zacny nasz podkomorzy, zaszczyt i chluba obywatelstwa naszego, który tak wymownie posiedzenie to zagaił, pracując niezmordowanie około publicznego dobra, zostawił mnie tutaj na ten raz pole rozmówić się z wami o tym samym przedmiocie lubo z innego uważanym punktu. Kraj nasz wiekowemi klęskami i przeciwnościami ciągle trapiiony, burzami nie-szczęść bez przerwy miotany, nie mógł, nie miał już nawet zręczności wynieść się nad zwykłe rutyny i dążyć statecznie do tych stopniowych ulepszeń, do jakich ludy daleko później od nas okresowo dochodzić zaczęły. Ta miłość publicznego dobra, która ciąglą i mego życia była wskazówką, zmusza mnie przełożyć wam kilka uwag i kilka wyników z tych uwag projektów, których rozważyć głębokiemu rozumowi, światłu i doświadczeniu waszemu polecić za prawdziwie obywatelski mam obowiązek. Jeżeli mi łaskawie dać ucha raczycie, tem, co mi wrodzona dla kraju życzliwość dyktuje, podzielić się z Wami pragnę. Waszą rzeczą będzie sądzić o tem. Pierwszy z tych projektów... (otwiera portfel i dobywa z niego papiery).

SCENA 2.

C i ż i B r y g a d j e r (wpada we drzwi cały zabłocony i zawalany): Aj panowie moi!... upadam do nóg, upadam do nóg! (Wszyscy powstają i kłaniają się).

Starosta (z przychylnym uśmiechem): Witamy, szanowny brygadjerze. Cóżes to tak spóźniony i tak zabłocony?

Brygadjer: Aj! panowie moi! Chwała Bogu, że i tak przybyłem! Chwała Bogu, że żywy się tu dostałem! A, to istna kara Pana Boga ten gościniec na Kręcikarki, którym jechać musiałem! Od samego Gnibolotcia do Groblodziur błoto najokropniejsze po sam pas koniom. Ani wywlec sześciu końmi lekkiego pojazdu. W Koleińcach koń mój, najpiękniejszykarosz cugowy (zwracając się do pana Wilkucia), wszak znałeś go, panie Justynie! — koń, za którego mi generał Żółto brzuchow kładł sto dukatów na dłoni, złamał nogę, wsadziwszy ją pomiędzy zatopione tam berwiona! Nimeśmy się wydobyli, całe pół dnia straciłem. I to, aj! panowie moi! w okropnym z przeproszeniem smrodzie, bo tam już kilka chłopskich koni zdechłych i gnijących leży! Biednemu karoszewi mojemu w łeb zapalić kazałem, bo mi żal było patrzeć na jego męki... Ale potem znowu awantura! Przyjeżdżam do Zieworur, zdaje się okolica szlachecka. Aj! panowie moi! błoto na sążę przynajmniej w ulicy. Kamieni i kładek w błocie zagrzęźłych tyle, żem tam na koniec i kosz mój posadził! Musiałem wyłazić z pojazdu po sam brzuch do błota i ot, jak panowie mnie widzicie, na rozkaz rządu i wezwanie szanownego zgromadzenia tutaj stanąłem.

P. Wilkuć: A! już bo to prawda, mości dobrodzieju, niech Bóg nie dopuszcza i strzeże każdego jechać po tym gościńcu. To zgroza!... to hańba! A jeździć tamtędy koniecznie trzeba!

P. **Strupejko**: I moi chłopci z furmankami, tego jak się nazywa, kilka tam koni swoich utopili! Że się też to nikt nad nami nie zlituje! Że też to, tego jak się nazywa, nikt u nas nic a nic nie zważa na drogi! Czy już chcą żebyśmy i my sami się potopili, tego jak się nazywa, czy co u kata!

P. **Rubaszko** (gniewny i coraz więcej animując się): Nie To jeszcze za mojej pamięci tak nie bywało, jak teraz. Oj czasy! czasy! Co to za policja? Co to za marszałek? Co robi, mościenie, przez całe triennium jaśnie wielmożny marszałek! Co to za urzędnicy nasi; nic a nic i o nic nie dbają! A podatki podatkami, a rekrut, mościenie, rekrutem! To wstyd dla całej gubernji!

S. **Starosta**: Bardzo rad jestem, że szczęśliwe przybycie j. w. brygadiera i świeżo doświadczone w podróży jego niesmaki, tak słusznie oburzając całe to przeświecne zgromadzenie, wskazują mu potrzebę głębszego zastanowienia się nad tą zgubną dla wszystkich a szczególnie dla handlu i przemysłu krajowego zawadą. Wiadomo, że nigdzie na świecie gorszych dróg niema jak u nas. A nigdzie łatwiej mieć lepsze, jak u nas! Chociaż materjom, o których z szanownem zgromadzeniem traktować miałem, inny zrazu naznaczałem porządek, chcę jednak korzystać z tego jednozgodnego wszystkich nas zeznania i właśnie przedłożyć projekt, tyczący się poprawy tego głównego naszego handlowego gościńca przynajmniej w miejscach najgorszych: a mianowicie od Gnibolucia do Groblodziur.

W. **Szyscy** (jednogłośnie): A panie starosto, a dobrodzieju nasz! A niech ci Bóg dopomaga we

wszystkiem, za tak mądry wniosek! Słuchamy! Słuchamy! Mości panowie, uciszcie się!... O co prawda, to prawda! Dalibóg, to już dłużej tak być nie może! Konie i nasze i włościan naszych wszystkie co do jednego wyginą!

S t a r o s t a: Projekt mój jest bardzo prosty i bardzo mało kosztowny. Spotkałem się teraz po drodze z panem komornikiem tutejszym i naprędce nakreślony kosztorys wykazał, że skoro się zgadzimy, żeby każdy z nas dał po dwie tylko sztuki drzewa, po dwie furmanki z faszyną i po dwóch ludzi pieszych nie więcej, jak na pięć dni, cała ta droga stanie się jedną z najdogodniejszych. (Przebijając papiery) Oto i projekt gotowy do podpisu szanownego zgromadzenia.

P. W i ł k u ć (z jawną na twarzy niechęcią): A! dziękuję za łaskę! Dawać, mości dobrodzieju, i drzewo, i ludzi, i furmanki! Mamy i tak co do roboty w domu! Co mnie z tego, że tu droga będzie zła, albo dobra! Ja rzadko kiedy jeżdżę tamtędy.

P. S t r u p e j k o (oburzony podobnie): A ja, tego jak się nazywa, nigdy w życiu tamtędy nie jechałem! Naco mi reperować tę drogę?

P. R u b a s z k o (podobnie): Ja mieszkam, mości dobrodzieju, na partykularzu i w pozycji bezleśnej. Już u mnie wszystek las wyrąbano; skąd mi wziąć drzewa? A i w całej włości zostało tylko dwa konie! Ja się przyłożyć do tej reparacji w żaden żywy sposób nie mogę!

S t a r o s t a (nieco zasmucony): Panie brygadjerze! Choć w. pan dobrodziej teraz z powodu tej drogi straciwszy tak znaczną sumę i ulubionego konia,

dopomóż mnie nakłonić to szanowne zgromadzenie do tak pożytecznej sprawy. Składka cała dla nikogo nad kilkanaście złotych nie wyniesie a schro- nimy tysiące. Przemów pan przynajmniej za moim projektem!

Brygadjer (siedząc rozwalony na krześle): Aj! panowie moi! Ja więcej tamtędy nigdy już nie pojadę. Niech tę drogę i kaduk weźmie! Wolę jeździć na Brzo- zowice. Prawda, mil dziesięć dalej, ale tam jesz- cze jakkolwiek przesunąć się można. Gdzie mnie, aj! panowie moi! o mil sześć posyłać furmanki i drzewo? Niechaj sobie i inni tak, jak ja, karki kręcą! Co mnie do tego!

Starosta: Więc szanowne zgromadzenie nie chce przystać na te warunki i podpisać zobowiązania się?

Wszyscy (z najmiłszym uśmiechem): Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają j. w. starosto! Nie- chaj sobie tę drogę reparują ci, na czyich grun- tach znajduje się ta szatańska droga.

Starosta: Ależ szanowne zgromadzenie zważyć raczy, że pojedyncze osoby nie są w stanie doko- nać tego dzieła przy najlepszych chęciach, kiedy wspólnymi siłami i kosztem wszystko za kilka dni...

P. Strupejko (przerywając staroście): Nie, panie wielmożny starosto! Już to byłoby z wielką i wi- doczną, tego jak się nazywa, naszą krzywdą. Na to zgodzić się nie możemy! Niech j. w. pan daruje!

Starosta (wkładając wszystkie papiery do portfelu): A więc niema o czym mówić! Rzecz tedy zostaje *in statu quo*. Brygadjerze, szanowny brygadjerze, żału- jesz teraz kilku złotych a znowu zrobisz szkody na

kilkadziesiąt dukatów! Bierz już odtąd śmiało pieniądze za konie, jak ci je tylko znowu jaki generał kłaść będzie na dłoni. Ale dajmy temu pokój! Biada, prawdziwa biada, że nasza Litwa tak nieszczęśliwa we wszystkim! Aż się na płacz zabiera! Może Bóg da, że się to wszystko jakoś czasem poprawi i zmieni! Ale wyznajcie państwo, że nigdzie i w niczem u nas niema zgody i że w niczem nigdzie niema u nas dla nas samych wygody. To taka święta prawda, że jej i dowodzić nie trzeba. Weźmy na przykład nasze powiatowe miasta. Ani jednego zajezdnego domu! Przyjedzie kto z interesem, dosłownie, podziąć się nie ma gdzie. Nie ma gdzie zjeść, choćby też i kaszy ze szwedami. Jakby to było szczęśliwe, żeby tam jaki traktiernik osiadł dla publicznej wygody! Nieprawdaż!

- P. Wirpsza: O, jasnie wielmożny starosto, komu to pan mówisz! Każdy z nas doświadczył tej biedy! J.W. pan magnat (kłania się nisko) masz tam dom własny! Ale ja, szlachcic brat, przyjechawszy raz wieczorem i nie zastawszy powinowatego mego pana regenta Kozioroga, który gdzieś był na dni kilka na wieś odjechał, całą noc na rynku z końmi i ludźmi przepędzić musiałem. Tylko się człowiek worami od owsa i kilimkiem z pod siedzenia od rosy albo deszczu zastonił... Wesoło... co? Ale cóż poradzisz? Kiedy się u nas nic dobrego nie bierze!
- P. Lingowd (nawpół uśmiechając się): A i ja *non ignarus mali*. Ja, prawdę mówiąc, przez dwa dni nie miałem czego wziąć w usta, zajechawszy tam przypadkiem w powrocie od pana Bryndzy za pilnym interesem, i prawdę mówiąc, nie wzięwszy stamtąd z sobą

żadnej prowizji. To kontent już potem byłem, jak mi żydówka dała, prawdę mówiąc, obwarzanek i pieczonego śledzia.

P. T a n s k w i ł ł: I ja nie lepiej wyszedłem. Tydzień dla sprawy siedzieć tam musiałem i jeść codzień a codzień wzięty z domu *ad casum* kawał wołowej pieczeni!... że już nakoniec aż cuchnąć zaczęła.

S t a r o s t a: Tak. To wielka niedogodność. Ale zdaje się, że łatwo byłoby ją usunąć, gdyby kto wyszukał jakiego ochotnego człowieka, któryby tam założył dom zajezdny i traktjer zarazem. Znalazłoby się pewnie dużo ochotników, byleby dano jakiś forszus na pierwszy, jak mówią, początek. Ja pewny jestem, że każdy z nas powietników z ochotąby się złożył na ten cel po bagatelce jakiejś — na przykład po rubelku srebrnym! Zebrałoby się jakiś tysiąc złotych na pierwszy fundament.

P. T a n s k w i ł ł (z najsilniejszym przekonaniem): Ale zapewne! zapewne! A mój Boże, czegożby na to człowiek nie dał! Dalibyśmy po dukacie, dalibóg, od głowy, żeby się tylko zabezpieczyć od słoty i głodu.

S t a r o s t a: A państwo dobrodzieje, jak myślicie?

W s z y s c y: Oczywiście! To i wątpliwości niemal Toby prawdziwem było dobrodziejstwem!

S t a r o s t a (otwierając nanowo portfel): Kiedy tak, to rzecz mamy już w kieszeni. Stary, wysłużony polski żołnierz, człowiek uczciwy i kucharz wvsmienity, ułożył się ze mną już o to i gotów służyć państwu i powiatowi swoim talentem i dobrą wolą. Każdy z nas da mu tylko na początek po jednym rublu srebrem. Oto i papier przygotowany do

podpisu panów dobrodziejów (zacierając ręce): Chwała Bogu, że przecież choć to się udało! Dotąd wstyd nam był przed ludźmi, że się u siebie we własnym domu t. j. w naszym własnym powiatowym mieście nie umiemy urządzić! (podając papier) służę tedy panom. Ja choć zawsze z sobą wożę kucharza, daję także rubla tak, jak już i każdy z naszej braci. (podaje papier do podpisu panu Tanskwiłłowi).

P. T a n s k w i ł ł (zmieszany): Hmmm!... Tak!... to jest... Hmmm! ...m!... tak! (krztusi się): Jaśnie wielmożny starosto... Hmmm! ...Magnat!... Hmmm! (chrząka)... to jest... (z najśłodsze przymleniem): JW Panu rubelek nic nie znaczy! Ale nam biednej szlachcie, to... hmmm! to (krztusi się znowu) zupełnie co innego! My tak wielkiej składki... hmmm!... robić nie możemy!

P. W i r p s z a (układnie ale z wiarą we własny argument): Tak! Słowa niema!... Ale kiedy pan Tanskwiłł, co ma trzydzieści chat tak mówi... to cóż ja, biedny szlachcic, mam powiedzieć? Ja mam tylko dwadzieścia siedem dymków!... Niech już tak będzie, jak było!... Już my przywykliśmy potroszę do tego.

S t a r o s t a (trochę zniecierpliwiony ale starając się ukryć w otwartej twarzy swojej pogardę): Zdaje mi się, żeście, państwo, tylko co na projekt ten zgadzali się!...

P. L i n g o w d (podchodząc do starosty z wdzięcznym ukłonem): Kiedy j. w. statosta daje tylko rubelka, to w proporcji naszej chudopacholskiej fortunki mnie, prawdę mówiąc, dosyć byłoby dać dziesiątkę.

S t a r o s t a (z pewnym rodzajem oburzenia): Ależ, państwo, tutaj co chwila wydajecie sto razy więcej na takie rzeczy, które i śladu nie pozostawiają po sobie!

A jeśli tylko o mnie idzie, no to daję na to pięć czerwonych złotych. Państwo dajecie tylko po rubelku. Wszakżeście sami pierwsi o dukatach mówić zaczęli!

W s z y s c y (pełnym głosem): Nie!... Już jak j. w. starosta chce ale, szanując godność jego osoby, to dla nas byłoby za ciężko... z uszczerbkiem! Niechaj sobie zostanie wszystko po staremu.

S t a r o s t a (z marsem i serjo): Szanowni współobywatele! Widzę, że nie mam szczęścia, żebym wam z jakimkolwiek projektem przypadł do smaku i żebyście w tem, co radzę, jakikolwiek dla siebie upatrzyli pożytek! Tak bywało i za przeszłych sejmików. Ale mnie to nie zraża! Owszem bardziej jeszcze zachęca do wszelkich dla was usług. Jednakże, bracia moi, kiedy wkrótce, przystępując do obrad naszych, stosownie do litery organizacji stanąć musimy przed ołtarzem Najwyższego Pana dla złożenia wymaganej prawem przysięgi na to, iż posłannictwo nasze sumiennie spełnimy, kiedy wobec przytomnego w świętym przybytku Boga nie możemy jakby odrodzeni jacy od przodków naszych synowie lekceważyć tak uroczystej chwili, warto zaiste, żebyśmy doprawdy nad wspólnem dobrem pocziwą zajęli się radą i, korzystając z tej ledwie co kilka lat zdarzającej się nam zręczności, że się wszyscy prawnie zebrać możemy, zajrzeli w tajemnice naszego włodarstwa. Zwróćmy tedy oczy nasze na daleko ważniejsze od tego, o czemeśmy dotąd mówili, przedmioty! Zastanówmy się nad stanem włościan naszych, nad sposobami polepszenia ich bytu. Ale szczególnież baczną uwagę obróć-

my uwagę na zgubny wpływ, jaki na nich wywierają żydzi. Plemię to, zaproszone do nas pomyłką wielkiego króla, z gości stało się już gospodarzem. Dni są długie dla cierpiących — cóż więc powiedzieć o całych latach! Jawnie niszczą oni naszego kmiotka. Jeśli w tym przedmiocie nie postanowimy niczego w niniejszej chwili, aż za trzy lata dopiero o tem mówić będziemy mogli! Spieszmy się zatem i pomyślny, jakim sposobem przyłożyć się wspólnymi siłami możemy do wyjęcia włościan naszych z pod tej żydowskiej niewoli. Niechaj każdy z szanownych obywateli zdanie swoje w tej tak ważnej rzeczy otwarcie oświadczyć raczy! Wielmożny regent Wojdyłło ma głos.

P. **Wojdyłło**: A cóż, mostobrodzieju, jakież inne zdanie? Żydzi szelmy, poganie, łotry, mostobrodzieju, i kwita! Wieszac ich teraz na nieszczęście nie można, jak było za polskich czasów; — to cóż z nimi zrobić?

P. **Kurdziukiewicz** (mówiący zawsze słodko, z przymleniem, krećący główką; kiedy mówi ustawicznie gryzie paznogcie): Że to jest niby, żydzi naród niepocziwy o tem, to jest niby, nikt, to jest niby, nie wąpi. Znamy ich wszyscy dobrze! Ostatnią, to jest niby, koszulę nie tylko z naszego chłopca ale i z nas samych, to jest niby, zdejmują! każdy żyd poganin, nie katolik...

P. **Lingowd** (przerywając i jeżąc się srodze): Cóż to waćpan szukasz okazji, czy co?... (naśladując głos i ruchy p. Kurdziukiewicza): Poganin, nie katolik!... To waćpan, prawdę mówiąc, mojemu ewangelickiemu wyznaniu przymawiasz!... co?

- P. K u r d z i u k i e w i c z (strasznie zmieszany ale jeszcze słodziej mówi): To jest niby, broń mnie Panie Boże! Ani nawet wiedziałem, że pan sędzia jest, to jest niby, kalwin... Ja sektę kalwińską, to jest niby, estymuję, weneruję.
- P. L i n g o w d (zrywając się gwałtownie z miejsca): Kalwin! kalwin!... sekta!... Jaż waćpanu zaraz kalwina pokażę!
- S t a r o s t a (zatrzymując p. Lingowda): Niech pan sędzia raczy się uspokoić. P. rotmistrz najwidoczniej nie miał zgoła myśli w czemkolwiek komukolwiek przymawiać albo uchybić. Wyrazy „chrześcijanin” i „katolik” zwykle uważają i używają się tutaj za jednoznaczne wyrazy. A kolega nasz pomimo całego wdzięku i łatwości wymowy swojej, mówiąc *ex abrupto*, nie mógł wywazać każdego słowa.
- P. L i n g o w d (prostując nieco marsa na czole): No, to chyba, że tak!... bo ja sobie nie dam grać po nosie!
- S t a r o s t a (chcąc zupełnie rzecz załagodzić): W kontynuacji w. rotmistrz ma głos.
- P. K u r d z i u k i e w i c z: Każdy widzi, że ten przekłety ród żydowski jest karą boską na nas! Ale jakąż, to jest niby, radę dać możemy?... Żadnej!... Dobrze mówi pan regent, jak tylko co do nogi wywieszać ich nie można, to i niema od nich ratunku! Jest to *malum*, to jest niby, *necessarium*!
- P. Z a b a r m u c h a (ocierając pot z czoła granatową bawełnianą chustką): Co to darmo nad tem suszyć sobie głowę! Żyd szelma i cham szelma! Cóż to mamy tak dbać o chamów? Cham to już wiadomo skąd pochodzi! Rób co chcesz dla niego, nie pomoże. Kto trzy dni na wsi posiedzi, to już poznał, jaki to

rodzaj jaszczury! Cham wiadomo, że cham!... Smaruj go waćpan dobrodziej miodem... to wiadomo czym pachnie!... Cham ośmnaście a żyd dwadzieścia bez dwóch.

P. **Kurdziukiewicz** (z miodową słodyczą): Ale, to jest niby, cham zawsze katolik... (chwytając się za usta, lękając się, żeby się znowu p. Lingowd nie wzruszył): Otóż cham zawsze chrześcijanin a żyd, to jest niby, zawsze żydem. Zawsze to poganie! Jeszcze i krew naszą do maców swoich dają! Żyd to główny nieprzyjaciół naszego kraju. To wilk, co, to jest niby, wszystko u nas chwytają i pożerają! Trzeba koniecznie cokolwiek na to plugastwo obmyśleć! Trzeba ich tak *won* wypędzić, żeby nigdzie, to jest niby, ani nogi, ani pantofla nie pozostało!

P. **Życiński**: Kiedy na mnie kolej głosu przychodzi, zwrócić muszę waszmościom uwagę, że może niezupełnie słusznie z taką zgрозą odzywamy się na żydów. Ośmdziesięcioletni starzec pamiętam ja dobrze dawniejsze od waszmościów czasy. I za polskich czasów nie tak to bardzo wieszaliśmy żydów, jak się może teraz komu zdaje. Ja mam także siaki taki kawałek ziemi po przodkach moich. Zgadza się na to, że żydzi są dla włościan naszych szkodliwi. Ależ i na to zwrócić uwagę należy, że to są w naszym kraju jedyni ludzie, co jeszcze jakkolwiek przezornością, przemysłem, pojętnością, przetarciem się swoim, chronią nas samych od ostatecznego barbarzyństwa i zupełnej zguby. Niema tu czego między nami tać! Wszyscyśmy swoi. Wszakżeśmy wszyscy tutaj stara i odwieczna szlachta i bracia! Bodaj tylko, czy my

sami szkodliwsi dla włościan naszych nie jesteśmy od tych bezbożnych, jak mówicie, żydów! My im w ręce oddaliśmy broń najsilniejszą: wódkę. I tę wódkę koniecznie zbywać im każemy. Jużciż się wódka, jak woda, nie wylewa na ziemię. Żeby grosz zrobiła, trzeba, żeby ktokolwiek ją wypił. Żyd chłopu do tego wypicia wszelkimi sposobami zachęca, bo jeśli tego nie robi przez pana jego zginie. Wypędziwszy zupełnie żydów, jak waszmoście w głosach swoich proponowaliście gdzież znajdziemy krawca, szklarza, blacharza, kotlarza? Gdzie znajdziemy codziennie nam potrzebnych rzemieślników? Gdzie na wsi rzemieślnik chrześcijanin? A i po miastach naszych nie tak ich wielu. Jeżeli usuwać żydów — to usuńmy ich tylko z karczem i szynków naszych; tam oni szkodliwi. Ja tak dawno zrobiłem i dobrze mi z tem. Ci ludzie, nie mający roli, z zarobionego grosza żyć muszą i na ten grosz, jak umieją, pracować. Na całym podobno świecie rozumniejsi oszukują głupich; takie to powszechne prawo. Zróbmy i włościan naszych rozumniejszymi, chociażby dlatego, żeby się tak ławstwo oszukiwać nie dali. Dotąd szlachcic nawet bez żyda, jak dawniej bez szabli, ani kroku dać nie może i bez niego w połowie tylko jest szlachcicem. Dajcież waszmoście środki, żeby się bez żydów obejść można było, któż się na nie nie zgodzi? Ja, starzec, jedną już nogą w grobie stojący, wiem, że przyszłych nie doczekam obrad, ale w dzisiejszym stanie rzeczy pojąć nawet nie mogę wiejskiego życia bez pomocy żyda i powiadam, że nie dosyć jest krzyczeć: „Wypędzić żydów, powiesić żydów“,

żeby tak trudną sprawę załatwić. Nie dosyć jest tak krzyczeć a w duszy może co innego myśleć i co innego robić. Trzeba wprzód chrześcijan do tego wprowadzić, czem z prawdziwym dla nas pożytkiem zajmują się żydzi. Każdy z nas i teraz, jadąc tutaj, po drodze zajechał do karczmy, przez chrześcijanina trzymanej, znalazł tam tyleż pijaństwa, toż samo niechlujstwo, oszukaństwo i żdzierstwo, ale w chrześcijaninie tej uprzejmości, tej żydowskiej dobrej chęci w gotowości na usługi najpewniej nie znalazł. Dlatego też chociaż ja dzisiaj bodaj czy nie czterdziesty już w życiu mojem raz sejmikuję i chociaż ani jednego razu nic dobrego z obrad i narad naszych nie widziałem, powiadam tą razą, że moda krzyczenia na żydów jest modą, próżnym słów brzękiem i że chłopiek nasz nie tyle od żydów, co od nas samych ginie. A teraz, dziatki, radźcie, jak umiecie, ale pożytecznych ludzi wypędzać zupełnie radzić wam nie mogę. (Starosta z uprzejmością ściska serdecznie ręce Życińskiego).

P. Wojdyłło (z zapalem): A ja powtarzam, mostobrodzieju, wypędzić tych niedowiarków z kreteśem i kwita!... Co mi tam żyd!... Oto!... i kwita!

P. Wirpsza (również rozsrożony): I ja głosuję za panem regentem. Wypędzić tych szelmów na sam koniec świata, gdzie pieprz rośnie... i dosyć! To zguba naszego chłopca i nasza! To pijawki co wszystką krew ciągną!

Starosta: Właśnie też w tym sposobie ułożony mam projekt. Poważając całą gorliwość szanownego zgromadzenia w zapewnieniu ogólnego dobra, nie zdaje mi się jednak, żeby natychmiast odrazu

wziąć się względem żydów wypadało tak surowych środków. Wszak to są zawsze ludzie, bliźni nasi! I z nimi wypada się obejść, jak z ludźmi... resztę sam czas potrafi...

P. Wojdyłło, Wirpsza i wszyscy (przerwijąc staroście): A nie! Mostobrodzieju, jaśnie wielmożny starosto, żadnej łaski, na to zgody nie ma! Wypędzić, wypędzić! Żeby śladu nawet tego pohaństwa nie zostało, i kwita! Wypędzić z bachurami..., bebeczami... Zgoda! Zgoda!

(wszyscy wrzeszczą i huczą).

Starosta (jak się już hałas nieco uciszył): Cenię wysoko i poważam wielce gorliwość światłego i zacnego obywatelstwa. Ale nie razem Kraków zbudowany. Róbnymy wszystko rozsądnie i powoli. Projekt aktu w tym sposobie ułożony jest, żeby, nim co dalej nastąpi, wypędzić naprzód żydów z karczem i szynków, gdzie oni dotąd właśnie najszkodliwsi się okazują. I dlatego zapraszam gorliwego o dobro publiczne wielmożnego regenta Wojdyłłę o przyłożenie podpisu ręki swojej do ułożonego już w tej materji planu (podaje akt p. Wojdyłły).

P. Wojdyłło (z największym zadziwieniem): Jakto? mostobrodzieju...

Starosta: W tym właśnie akcie jest projekt wypędzenia ogólnie z karczem i szynków obywatelskich tych niedowiarków żydów. Idzie o podpisanie przez nas wspólnej w tym przedmiocie submisji.

P. Wojdyłło: (serjo z nieukontentowaniem): Jakto? mostobrodzieju!... Ja mam wypędzić moich żydów z karczem i szynków moich?!...

Starosta: (wzajemnie zadziwiony): A tak! I pan regent dobrodziej i my wszyscy. Tylko co szanowny regent to w głosie swoim *publice* powiedział.

P. Wojdyłło (podrażniony): Ja? mostobrodzieju?... Nigdy! Ja tego nigdy nie podpiszę! i kwita! A co ja zrobię z propinacją moją bez żyda? W co się ja obrócę?... Żebym ja żydów z karczem moich wypędział!... To chyba szanowne zgromadzenie chce mnie przyprowadzić do torby! i kwita! Nie nigdy... i kwita!...

P. Życiński: Ależ tylko co waszmość sam o tem najgorliwiej przed nami tutaj mówiłeś!

P. Wojdyłło (z największym ogniem): Ja co innego mostobrodzieju, rozumiałem... i kwita! Słowo wiatr!... i kwita! Ja się dobrowolnie na ubóstwo i nędzę własną nigdy nie zgódzę!... i kwita!...

Starosta (ściskając ramionami): Nie! To być nie może! To jakieś nieporozumienie! Panie chorąży, racz o tem obszerniej pomówić z panem regentem. A teraz wzywam do podpisu w. Wirpszę.

P. Wirpsza: Ja?... ja?... Ja pierwszy do żadnego podpisu w życiu mojem nie stawam! To pod błogosławieństwem babce mojej na śmiertelnej pościeli przyrzekłem! Niech inni członkowie szanownego zgromadzenia do tego przystępują. Ja ubogi szlachcic! Ja człowiek prosty, ja nic nie znający rolnik, mości dobrodzieju, *domatur!* Racz mnie jaśnie wielmożny starosto (kłania się) uwolnić od tego; wszak i alfabetycznie biorąc, moje nazwisko na samym szanownego zgromadzenia ukrywa się końcu (odchodzi nabok, żeby się w kąt schować).

S t a r o s t a (niecierpliwiąc się): Panie rotmistrzu do-brodzieju, wzywam waszmość pana.

P. K u r d z i u k i e w i c z (przystając gryźć paznogcie):
Ja, to jest niby, zgodzić się i podpisać tego nie mogę,
(podnosząc głos z deklamacją): bez wołającej, to jest
niby, o pomstę do Boga krzywdy i żony i dzieci, to
jest niby, moich! W tem ja widzę zupełny upadek
mojej drobnej, to jest niby, fortuny! Muszę dbać
o los mojej krwi. Pan Bóg mnie licznie pobłogo-
sławił potomstwem. Trzeba dać wychowanie
działkom, to jest niby, moim, bo to i Pan Bóg przy-
kazał. Wypędziwszy żydów z szynków i karczem,
zostanę bez sposobu, bez grosza! Podpisując, to
jest niby, ten akt, wykopałbym własnymi rękami
grób mojego majątku!... to jest niby!... Niel... pro-
szę darować!

S t a r o s t a (ciężko wzdychając): A więc kolej na wiel-
możnego sędziego Zabarmuchę.

P. Z a b a r m u c h a (nacierając czuba i ocierając zawsze
ciągle kroplisty pot z nosa i czoła): Ja, mości dobro-
dzieju, nie znam się na dokumentach i nic nie pod-
piszę, otwarcie to powiadam. Naco mi ten pod-
pis?!... Ale jeśli szanowni koledzy zgodzą się na
projekt jaśnie wielmożnego starosty... to ja dam
słowo honoru.

S t a r o s t a (głosem błagalnym): Ale dlaczegoż, sędzio.
nie chcesz dać przykładu? Dlaczego byś pierwszy
nie miał zrobić podpisem swoim największej całemu
twemu krajowi przysługi? Piękna to rzecz dobrze
i pożytecznie dla dobra ogółu poczynąć! Podpisz
się sędzio!...

P. Z a b a r m u c h a: Nie!... Słowo honoru daję! Ale się nie podpiszę.

S t a r o s t a: Ale kiedy chcesz zrobić więcej, panie sędzio, dlaczegożbyś mniej nie zrobił?

P. Z a b a r m u c h a: Jakto, mości dobrodzieju, więcej? Słowo honoru nie obowiązuje mnie do niczego. A jak się tylko podpiszę, to i koniec! To już wszyscy bicz na mnie ukrecony w ręku swem mają! *Verba*, mości dobrodzieju, *volant*, *scripta*, mości dobrodzieju, *manent*... Oho! Ja sobie, dawszy na co słowo honoru, mogę postąpić, jak mi się potem podobą, jak będę widział dogodniej, i chodzę sobie w czapce nabakier. Słowo honoru, mości dobrodzieju, to nie dokument... Gadajcie mi państwo! (W ciągu tego czasu zaczyna się wielki ruch i szeptanie po całej sali. A potem głucho wrzenie. Pomiedzy członkami szanownego zgromadzenia pan regent Wojdyłło uwija się i kluczy a zmarszczony, że strach na niego spojrzeć).

S t a r o s t a (do Życińskiego): A pan chorąży dobrodziej?

P. Ż y c i ń s k i (głośno): Ja się podpisuję natychmiast do tak ludzkiego, roztropnego i pożytecznego aktu. Wypędzać zupełnie tych nieszczęśliwych żydów, jak radzili tu szanowni koledzy i bracia, byłoby barbarją, ale usunąć ich tylko z miejsc nam szkodliwych będzie dobrodziejstwem. Mości panowie, posłuchajcie mnie starego! Patrzcie, oto idę z czystym sumieniem do tego podpisu i was wszystkich do tego zapraszam, (podpisuje się a za nim podpisuje się starosta. Pan Wojdyłło także na boku coś pisze i zbiera podpisy).

S t a r o s t a: Szanowne Zgromadzenie! już są dwa podpisy; czekamy na więcej.

P. Wojdyłło (rozdasany, trzymając papier w ręce):

Proszę, mostobrodzieju, o głos!... i kwita!

Starosta: Wielmożny regent Wojdyłło ma głos.

P. Wojdyłło (czyta): Roku Pańskiego 1823-o
Septembra 10-o dnia. My, *infra subscripti*, zebrani
na te sejmikowe obrady obywatele, *ponderande*
rzeczy i cyrkumstancje nas otaczające i z żalem
serc naszych *animadvertendo*, że znaleźli się po-
między nami koledzy i bracia, którzy nam nowe
a szkodliwe równości braterskiej i poczciwie naby-
tej fortunie naszej projekta *insidiosie imponere*
moliuntur i one *sanctioni* prześwieznego szlache-
ckiego zgromadzenia *submittere* bynajmniej się nie
wzdragają z jawnym *boni publici* uszczerbkiem
i dobrego bytu naszego i dzieci naszych hazard-
dem; — *praepediendo* dalszym stąd wyniknąć mo-
gącym konsekwencjom *unanimitate*, przy podpisie
rąk naszych i obsygalacji tychże podpisów niniej-
szą zapisując protestację, *sollemniter* przeciwko te-
mu manifestujemy się. A unikając wszelkiego *in*
futuro z tego powodu prejudikatu w moc Najłaska-
wiej zatwierdzonych stanowi naszemu szlacheckie-
mu praerogatyw tak pod względem zaprowadzenia
systematu *viarum publicarum* jako też i proponowa-
nego tyrańskiego ze starozakonnymi *alias eum*
Iudeis, vulgo z żydami pod względem usunięcia ich
z dotychczasowych siedzib bez najmniejszej nad
ich drobnymi działkami litości, obejścia się; — ma-
nifest ten nasz dla wiecznej pamięci i należytego
w danym razie użytku *ad acta* sądu grodzkiego, tu-
tejszego naszego rodzzonego powiatu wnosimy. Ko-
pię też onego wierzytelną *eorundem* u łaski mar-

szalkowskiej *deponere sine mora* obowiązujemy się.
(Tu następuje czterdzieści podpisów).

W s z y s c y: Zgoda! Zgadzaemy się! Zgoda! Viv-a-at!
Vivat nasz stary regent! A pisze zbójca, jakby
perły nizał!

S t a r o s t a (obracając się do Życińskiego): No, panie
chorąży, to już tu niema nam czego robić! Niech
im Pan Bóg odpuści i oczy otworzy! Zostaje mi
tylko pójść do generałowej i podziękować jej za
pozwolenie tej sali. Skończymy i tą razą zwyczaj-
nym naszym sposobem tak nazwane nasze obrady!
(Obraca się do obecnych): Szanowne Zgromadzenie,
solwuję sesję na pół godziny.

SCENA 3.

Ciż sami (oprócz Starosty)

P. Z a b a r m u c h a (do pana Wojdyły): Otóż mu da-
łeś *w ten* regencie! Aż się wyniół, jak niepyszny!

P. W o j d y ł ł o (pełen dumy, że mu się udał manifest ale
zawsze rozdasany): A tak!... i kwita! Cóż mi tam,
że on starosta! Wielka mi figura!... i kwita! Szlach-
cic na ogrodzie równy wojewodzie!... i kwita! Nie
takich my już przeżyli! (chodzi prędko, machając rękami
po sali). Myśli, że on wielki pan!... Wypędzić mosto-
brodzieju, żydów z karczem! Proszę uniżenie! To
tylko, żeby gubić i uciskać nasz stan szlachecki!
Ale nie na dudków trafił!... i kwita! Znamy się na
farbowanym lisie! Poczekajno, koteczku, mosto-
brodzieju! My tobie nie takie jeszcze buty uszy-
jemy! Ależ to łepsko, że mu się na żadnym sejmi-
ku nic a nic nie uda! Tęgo! A czy nie uważaliście,

jak zręcznie wcisnęło się do manifestu wyrazy: „Korzystając z Najłaskawiej zatwierdzonych stanowi naszemu prerogatyw”?... Ha?... (cichszym głosem i dyplomatycznie): Widzicie waćpaństwo dlatego, żeby niegabać rządu. Bo to *zdrajca* i kwita!

- P. Kurdziukiewicz (dotąd słuchający cierpliwie gryzący paznogcie): Wszelki duch Pana Boga chwali!... To jest niby, kto *zdrajca*?
- P. Wojdyłło (grubym i donośnym głosem): A ten Starosta!... To zabity Moskal...
- P. Wirpsza: Co też jegomość mówi!... Pfe!... Taki pan, taki zacny obywatel!
- P. Wojdyłło (w ciągłym gniewie): Mostobrodzieju, *zdrajca* i kwita!... Gadaj mnie waćpan! A które to już *triennium* prawi on ciągle o subordynacji, porządku, zgodzie, o dobru publicznem. He?... He?... dycht w dycht, moskiewszczyzna! Porachujemy się tylko i kwita! To moskiewska dusza! Przysięgnę, że płatny od Moskala! A teraz, mostobrodzieju, chce drogi reperować, żeby mieli kędy łatwiej prowadzić na nas harmaty. Znamy się na tem oddawna... i kwita!
- P. Tanskwiłł (z wyraźną niewiarę): Co to jegomość mówi? Od jakiego Moskala on ma być płatny? Przecież my do Rosji już należymy! Kiedy poprowadzą harmaty, to je po swojej już poprowadzą ziemi. Za co tu komu płacić?... Ani szelaga nikomu nie dadzą!...
- P. Wojdyłło (z zupełną pewnością i aplombem): Gdybyś waćpan, mostobrodzieju, tak, jak ja, patrzył w 1794 roku na hetmana pod obwachtem

św. Kazimierza, tobyś wiedział i rozumiał tak, jak ja, co to, mostobrodzieju, zdrajca... i kwita!

P. Wirpsza (ściskając ramionami): A dalipani! Wszak może i dobrze waćpan powiadasz. Wszak doprawdy, może to i szpieg moskiewski, może i zdrajca!

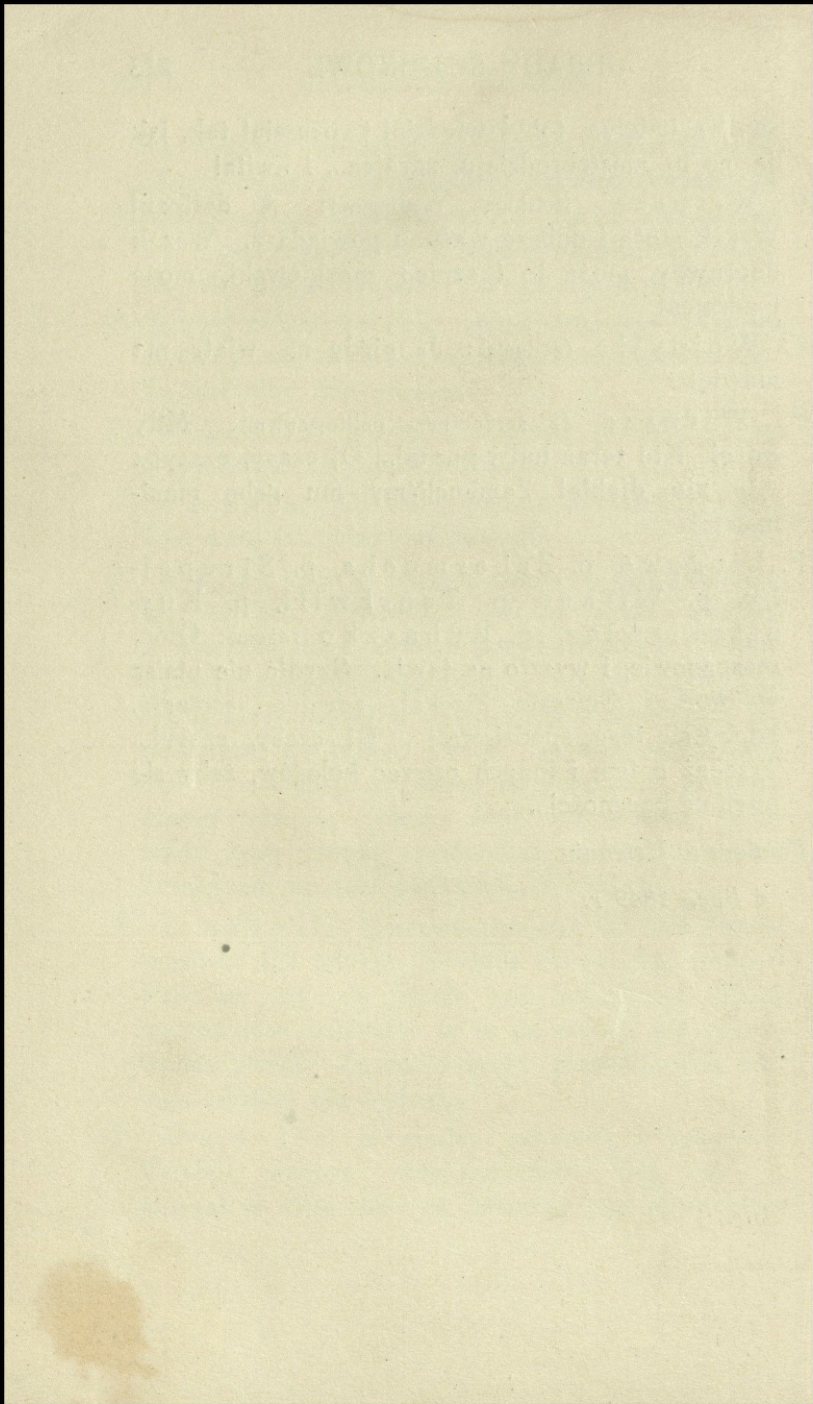
P. Wojdyłło (z dumą): Ja nigdy na wiatr nie mówię!

P.. Wirpsza (z serdecznem politowaniem): Miły Boże! Kto teraz ludzi pozna!... Oj czasy, czasy!... Ale zje diabła! Zamknęliśmy mu gębę manifestem!

P. Lingowd, p. Zabarmucha, p. Strupejko, p. Wiłkuć, p. Tanskwiłł, p. Kurdziukiewicz, p. Rubaszko (razem): Otóż, mospanowie, i wyszło na jaw!... Szydła nie utaisz w worku! Starosta - Moskał, zdrajca, szpieg!... Ktoby się tego spodziewał!... Oj czasy, czasy!... Trzebaż o tem i innych ostrzec kolegów, żeby się mieli na bacności...

Pisałem w Ustroniu

4 lipca 1849 r.



POLITYCY LITEWSCY

Bzdurstwo.

(Karczma pod Wilnem, nazwana Kaplica, na samym zbiegu gościńców kowieńskiego, trockiego, grodzieńskiego, wileńskiego. Rok Pański 1839. Z różnych stron zjeżdżają się pod tę karczmę bryczki, kryte i niekryte. Siedzący na nich panowie wchodzą do środka).

OSOBY:

Pan Gruz d, sędzia, polityk ale nie namiętny.

Pan Borowik, regent, zagorzały polityk, pelen ciekawości i życia.

Pan Gapi mucha, podkomorzyc, simpliciter obywatel, wielki polityk.

Pan Półgęsek, chorąży, polityk, nuwelista i wielki geograf,

Pan Kołupajłło, deputat, alarmista i pesymista polityczny.

(Wszyscy zwyczajnie jak w drodze nieogoleni, nieumyci z rozczochranymi włosami, z bakenbardami, od wiatru wtył zwróconymi).

P. Gruz d, p. Półgęsek, p. Kołupajłło
(witając się): Ściskamy stopy!

P. Borowik (kręcący się i wiercący na obcasach):

A, aa! Co ja widzę! Otóż przecie dał Pan Bóg zjechać się, zobaczyć! Kopę lat, jakieśmy się nie widzieli. Kopa lat!... upadam do nóg! Do nóg upadam! Do nóżek upadam! człek z człkiem, góra z górą!... A pana sędziego, dobrodzieja mojego!... Szanownego deputata!...

P. Gruz d, p. Półgęsek, p. Kołupajłło
(razem): Scielę się do stóp, submituję mnie łaskom, sługa i podnózek.

- P. G a p i m u c h a (ostatni wchodzi, uciera ręką nadlew ślinę ciekącą): Nogi całuję... nogi całuję!...
- (Wszyscy obejmują się kolejną uprzejmością, ściskają i całują się serdecznie, a kłują się w twarze od tygodnia nieogolonemi brodami, że aż łzy im na oczach stają).
- P. B o r o w i k (rozkrzyżowawszy ręce, głosem podniesionym, patetycznym): Szanowny Gruździe! Zacny Gapimuchol!... (chwytą obojgu za ręce i odciągając ich nabok): Cóż tam słyhać? Jak się macie? (trochę ciszej ale prędko i ciągnąc ich jeszcze dalej za sobą): Co nowego?... Co nowego?... A?!...
- P. G a p i m u c h a: Wszystko dobrze, Bogu chwała!..., jeszcze żyjemy... a pan regent?
- P. B o r o w i k: Ależ przecież? Cóż to że żyjem! czy nic więcej!... A?
- P. P ó ł g ę s e k (pstrzykając palcami po tabakierce). Mó... mó... ci dobrodzieju, — różnie słyhać!.. at!..
- P. B o r o w i k (z miną zafrasowaną, biorąc go powoli dyplomatycznie na stronę): Jak? co?... Dobrodzieju!... a mój szacowny! co tam różnie! Szanowny!..., co!... *de politicis?*... A?... (jeszcze ciszej) da powiedziałeś *de politicis?* A?...
- P. K o ł u p a j ł o: Da, dajcie waspaństwo pokój! — to to już zmyślili! w takim miejscu *de politicis*, jeszcze chto podsłuchał... da, już doprawdy, pfe!...
- P. G r u z d (jeszcze ciszej): Oj ty tchórz, tchórz! Dali-pan dobrze o tobie matka twoja mówiła... cha, cha, cha!...
- P. K o ł u p a j ł o: Da, dajże pokój!... dalibóg nie wypada!
- P. B o r o w i k (dyplomatycznie ludzi wyprowadzając w pole): Ale cóż tam? da powiedzże!... We mnie, mospanie,

już dusza skacze! Dałby to Pan Bóg! (obracając się do p. Półgęska): a?... co?... No, siądźmy tu sobie w kąteczku i pogadajmy (przystawiają drewniane stołki i wszyscy na nich siadają). Panie Półgęsek, szanowny!... chorąży! kolej od waćpana, mospanie mój! Cha... cha... cha! Przybieramy się jak do kminkówki! A!... ot i dobrze, że na myśl przyszedł Panie arendarzu, (głośniej): A panie arendarzu!... (jeszcze głośniej): Panie Berko! Daj jegomość, tu flaszkę kminkówki! (Cichość uroczysta. Żyd bez łapserdaka w zaszmelcowanej długiej brązowej kamizoli, w krót ich nankinowych spodniach, błękitnych wełnianych pończochach wnosi wódkę i kieliszki. Częstują się. Żyd, postawszy trochę, wzrokiem krzywym p. Borowika zrażony, widzi, że mu tutaj nie radzi, więc się nieznacznie wymyka).

P. Półgęsek (wyrywając się już sam, żeby się popisać): Gdybym był pewny, że to zostanie między nami, tobym może i powiedział. Ale i tak, mó... mó... ci dobrodzieju, nie bardzobym się odważył.

Wszyscy razem: Ależ powiedz! mów! na honor! Słowo honoru! Słowo honoru nie powiem nikomu! Dekret wieczny... jakem szlachcic... jakem obywatel!

P. Półgęsek (oglądając się naokoło a wszyscy w tym momencie przysuwają stołki do niego): Dajecie słowo honoru? No! (ogląda się jeszcze raz naokoło i mówi cichutko): Będzie wojna! (i wychylił natychmiast kieliszek).

P. Borowik: Co!! Wojna? Wojna! (z radości klaszcze w ręce).

Żydówka (myśląc, że ją wołają, wbiega z impetem): Nu, co jasny pan rozkaże? (Pan Kołupajłło zrywa się ze swego miejsca, lękając się tak srogiego świadka).

- P. Pó ł ę s e k (z niecierpliwością): A idź tam waspani do djabła! (Żydówka odchodzi.) Ciszej! ciszej! z waspana, panie regencie, zawsze taki sam, jak i dawniej paliwoda! (po chwili milczenia): Wojna pewna! ot i dosyć!
- P. B o r o w i k (chce znowu klasnąć ale przypomniawszy sobie, że to w tem zdarzeniu nie uchodzi, zaciera tylko z radości ręce): Co waćpan dobrodziej mówisz?
- P. Pó ł ę s e k (nachylając się siedzący do wszystkich, mówi cichszym głosem): Francuzi i Anglicy, słyszę, na nas!.. Mó—mó... ci dobrodzieju, rozumiecie waćpaństwo?.. na nas!
- P. G a p i m u c h a: A, dalibóg, ja, taki, to zawsze mówiłem. Zapytajcie się u mojej samej (poprawia sobie junacko chustkę na szyi, potem trze czuba). Już mnie to niedarmo coś do ucha szeptało!
- P. B o r o w i k: No. Dobrze. Wojna. Ale jakżeż?... co?... skąd?... Ah! tra-la-la, tra-la-la-la-la!
- P. Pó ł ę s e k (z miną znaczącą i poważnym gestem): Francuzi, słyszę, już są nad Renem! Mo-...mó-ści dobrodzieju...
- W s z y s c y (z zadziwieniem i egzaltacją): Już nad Renem!
- P. Pó ł ę s e k (z coraz bardziej imponującą miną): Tak, tak!... Wojsko francuskie jest już, słyszę, jak tam?... a niech go opanceruje!... Jakżeż bo tam?! (podnosi głowę do góry, przyłożywszy palce do czoła pomiędzy oczyma, przypomina): Jakżeż bo tam! A! ach!.. w Staszburku.
- W s z y s c y (z zadziwieniem): W Staszburku!
- P. Pó ł ę s e k: Już to ja dawno, mó... mó... ści dobrodzieju, od różnych słyszałem i sam to widzia-

łem, że na dobre się nie zanosi. Wilcy u mnie w lesie wyją od trzech miesięcy, że aż strzeż Paniel A wron pełny dziedziniec, że ich nie odpędzisz. A i pan Kwitko, jeżdżąc po sól, czytał w Pińsku w traktjerze w gazetach, że się tam Francuzi z Paryża na jakąś niby, mó... mó... ci dobrodzieju, rewję wybierają się. Pan Kwitko mówi, że w Sendomiku (*St. Omer*), ale ja temu wierzyć jeszcze nie mogę. Ale, ot sęk!... Ot co!... sam syn królewski komen-deruje... czy rozumiecie!...

W s z y s c y (z zadziwieniem): Syn królewski!... aa!

P. P ó ł g ę s e k: A kiedy tak już jest w gazetach i gazety wolno czytają się po traktjerach, znać powoli już sami chcą nas, mó... mó... ci dobrodzieju, z tą wiadomością oswoić! Żeby nie byłoby nic, toby w gazetach nie pisali!

P. G a p i m u c h a: Prawda! A, dalibóg, słuszna uwaga! (Pan Borowik zaciera ręce z radością).

P. P ó ł g ę s e k (coraz rozwiązując swe usta): Słyszę, zaraz wsiadą na statki i Renem aż do Rygi się spuszczą. A że to może być prawda, to i stąd jeszcze, mó... mó... ci dobrodzieju, wnoszę, że pan Lepieszko, wracając teraz z zagranicy, złamał oś na mojej grobli przed samym dworem w Chudomyślu. Zaprosiłem rozumie się szanownego i zacnego, mó... mó... ci dobrodzieju, obywatela na co Bóg dał do siebie, póki mu kocza nie naprawią. On mi także z pewną jednak ostrożnością, bo to, mó... mó... ci dobrodzieju, frant i fifikus, na zręczne i niby od niechcienia zapytania moje półgębkiem przebaknął, że widział francuskich żołnierzy... jak tam, niech go

kaduk porwie!... w... w... w Staszburku. Ale to człowiek ostrożny i dyplomatyk!

P. G r u z d: A więcej, że szanowny chorąży, nic z niego nie wyciągnąłeś? O angielskim wojsku? Co? Nie?...

P. P ó ł g ę s e k: Nie taki to człowiek. Oho ho! Mó... mó... ci dobrodzieju. Szczwany to lis! Nie dobędziesz nic z niego! Trzeba samemu, swoim rozumem reszty się domyślić.

P. B o r o w i k (z pewnym rodzajem dumy): No, nie chwając się, gdybym ja tam był, zjadłby kata, wszystko by mnie wyśpiewał. Jak to, mospanie mój, pół fortuny człowiek postawi a swojego dopnie! Nie ja, to jest na to żonka, jest córka! Ale co tam żona i córka, w takiej rzeczy, jak na mnie, mospanie mój, życie człowiek ponieść gotów, jeśli już inaczej nie można! Ale co tu mówić? Zje diabła, kiedy się o szarej godzinie babom nie wygada!

P. G a p i m u c h a: O, co to, to prawda! Dalibóg prawda! I ja także, i ja tak mówię! Ale kiedy waćpaństwo chcecie, to i ja także, taki, słyszałem coś w naszej stronie o tem samym. Musi to coś być! I mnie powiadano, że angielska piechota wymaszerowała do Francji i razem z Francuzem się połączyła.

W s z y s c y (prócz p. Borowika): Co waćpan dobrodziej najlepszego mówisz?

P. G a p i m u c h a: Ale tak... Szyper z Królewca... aż do Rygi...

P. B o r o w i k (niecierpliwiąc się i przerywając): Ale co to znowu waspan tam gadasz?! Wszak Anglja, słyszę, wyspa! Jakże piechota pójdzie maszerować

po morzu?! Wszak morze — woda. Co? Nieprawdaż? He?...

P. G a p i m u c h a: At! mów mnie waspan! Trudna im rzecz! Aj, mój panie, mój panie, niby to już i my nie wiemy, co wyspa, co nie wyspa! Ale waspan chyba nie wiesz o tem, że teraz oni powyślali takie maszyny, że i chodzą parą, i jedzą, i piją parą i brody golą parą! To to, żeby mi Bóg dał gdzie znaleźć na drodze taką maszynę! cha, cha, cha!... Takie niegodne mam brzytwy. Draż, jak Bartłomieja ze skóry!

P. G r u z d (serjo): Hm! Być może. Być może. — Wszak to jeszcze w 1820 roku, będąc u wód mineralnych w Widzach, słyszałem na własne uszy, jak pan Marjański, chirurg z Wilna, człowiek bywały, opowiadał nam, że jak był trzydzieści lat temu z pułkiem swoim na jakiejś tam angielskiej wyspie, jak dziś pamiętam, Dżerzej, na wyspie, łaskawy panie, zewsząd morzem oblanej; to kochając się w jakiejś tam pannie, rodowitej Angielce, mieszkającej w Londynie, co dzień po dwa razy, rano i wieczór, rozstawionemi końmi w drążkach z Dżerzej do Londynu jeździł. Co to, łaskawy panie, Anglicy! pfiuuu!

P. G a p i m u c h a: A porachujcież wiele to lat już temu? Od tego czasu czego te djabły Angielczyki nie wymyślili? Oho, ho!

P. B o r o w i k (przekonany argumentem): No, jak sobie chcecie... to tedy i Francuzi i Anglicy do Rygi?... a?...

P. G a p i m u c h a (cichszym głosem): A z Rygi na-
zajutrz i w Peterburku. (Wszyscy oglądają się z trwogą).

- P. Kołupajłło (zerwawszy się przerażony, czy kto nie podsłuchał): Cytl... cytl...
- P. Borowik: Co, cytl.... Bardzo ja się boję! *minus de hoc!*
- P. Gapimucha (poprawiając i nacierając czuba): Aż siebie dalipan, kocham! (poprawia i podnosi do góry chustkę od szyi). Ja to sobie zawsze taki, przewidzę, co będzie. Niech sobie śmieją się ze mnie! Pusto ich! A na moje, taki, wyjdzie. Już to prawdę mówiąc, mam w sobie jakiś szczególny dar przewidzenia, że aż żona i dzieci, bywało, dziwią się! Jak, bywało, nieboszczyk ksiądz Rajuniec, Panie świeć nad duszą jego, trzymał Kurjer, to po roku zawsze, bywało, taki, przyszłe mnie do czytania. To, bywało, czytam, na przykład, w 20-ym numerze, że taki to i taki sławny człowiek, mospanie mój, zachorował i niebezpiecznie. Czasem czytam i nic! A czasem tak mnie, jak szydłem, po sercu zakręci, że aż pomyślę w sobie albo i żonie powiem: „Mów sobie waspani, co chcesz, a on nieborak już nie wyżyje”. I, bywało, Anioł Pański po nim zmówię. I cóż waspanowie powiecie? W 22-ym albo w 23-im numerze — bac i jest, że taki to a taki, mospanie mój, z powszechnym żalem kraju życie, mospanie mój, zakończył.
- P. Borowik (serjo z powagą i aprobacją): Nu, prawda, niema co mówić! Wszak my wszyscy jegomości oddawna, chwała Bogu, znamy. Daj Boże takich głów obywatelskich (nachyla się mu na ucho i mówi ciszej) i takich synów ojczyzny! Niechby się i na kamieniu rodzili!

- P. G a p i m u c h a (uśmiechając się zadowolony): Da, nie chwalcieź już w oczy!
- P. K o ł u p a j ł ł o (powstając ze stołka): Ał, niema nic dobrego! Oj, oj, oj, bieda! bieda! Wojna to wielkie nieszczęście. Wiele to ludzie poginiel i my poginiemy! Bywajcie zdrowi! Już ja sobie jadę!
- P. B o r o w i k (powstrzymując go): Czart swoje, a pop swoje! Waspan zawsze masz, mospanie mój, swoje jakieś deje (ideje). Wojna — to grunt! A?... nieprawdaż?! Co? (odwracając się do reszty słuchaczy): Będzie zawsze jakaś zmiana!
- P. K o ł u p a j ł ł o (z bólem serca): Tak! jak zabiorą i siano, i owies, i wódkę, i woły, i konie!
- P. B o r o w i k (z zapalem): To nic!... To nic!
- P. K o ł u p a j ł ł o (płaczliwie): Żony i córki nam po-
bałamucą!
- P. B o r o w i k: To nic!... To nic!
- P. K o ł u p a j ł ł o: Domy popała! — ruchomości
zrabują!
- P. B o r o w i k (patetycznie i z największym zapalem)
To nic! — To nic!
- P. K o ł u p a j ł ł o (zniecierpliwiony, naśladując Borowika)
To nic! — To nic!... Ał! Dobrze waspanu wrzesz-
czeń „to nic!”, kiedy waspan nie na gościńcu
mieszkaś! Waspana majątek w takiej głuszy na
boku, nietknięty zostanie.
- P. B o r o w i k: Brrr! Co wasan?! Co wasan?! Proszę
uniżenie! Przeżegnaj się lewą ręką! Jakto, mospa-
nie, mój majątek na boku? Na boku do Petersburka?
To mi lepsko? Co wasan, mospanie mój, gadasz!
A toż ode mnie prosta droga idzie do Petersburka!
Burłak Abakum, co świecami i mydłem w Lidzie

handluje, co rok tam jeździ. To jak wsiądzie, mospanie mój, w Lidzie na swoją tielehę, jak raz zawsze prosto około mnie jedzie do Petersburka. A jak mnie spotka na drodze, to jeszcze i zawsze powie: „Zdrawja żelajem!” Nazad do Lidy także koło samego mojego dworu powraca. Oto! Abo ja nie wiem?

P. Kołupajłło (zmartwiony): Dajcież już pokój. Ot, lepiej pogadajmy o sejmikach.

P. Borowik: Co tam, mospanie mój, sejmik! Ot będzie wojna! to lepiej! to grunt! Sejmiki mamy co trzy lata. I jakie to sejmiki! Boże tylko odpuść!... A wojen co trzy lata niema, nie bójcie się, nie doczekasz się jej tak prędko! (na stronie): Jak też się oni na polityce nic a nic nie znają! Oj, ciemnota, ciemnota!

P. Gapi mucha: Ja bo zawsze sobie myślałem, że to coś będzie! Ot, jeszcze powiem waspaństwu rzecz jedną. Latem przyjechał do mnie sprawnik przeszłego roku z jakimś jeżomością zagranicznikiem. Figler czy Fitler nazywał się. Nie pamiętam dobrze. Powiada proszę, panie Gapi mucha, powiada, pozwól temu panu w swoim domu, powiada, kilka dni zabawić. To, powiada, malarz, te *rarysta*, powiada. Myślę sobie: dobrze z ochotą. Poprosiłem na co Bóg dał. Niech, myślę sobie, szczęśliwie zabawi — a może i mnie za to co wymaluje. Powiadam mu raz u stołu; a siostra moja tłumaczyła mu: „Panie Figler, wymaluj no waspan mnie na pamiątkę portret syna mojego”. Zmieszał się i szczerwieniał, jak burak! Choć nie

pokazał po sobie nic, ale mówi, ja, mówi, nie maluję, mówi, portretów, ja maluję *pezaze*. Tknęło mnie w serce, jak nożem, natychmiast. Oho, dobrodzieju, myślę sobie, on malarz, myślę sobie, a portretu odmalować nie umie! Kiedy ja nie malarz przecie a obywatel, urzędnik, bywało, nieraz w zimie, jak podadzą świecę, postawię mego bębna przy ścianie, a jak wezmę węgiel z pieca, a po cieniu poprowadzę, to *adiustar* mojego Jasia wymaluję! A już to, mospanie, nie to, żeby powiedzieć, że w malarstwie uczony. Jak już pomalowany czy wasąg, czy bryczka, to już ciż poznam czy źle, czy dobrze. Ale jak to zrobić?... — nie umiem. Otóż, jak mówię, zaraz mnie wtedy na myśl przyszło, że ten pan Figler musi być szpieg francuski. To, mospanie, pomyślałem, pewno *żynier* od Francuzów czy Anglików przysłany, żeby sekretnie zbierał mapy i plany, gdzie co rośnie, gdzie co płynie, gdzie używalność, gdzie nie a gdzie dyferencja ze skarbem. Akurat tak jak i w 1811 roku. Co to się tego licha, mospanie, po wszystkich kątach u nas nie nawłóczyło! I Figler jak tylko czy las, czy rzeczka, czy borek, czy łąka to tak robi, jakbyś na to patrzył. A jak portrety, — ho, ho! Znamy się na farbowanych lisach! Ja to i żonie i siostrze mówiłem. Ale one mnie zakrzyczały. „Co jegomość znowu wymyślił?” powiedziały. No teraz że ich przekonam!

P. Pó ł g ę s e k: Co to i mówić! Wszak i ja znałem tego Figlera. Wszakto szelma, łotr, rozbójnik, zbrodniarz, antychryst! Panna Brygida, siostra jegomości, upodobała sobie figle tego awanturnika

i ciągle biegła *pezaze* z nim zdejmować... toż i namalował...

P. G a p i m u c h a (Przerywając obrażony, zrumieniony):
At! dajżeż waćpan pokój! Co to takie rzeczy *in facie publica* mówić! Takie bajki roznosić! Dom mój szkalować i szpecić!... i jeszcze przy mnie w żywe oczy rzucać paszkwile!

P. B o r o w i k (cały zajęty polityką i o niej tylko myśląc):
A cóż to niepodobnego? Może to i inżynier...

P. G a p i m u c h a (biorąc to za przymówkę do panny Brygidy): Co tu waspan?... Jak waspan śmiesz?!...

P. K o ł u p a j ł ł o (z chęcią gładzenia garbów): Mości panowie uciszcie się! No, żarty nabok, ale już czas do domu. (Na stronie): Ale będę już miał przynajmniej co rozpowiadać!

P. P ó ł g ę s e k (wstając ze stołka): Ależ pamiętajcie, że daliście słowo honoru na sekret.

P. K o ł u p a j ł ł o (składając palce na krzyż): Pod kpem! pod szelmą! (na stronie) tylko powiem żonie, szwagierce i księdzu.

P. G r u z d, p. G a p i m u c h a (szukając czapek razem): Otóż będę miał co mówić! Otóż się ucieszę z panem Szywiłłą! Do zobaczyska, zegnamy!

P. K o ł u p a j ł ł o (na stronie, szukając także niby czapki swojej): Niech was tam djabli porwą! A oni się tylko cieszą z ludzkiego nieszczęścia! A oni się śmieją, chichoczą i klaszczą w ręce, że będzie wojna! I to jeszcze na noc dowiedziałem się o tem! Tfu!!! Boże mój, Boże mój, co to z tego będzie? Żeby choć do domu prędzej dojechać. Bo już dziś ani na włos nie zasnę! A mojaż pani żona! Jak się tylko dowie, to już się i mizdrzyć i wyszcze-

rzać przed lustrem zacznie, czekając znowu na jakiego gacha ze szlifami! Oj, utrapienie nasze i utrapienie! Niech sobie jadą! Ja zostanę tu lepiej na nocleg i pójdę do Berka na szklaneczkę pończyku! Niech sobie jadą szczęśliwie! Szczęśliwa droga! Och, och, (głośno): Stopy wasze całuję, do widzenia!

P. Borowik (wracając z sieni do p. Półgęska): Panie chorąży! Hum! jak to waspan mówiłeś, gdzie oni stoją?

P. Półgęsek (zawijając włóczkowy szalik na szyję): Nad Renem.

P. Borowik (udając świadomego): Uf, uf, nad Renem! Któż o tem nie wie? Stoją nad Renem — ale w jakim już mieście?

P. Półgęsek (zacinając się, bo znowu zapomniał): W... w... w... Stasburku.

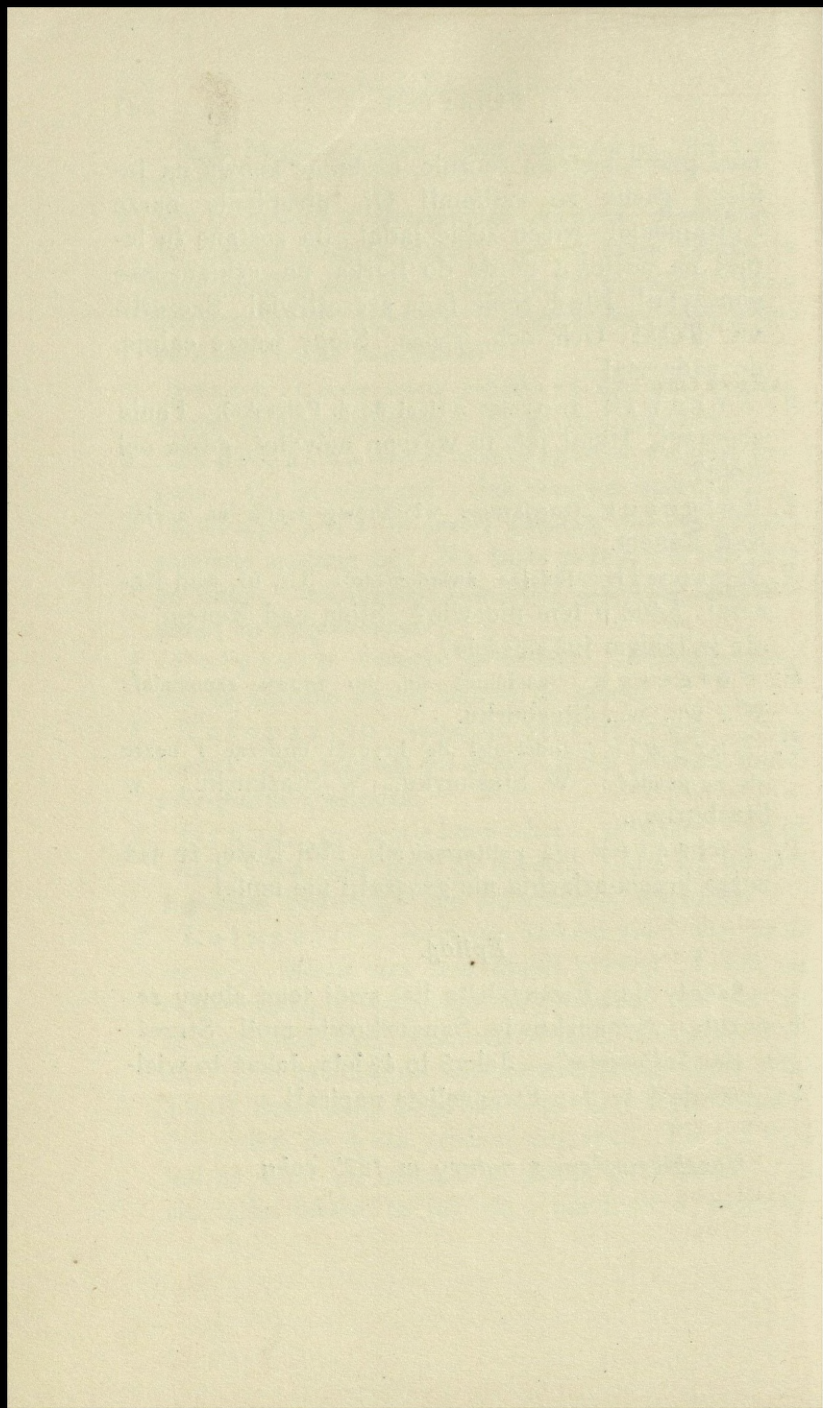
P. Borowik (odchodzi do bryczki mruczając i ucząc się na pamięć): W Stasburku... W Stasburku... w Stasburku...

P. Półgęsek (z politowaniem): Mój Boże, że też nasza bracia-szlachta nic geografji nie umie!

Epilog.

Święty Jan Ewangelista list swój temi słowy zakończył: „Synaczkowie, Synaczkowie moi! Strzeżcie się bałwanów“. Jakąż to świętą, jakąż to wielką prawdę Ś-ty Jan Ewangelista napisał!

Naszkicowałem z natury w 1839 roku.



TAKI TO EGOISTA!... TAKA EGOISTKA!...

Bzdurstwo w morale i morał w bzdurstwie.

Przebaczcie im, albowiem
nie wiedzą, co mówią.

SCENA PIERWSZA I OSTATNIA.

OSOBY, JAKO NIŻEJ.

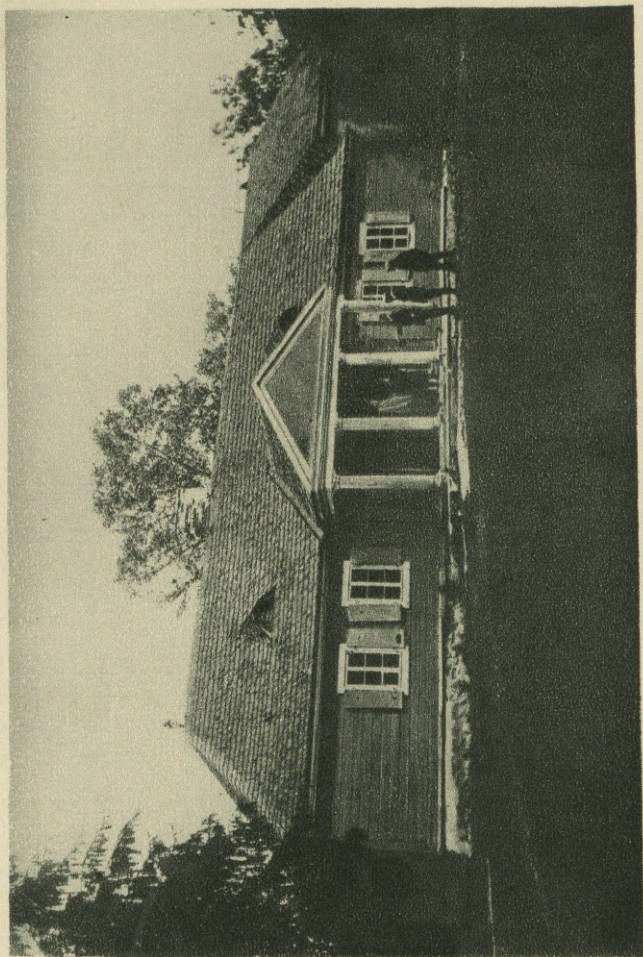
Wieś litewska o trzy mile od miasta. Niedziela. Dom pana Sędziego Pajęczyny pełno na stolowaniu i po wszystkich kątach. Podłoga z desek starannie wywoskowana. Gości rozmaitych dużo. Gadatliwi goście nie gronem ale jakoś parami i około stołu i po różnych stronach bawialnego pokoju zasiedli. Mimo to jednakże często od jednych do drugich wzajemnie się dla gawędki przechodzą. To sprawia huczek i gwar czasem tylko cichnący tak, że zaledwie na chwilę to tu, to ówdzie coś z pojedynczych przerywanych rozmów ciekawe ucho dosłyszeć i zachwycić może. Okna otwarte. Much pięćkroćstotysięcy. Wieczór prześliczny.

P. *Professor* (człowiek młody, przybyły z dziećmi gospodarza domu na wakacje, trochę pedant w wyrażeniach swoich):
...Nie, panie chorąży, mów pan dobrodziej sobie, co chcesz, ale pan Chrąstejko jest *egoista*, jakiego, że tak powiem, nie było jeszcze na świecie! Zastanów się pan tylko nad tem. Jakto?! zaprosił nas przed egzaminem publicznym do siebie na sesję. Od ósmej zrana trzymał nas do samego południa. I cóż! Oto o samej jedynastej godzinie wstał z krzesła, polecił nam nie przerywać posiedzenia a sam wyszedł do drugiego pokoju, wyraźnie nam mówiąc, że idzie

przekąsić i wypić kieliszek wódki, bo tak mu czczo, że wytrzymać nie może. Czczo! czczo!... a myż to co?... a nam że czczo nie było?... pfe!... Gdybyż to jeszcze jaki biedny obywatel, ale to pan, milionowy pan!... Żałować, że się w ten sposób wyrażę, żałować kieliszka wódkil...

P. Choraży (człowiek światły, wielki przyjaciel Seneki, bardzo lubiący czytać a szczególnie książki stare, chociaż i dzisiejszemi nie gardzi): Panie profesorze, to jeszcze nie egoizm. To tylko może kapcaństwo, skąpstwo a przedej może nawet duma, żeby ichmościom swoje *oś-bo-ja* pokazać. Ale najsurowiej rzecz biorąc, tu była tylko z jego strony prosta niegrzeczność. Egoizm daleko brzydsze od tego ma cechy.

Pan profesor (z ironją): A tenże sławny, że nie powiem książęcy, obiad jego, co to go był przygotował dla Księcia Kuratora? Musiałeś pan o tem słyszeć? Książę nie przyjął obiadu, bo natychmiast odjechać musiał. A pan Chraśtejko wszystko a wszystko, nawet i kremy (oblizuje się) i galarety (połyka ślinkę) chociaż to było w lipcu w same upały, z miasta na wieś do siebie odesłał! Nas wprowadzie na cały ten wielki i pański obiad na dwanaście osób, jak apostołów jakich, iż tak rzekę, zaprosił i akurat dwanaście tylko kotletów na półmisku położyć kazał!... Pan Kszyk, profesor arytmetyki, chłopak nie w ciemę bity, a bystry, dowcipny i śmiały, jakoś to zwietrzył natychmiast i wyliczywszy okiem znawcy tę ilość, na złość jemu dwa sobie zabrał kotlety tak, że samemu amfitrjonowi tylko się łyżka sosu i nieco truflów dostało! (nowe śliny połknięcie).



DWÓR W USTRONIU
(według fotografii)

Pan Choraży (śmiejąc się dobrodusznie): No toście go i ukarali gracko natychmiast. Więc kwita!... Ale co to, panie profesorze, że mi pan zawsze tylko żołądkowe egoizmu kładziesz przykłady? (uśmiechając się). U nas dawniej za jezuitów mówiono: „*pinguis venter non studet libenter*”. To cała zapewne i dziś przyczyna, dlaczego wam, uczonym, nie tak bardzo jeść dają. Zato się tu u sędziego dobrze odkarmicie. Wracając jednakże do tego sławnego obiadu, ja i tu znowu swoje powtórzę, że to było wielkie kapcaństwo pana a może nawet sług jego swawola i nic więcej. Widzę jednakże i tego szczerze winszuję, że pan profesor dobrodziej dotąd się jeszcze z prawdziwym egoizmem nie spotkał. (Dalej mówią z sobą ciszej).

Pan Sędzia (obywatel już niemłody, który się kiedyś trochę za wcześnie, bo natychmiast po wyjściu z trzeciej klasy, ożenił, mówi do asesora policji): To patrzaj pan, panie asesorze, ten Ziętkiewicz zwarzował, czy co najlepszego! *Taki egoista!* Z własną szkodą, ze złym przykładem i zgorszeniem dla nas wszystkich, żeby o stałą choć z listem naprzykład posłał włościanina swojego, własnego swojego włościanina! Już mu za to zaraz, jak cudzemu, płaci! Jeszcze i naszych włościan gotów niedobrych rzeczy i nieposłuszeństwa nauczyć!... Jakby to temu zaradzić?...

Pan Asesor (trzymając ręce na dosyć wydatnym brzuszku, ciągle obraca i kręci wielkie palce jeden około drugiego i nie wiedząc zrazu co odpowiedzieć na to, mówi): T-a-a-k?... (ale wkrótce namysliwszy się, dodaje z największą flegmą i pewnością siebie): Można będzie zrobić na niego maleńki donosik, że on wolnodumiec. (Dalej rozmawiają z sobą ciszej).

P. Dziegciorobow (podporucznik miejskiego garnizonu. Starając się być grzecznym, mówi w tym domu przez grzeczność po polsku. Powiada więc do panny Emeliny, starszej sędzianki, z którą siedzi na uboczu i której wyklada teorię i sposoby dobywania fortec): To, pania, izwoltie widiet! jak my tu krepost brali, to woobrazitie (z przyciskiem): czetyresta czerkiesow...

Panna Emelina (z największem przerażeniem zasłania sobie oczy i malowniczo zsuwając się, przechylając i padając całym korpusem, jakby już zemdleć miała, na grzbiet krzesła swojego): Ach, ja nieszczęśliwa!...

P. Dziegciorobow (zrywa się z krzesła i mówi ze współczuciem dla panny i z godnością walecznych): Uspokojtieś sudarinia!... (Panna Emelina przychodzi na ten głos natychmiast do siebie): Jej Bohu, znajetie czetyresta czerkiesow na mienia napadli!... Tylko i słyszu: „aman urus, urus aman“... Myślu sobie biędzie źle!... Ale jak ja naczał kryczat' (krzyczy doprawdy): U-urà!!! karau! na szty-kil... jak ja zaczął strelat' i rubit' na wszystkie starony — znajetie — mamziel Emelin, wsiech ich, wot tak, ja sam jeden peregupnuł i rozpiędził...

Panna Emelina (przerywając z wzruszeniem): Ach! odetchnęłam!...

Pan Dziegcioroban: Nie chwastaju sudarynia, no wsie, znajetie diwowali, że ja taki chrabry! Ja myślał, że połucz, to jest, że biędu miet' za to, czy chrest, czy rangu... I sztoż? Ni czut' nie bywało!... Nasz pułkownik, Klim Hawryłowicz Biełokopytow, mienia nie żałował, po wąższemu nie lubił (ze słodkim wdziękiem patrząc jej w oczy): nie kochał. Nie dost' teho, jeszcze nahrubił, po-

wiedział, z pozwolenija skazał, szto ja pijanica i zamiast nabrażenia przez dwa miesiące so-
słali mnie tutaj do garnizonu!... Koniecznie, to po-
czotnoje miasto, no...

Panna Emelina (przerywając i najśłodziej podnosząc
oczeki do góry): Ach! jakież to *egoista* ten pański
pułkownik!...

P. Dziegciorobow (myśląc, że to polski wyraz,
który rozumie): Da' s...točno... imiennie powie-
dzieli prawdę!... On *nie-godist!* takoj uż niegod-
nyj! Niech Pan Boh broni!...

Panna Emelina (z wdzięcznym uśmiechem): Tak.
Ale gdyby nie on, nie miałybyśmy przyjemności
znać pana.

P. Dziegciorobow (z gracją): Bardzo pania
dankuję! Padam do noh! (z uśmiechem): Widzi-
te sudarynia, jak ja uż mówi po polsku!... Czy
dobrze? Mamzieł Emelin?

Panna Emelina: Wybornie! Jużciż jest tro-
chę akcentu! Ale powoli i to zniknie (przymilając
się i wyszczerzając ząbki): Jak ja jeszcze trochę
popracuję nad panem, to pan doskonale będzie mó-
wić po polsku.

P. Dziegciorobow (kłaniając się): Czuwstw-
telno błahadaren's (trochę przymrużając oczy): No
i mnie tr-zeba tożę wywdzięczyć się!... Jak ja
uż pošle popracuju nad paniu, to uż ruczajus, nie
bud' ja Dziegciorobow, szto w jeden dzień, jak raz,
wyuczut' sia pania po naszemu, po ruski!

Pani Komornikowa (podchodzi do panny Emeliny,
siada obok niej, wystawia nóżkę swoją tak, żeby ją pan
Dziegciorobow koniecznie zobaczył, i mówi głośno):

Ma chère! (ale potem ciszej, nachylona ku pannie Emelinie a przewracając tymczasem oczy do pana oficera):

Ale on doprawdy w tobie zakochany po uszy!

Panna Emelina (uśmiechając się): Co to szkodzi trochę, trochę poromansować? (przybierając kwaśną minkę): Na wsi tak nudno!...

Panni Komornikowa (patrzac odniechcenia na rękę coś ogromnej rycerskiej szpady pana podporucznika, bez żadnych wstecznych myśli zapewne): Ej strzeż się tylko, Emelińciu, żebyś się sama nie natknęła i jak w błoto nie wlaźła! (zaczynają coś potem mówić z sobą pocichu).

Pani Podkomorzyna (do pani chorążyny): Ech! już ten Sadzewicz, taki nudny *egoista*, tylko siedzi i siedzi, jak żyd nad książkami! a nie, to pójdzie, obejrzy swoje kwiaty, swoje ptaszki, swoje żółwie, swoje sarny i różne takie błazeństwa i wraca znowu do książki. A o gospodarce ani pomyśli.

Pani Chorążyna (robiąc prędko wachlarzem): A już moja dobrodzik, z tych uczonych nic nigdy dobrego nie wyjdzie! Uczony zawsze do niczego, zawsze głupi! (pan profesor, blisko siedzący, wyraźnie gorszy się z tego i marszczy i udaje, że nie słyszy, chrząka, uciera nos głośno, kaszle, żeby tylko kto więcej nie posłyszał takiego sprośnego zdania). Ach, pani, co to ci mężczyźni! A mój-że? także tylko nad książkami siedzi! Czyta po kilka godzin gazety; czytając drze często gazetę napół i niewiedzieć na co ją tam zaraz używa. (ściska ramionami i mówi coś na ucho pani podkomorzynie, która się śmieje dobrodusznie): A tymczasem wszystko idzie Bóg wie po jakimu,

wszystko w domu na mojej leży głowie! i tak jeszcze nie dogodysz! Niema takich egoistów jak mężczyźni!...

Pani W i d z k a (obywatelka dotąd jeszcze bez tytułu; ale to przyjdzie, bo mąż jej właśnie stara się teraz o urząd a co się przewlecze, to nie uciecze, — do pani sekretarzowej):
No już ta wasza pani Wigierska! Taką to i marszałkowa! Panie odpuść grzechy! Jak się też to ona po cudacku ubiera! Jakież to czupiradło kładzie sobie na głowę! Dlatego tylko, że to w domu u niej robione. I myśli, że pięknie! A czy wierzysz pani, że córkom nie wolno inaczej chodzić, tylko w kozłowych trzewikach i nicianych pończochach? Panny zapewne ledwie nie fiksują ze wstydu, ale boją się i cienia matki, więc udają, że kontente. A taka baba zawzięta! Jak tylko wstanie zrana, zaraz i ona sama, i córki, i wszystkie dziewczęta umyć się i ubrać muszą i jak lalki, uczesać, a potem zaraz mówić pacierze. Brońżeż Boże, która się obejrzy, na całe pół dnia baba się rozgderze! Taki Herod-baba! A potem-że codzień a codzień, nie wiem, jak to się już nie znudzi, bierze kolejno po jednej córce i idzie z nią do spiżarni wydawać sama! A wszędzie po drodze nos wścibi, czy to deszcz, czy pogoda. Nieznośna baba! To już nie gospodyni ale ochmistrzyni! W całym domu nie ma ani jednego romansu, a „Złotych Ołtarzyków” pełno, jak bobu! Raz przy niej zapytałam najstarszą córkę, czy zna romans „Monte-Christo”? Tak na mnie baba za to wytrzeszczyła oczy, że aż mnie samej dreszcz po skórcie przeszedł. No, proszę pani, co to za dziwactwo?... Oho! gdyby się mężulko

jej nie zgrywał tak często w karty, to przy takiej *egoistce* żonie przynajmniej w dwójnasób przysporzyłby majątku (potem coś mówi ale ciszej).

Pani Sędzina (do pani komornikowej): Wyobraź pani sobie, że ten Kroński w karecie! Mężczyzna, uważaj tylko pani sobie!... w karecie! *Taki egoista!* Prawda, człowiek bogaty; ale na cóż to marnotrawstwo? A jakież to dla nas, dam upokorzenie!... O, nie! noga moja nigdy w domu jego nie postanie, póki sobie krytej bryczki nie sprawię! I ja tak dobra, jak i jegomość!...

Pani Komornikowa (mówi bardzo prędko i nieco szepleni): Prawda i ja tak słyszałam! A jaki dziwak, jaki osobliwszy człowiek! Wszak to, słyszę, każe sobie dawać zamiast wieszczy kawałek chleba, nasmaruje grubo masłem, ot tak, (zdjawszy rękawiczkę pokazuje) na palec a potem na to położy kawałek holenderskiego sera... czy słyszeliście moi państwo, ser na masło!... Ale to nie koniec! na to wszystko kładzie cieniutki jak papier zrazik szynki i tak wszystko je razem!.... Jeszcze się naigrawa z ludzi i, nie wiem komu z obywatelstwa przymawia, ale jak mnie jego klucznica na feście na Ś-ty Jan mówiła, jadło takie nazywa bezwstydnie *sędzicem!* (Sandwich...) Fi, *takim* być *egoistą!*

Pani Sędzina: Co to asyńdzka mówisz!... Takiego *egoisty* w całym kraju nie znaleźć! Wszak to on mięso wołowe, jak wilk, surowe jada! Powiada, że to po angielsku i cóż jemu zrobisz! Matko Boska Częstochowska! Niby już my tego nie wiemy, że Anglicy tacy ludzie, jak i my. Namiest-

nik nasz, jak tam posłałam po coś, mydła czy świec pożyczyć, zwyczajnie jak w gospodarce nieraz czegoś i zbraknie, słyszał na własne uszy, jak kucharzowi swojemu dawał dyspozycję, żeby z wołowej pieczeni sok krwawy koniecznie wychodził!... A do zabawy, a pogadać — ani go uprosić! W karty, choćby w druźbarta, choćby po groszu, nigdy nie siądzie! A od kobiet, jak od powietrza ucieka!... A duma jaka! Pożyczyć co, broń Boże, u kogo? — cały dom rozpędzi. Wszystko żeby w domu było. Sam da, ale jemu idzie o to, żeby nikogo o nic nie poprosić! A co asyndzka myślisz, może on tą swoją wieczerzą, tym sędzicem i mojemu starszemu synowi, mojemu Franusiowi przymawia! Już co *egoista*, to *egoista*!...

Z o s i a (najmłodsza, siedmioletnia córeczka pani Sędziny, robiąca drugie bieluchne ząbki, któremi już kąsać i żuć będzie przez całe życie): Mamunieczko, co to egoiszta?

P a n i S ę d z i n a (ocierając jej nosek własną swoją chustką): Widzisz duszko, że nie mam czasu. Zapytaj się tateczka.

Z o s i a (podchodzi do ojca, łaszcząc się, jak kotek, koło mięsa): Tateczko, co to e-go-isz-ta? (Wszyscy jakoś w tej chwili zamilkli. Pan Profesor, tymczasem przewidując grożące mu z natury rzeczy niebezpieczeństwo z definicją „egoisty“, niby od niechcienia wynosi się nieznacznie do ogrodu. Chorąży na to złośliwie się uśmiecha).

P a n S ę d z i a (trochę tem głośnie zapytaniem córki zmieszany, a bardziej zwróconą na siebie uwagę zmitężony, rzuca zukosa bojaźliwem okiem na pana Chorążego i mówi): Co — *egoista*?... hm... hm... (gładząc córkę po główce).

Waspanna chcesz wiele wiedzieć... osiwiejesz pręd-ko!... Ciekawość pierwszy gradus do piekła!

Zosia (z naleganiem, jak zwykle dzieci): Ale czo to egoisza?... Tateczko!.. Ja chcę wiedzieć, czo to egoisza!...

Pan Sędzia (widocznie zafrasowany): Słyszałaś waspanna, co mameczka mówiła... hm... hmm... Egoista?... hm — to człowiek... co je surowe jałowicze mięso... i... i jeździ w karecie...

Pan Chorąży (uszcześliwiony): A niechże cię uściskam, kochany mój sędzio! (obejmuje go i całuje. Pan Sędzia tymczasem twarz całą bawełnianą granatową chustką ociera).

Zosia: Tateczko, to i wujaszek — prałat — egoisza? bo i on jeździ w karecie!... Otóż brawo, brawo! (kłaszcze w dłonie) dostanęż teraz czu-kiereków! Jak tylko go zobaczę, zaraz powiem, że tateczek mówił, że on jest egoista!

Pan Sędzia (marszczy na to brwi, ale zawsze gładząc córkę po główce): Cyt! Cyt!... Oj ty cebulko, cebulko! To naprzód twój dziadunio a nie wujaszek. A potem on prałat, on ojciec duchowny. On może jeździć w karecie...

Pan Chorąży (przerywając): I mięsa surowego nie je...

Zosia (kładąc się nawznak na kolanach ojca i zapomniawszy już zupełnie o egoizmie, żeby coś powiedzieć, mówi) Tateczku, czo to oczec duchowny?

Pani Sędzina (przerywając jej): Patrzcie państwo, choć dziecko, a jednakże sprawiedliwie mówi i ma swój rozumek. Ksiądz prałat — nasz wuj rodzony to jest wuj męża mojego. Powiadają wszys-

cy, że ma ze trzykroćstotysięcy. A nam co dał?... Ledwieśmy wyprosili u niego te liche pięćdziesiąt tysięcy złotych na poprawę gospodarki naszej! *Taki egoista!* Czyż on ze sobą na tamten świat myśli ponieść pieniądze?

Pan Sędzia (z gniewem, mrugając na żonę): At, bo już wasani, duszko, nadto się coś rozgadała! (Ciszej mówi, podchodząc do niej): Jak się, uchowaj Panie Jezus, stary o tem dowie przypadkiem, zagniewa się i nic więcej nam nie da! Gotów jeszcze, w złą godzinę nie mówiąc, panu Onufremu wszystko zapisać. (głośno): U kobiet zawsze włos długi, ale rozum... (dobywa zatkniętą w klapę u surduta ogromną szpilkę i kiwając głową na żonę, udaje, że nią kole sam siebie w język).

Pani Komornikowa (chcąc przerwać i złagodzić te maleńkie małżeńskie niesnaski): A pan Zaranek dawno był u pana? (Sędzia odchodzi).

Pani Sędzina (kwaśno): Był niedawno; i pojechał sobie szczęśliwie do Wilna. Z Panem Bogiem!... Znamy się na tym jegomości! To człowiek nieużyty! Jedzie do miasta, — spróbujże pani poprosić go o jaki sprawunek: czy szal. czy chustkę, kapelusz albo sztuczkę atłasu lub aksamitu... uważaj pani sobie, jak raz zawsze odmówi, nigdy a nigdy kupienia nie podejmie się!... *Taki egoista!*

Ksiądz Proboszcz (w zupełnej niewinności duszy): To dziwna! Coby mnie to, zdaje się, znaczyło, chodząc sobie po mieście...

Pani Sędzina (uszcześliwiona, przerywając gwałtownie): Otóż właśnie...

Książdz Proboszcz (kończąc z największą flegmą)
...kupić coś dla kogo, kiedy dają na to pieniądze...
Pani Sędzina (zmieniając nagle rysy twarzy i tonem
przeczącym): O, to znowu!... Jakto takiemu czło-
wiekowi dawać na sprawunki pieniądzel... Nie wy-
padał... Potem byśmy się jakkolwiek o to z nim roz-
rachowali. Każdy grzeczny mężczyzna zrobiłby to
dla damy bez brania zgóry pieniędzy... ale *taki*
egoista!...

USTRONIE.

Fragment.

...Wracam znowu w moje śliczne gniazdeczko, jak gniazdo remiza, nad błękitną Wierzchnią wiszące.

Bracie mój! Niechaj tu stopy twoje wypoczną. Oto mój domek wygodny, schludny, gościnny. Oto i te piękne kwiaty, oto i te samopas wyrosłe i te sztucznie umiejętną ojca mojego ręką zasadzone ciemne klomby. Oto i Wierzchnia, wijąca się węzem po całej ziemi mojej w najrozmaitsze a pełne malowniczych kaprysów zakręty. Masz tu krótkie wprawdzie, bo zewsząd obcięte, masz tu maleńkie ale dziwnie piękne, ale cudowne a coraz, co chwila nowe widoki.

O, zgódź się ze mną, że to — prawdziwe Ustronie, miłe, ciche Ustronie, cacko, wypieszczone pocziwą ręką ojca mojego i słusznie przez niego nazwane Ustroniem. Tutaj się tak często łąży łązy mojego dzieciństwa! Tutaj częstsze jeszcze łąży pierwszej mojej młodości! Gdzież tu jest kamień, gdzie łąka, gdzie urwisko, gdzie krzaczek, którychbym wówczas łązami temi nie zrosił?... I tutaj teraz ledwie już nie starzec z uśmiechem łagodnej wyrozumiałości w czynie, z gromem w prawdomównym słowie, z ostrem lecz słusznem a nieznanem dotąd nikomu pióra mojego żądłem, dwunasty już rok jak naj-

zupełniej oddalony od ludzi i świata wolne trosk gorzkich lub ciężkich życia wyrzutów przepędzam chwile, posiadacz małego ziemskiego raju, wtłoczonego dziwnem losu zrządzeniem w czyste otchłanie.

Wszystko, co gdzieindziej częściami rozrzucone bywa, tu cudem jakimś na przestrzeni włók kilkudziesięciu masz w obfitości, że dosyć tylko wyciągnąć rękę. I lud, i szlachta złotem jabłkiem słusznie to miejsce nazywa. Bo i czegoż łaskawa Opatrzności ręka na ten kawałek ziemi w szczodrocie swojej nie słała! Są tu, jak mówi przysłowie, i ryby, i grzyby, i raki. Są orzechy. Są miody po barciach i kłodach. Są wszelkiego rodzaju jagody. Są i kminy, i szczawie, i chrzany. Tu całe laski dzikich jabłoni i gruszek a z ich owoców słodkie napoje rozkosznie gaszą pragnienie rolnika, zlanego potem pocziwej pracy. Są tu i sosny, i jodły, i jesiony, i graby, i brzostry, i więzy, i dęby. Masz tłustą glinę, po której wszystką tę rolę, jak tylko zechcesz, samą zasiejesz pszenicę, a masz przytem i wapna i kredy. Nieraz się tu nawet i z wielką bryłą spotkasz bursztynu, znajdziesz i ziemię, co bez trudu ludowi na czarno i płótno jego i wszelką tkaninę, jak chińskim tuszem, powlecze. Dosyć tylko rzeczy takie pod szmatem podjętej darniny na dni kilka położyć i skutek będzie. Masz tu prócz rzeki aż siedem donośnych strumieni, chłodzących twoje powietrze, użyźniających tve niwy. Masz wszędzie w licznych krynicach najprzedniejsze wody i nigdzie tu naokoło równych ni w smaku, ni w chłodzie nie znajdziesz. A jeśli zechcesz tylko, pokażę ci źródła i siarką straszące, i żelazem zbrojne.

I chłopiec tu, i dziewczyna, i starzec wychodzą w pole schludni, jak lalki. Dzieweczki albo całe w bieli, albo, jak srocзки, bieliznę swoją czarną pokrywają spódniczką. Aż się tu wiecznie, na każdą z nich patrząc, i okoliczni i przechodni oblizują mołojce! A i chłopców moich cudze dziewczęta chętniej niż innych wabią do siebie.

Al... Podnosisz wzrok na fronton domku mojego i czytasz? Tak, to dawny już napis. Ręka czasu już go nieco zacierać i trawić zaczęła. „Pracy, Przyjaźni i Pokojowi“, to może i słusznie położona nad tym domkiem dewiza. Było to dawniej: „*Labori, Amicitiae et Paci*“, póki każdy z nas tutaj po łacinie umiał. Ale kiedy potem wyraz *paci* za Paca, starostę kowieńskiego, brać już poczęto, staroświecką tę dewizę na polski język przełożyć przyszło. Ojciec mój żył domem otwartym; o, nie takim, jak ja, był pustelnikiem! Gość codzień go prawie pytał: „Co ten napis, mości dobrodzieju, znaczy?“ Znudziły te pytania starego szlachcica, co bez łaciny nie rozumiał polskiego życia.

Ale przestąp już nogą życzliwą próg mój, gościnnie dla Ciebie ochoczy!... I znowu się tu zaraz w sieniach ze starym spotkasz zwyczajem. Znowu z tablicą z napisem. Nie gorsz się z tego ojców naszych narowu. Nie szkodził nigdy, pomagał często, jako program duszy republikanina. Nie zwracałbym przecież twojej na tę tablicę uwagi, gdyby ona świętą dla mnie nie była. Napis, który tu widzisz przed sobą, jest dziełem ojca mojego. On go tu położył. Może to i dlatego tak mi się on pięknym wydaje. Czytajmy.

*„Człek, żyjąc w społecznem gronie,
Kiedy go smutki poruszają,
Ucieka w lube Ustronie,
By z własną rozmawiać duszą.
Tu przez rozumu potęgę,
Kojąc myśl, kłamstwem łudzoną,
Przeszłości otwiera księgę —
A Przyszłość widzi zbliżoną!”*

Dzisiejszy pustelnik, kiedyś Staś, bawiący się piłką przy tej tablicy, a dzisiaj siwym już włosem to tu, to ówdzie poproszony dziadek, gdyby dotąd jeszcze trwała moda napisów, dodałby mógł od siebie a nie skłamałby podobno, bo to już dwunastoletnia dawność t. j. doświadczenie stwierdziło: *„Satis mihi sunt multi, satis mihi sunt pauci, satis mihi est unus, satis mihi est nullus.”* Ale to byłaby nie jego utworu dewiza. To słowa wielkiego filozofa Rzymu! Wchodź więc już śmiało nogą przychylną w te przed tobą otworem stojące komnaty. A nim się gospodarz z czeladką swoją rozmówi, weź tu czy dziennik jaki ze stołu, czy płochych mód wizerunek, czy płochszą od nich gazetę, czy księgę ze szafy albo i na te misternym kunsztem wypchane przez krajowca krajowe ptaki krajowem popatrzaj okiem. Jeżeli zechcesz, rzuć jedno spojrzenie i na te wiszące po ścianach obrazy. Znajdziesz tu pendzel i Peszki i Oleszkiewicza. Tu i Kaniewski, i wielki Suchodolski nie żalowali ręki swojej dla ciebie. Tu szkice Orłowskiego, historyczną na sobie noszące pamiątkę. Tu Rustem, Jotejko, Januszewicz, Głowacki, Gładysz, Moraczyński próby talentu swojego przynieśli. Tu i Albane i Rafael. Tu masz ten

stary, odwieczny obraz Chrystusa na krzyżu, którego tyłu już podziwiała artystów a nikt nie odgadł, czy jego on pendzla. Tu i Stefan Czarniecki, tu i Sobieski z laurem na czole, rzadki pierwotwór, z taką ozdobą słusznie wielkiemu bohaterowi należą. Tu i Kościuszko, i dzielny Poniatowski, i dzielny Sowiński. Józef takie przed tobą pokażą oblicza, jakie mieli do prawdy za życia, bo ten, co ich zebrał portrety, żył z nimi wszystkimi w bliskich stosunkach. Chcesz? to i obu Lampich znajdziesz tutaj utwory. Ale nie omiń ot tego małego, pięknego, a rozrzewniającego mnie zawsze portretu! To portret młodego, pięknego i prawdziwie po rycersku kochać umiającego Moskala. Człowiek ten, śmiertelnie raniony, konając na polu bitwy, wręczył go tak, jak go widzisz na walek zwiżanym, walczącemu tuż przy nim w tej chwili nieprzyjacielowi. Wręczył z zaklęciem na rany Chrystusa Pana, żeby go na pamiątkę kochance jego, której razem ze swoim wymienił nazwisko, jak będzie można najrychlej, odesłał. Nieprzyjaciel dał mu na to szlachackie słowo i głowę jego, we krwi ugrzęzłą na obok leżącego trupa podniosłszy, dalej popędził? Tym nieprzyjacielem był właśnie mój ojciec. Ale wśród gradu kartaczy w samym warze i pyle zaciętej rozprawy, wśród krwi strumieni, wśród triumfu pogoni wyszły mu, niestety! z pamięci nazwiska i owego szlachetnego wroga i również zapewne zacnego przedmiotu tak rzadkiej, wiernej i tkliwej miłości. Portret ten więc w domu naszym pozostać musiał. Bo żadne a długie starania wykryć, kto był ten prawdziwy rycerz, nie mogły, chociaż dobrze pamiętano o tem tak pośród burz i nieszczęść powstania Kościuszki,

jak i podczas klęsk zrodzonych po tem powstaniu. Nigdy tak srogiego roztargnienia ojciec mój sobie darować nie chciał, sam wielce i słodczy i bólów miłosnych świadomy. Może więc i słusznie ten brak swojej pamięci za ciężki, choć mimowolny grzech do śmierci uważał.

A stało się to zdarzenie podówczas, kiedy nasi od Ostrej Bramy za przyczyną Matki Najświętszej odpędzili, potłukli i ubili Dejowa (19 i 20 lipca 1794 r.).

Owóz masz już teraz klucz w rękę, dlaczego tu wszystko, co żyje, jak jest naokoło, jednym głosem o mnie powiada: „Jakiż to człowiek szczęśliwy!”

Tak widzisz tu i zewsząd słyszysz, że ja najszczęśliwszy człowiek na świecie!... I mimo wszystko choćby na oko tak niby i być powinno, człowiek ten, trawiąc aż dotąd w sobie gorzkie piołuny przeszłości, burząc się w duszy na złości dzisiejszej chwili, patrząc proroczą myślą na krwawe łowy przyszłego czasu, aż po dzień dzisiejszy włącznie ani jednej minuty w życiu nie miał szczęśliwej! Takie Bóg nad jego duszą przeznaczenie położył! A jeśli były takie rzadkie chwile — to były tylko we śnie!... we śnie zawsze szczęśliwym, spokojnym i pełnym cudownych obrazów. To były tylko nad księgą, wielkie dawnych cnót ludzkich dającą przykłady. Ale na co się pieścić! Daruj mi bracie. Tak bywają chwile wielkiego upadku ducha, że człowiek chciałby się doprawdy, jak maśluk jaki, rozmazać, rozmiękczyć, jak baba, rozpaplać, jak kawka!... Ale mąż sam siebie zawsze trzymać powinien na wodzy i umieć mężnie pod męskie żebro męską

siebie zadrażnić ostrogą. Powiedzieć wszakże sobie na ucho można, że trzebaby się nam było czy wiekiem pierwiej, czy wiekiem później urodzić. Iść z nowym narówni trochę trudnawo. Och! bo też ten ciągły ryk wiecznie zawodzonej i zbolalej duszy, ten ryk o miłość, o przyjaźń, o współczucie, o szlachetność, o bezinteresowność, o bojaźń Bożą, o sprawiedliwość i słuszość, kiedy nikt ich około ciebie nie pojmuje znaczenia, jest najsroższą dla czulego i prawego serca w tem życiu męczarnią!...

Już ci więc na dłoń włożyłem całe moje malutkie Ustronie. Znasz je teraz dokładnie. I sam teraz patrząc mnie w oczy, razem ze mną dziwisz się i pytasz: „Dziwaku, czegoż ci braknie? Tu wszystko dla miłości Boga, dla miłości bliźniego, dla miłości kobiety stworzone!”

Kobiety?....

Aleś, o biedny tej wdzięcznej oazy włodarz! nie tutaj poznał słodkie prawdziwej miłości poszepty. I ręka twoja tutaj nigdy się z ręką duchem twoim ukochanej istoty nie splotła, a serce o serce nie biło! W miejscu, dla tych właśnie najdroższych uczuć widocznie stworzonem, wzdychać tylko mogłeś do tego, co się już nigdy w tobie powtórzyć nie miało! Tak! nigdy nadziemski płomień tchu twego nie zlał się tutaj z takimże ukochanej osoby oddechem! Tu tylko kiedyś poły cię może dosyta czysto zmysłowe rozkosze, owiane własnem twojem złudzeniem, ubarwione kształtami, w które młodą kochankę własna twoja wiecznie paląca się odciskała głowa. Tu naokoło, jak i sam może dobrodusznie wierzyłeś, wszystko było dla ciebie miło-

ścią! Tu i ten szmer strumienia, i ten war burzliwej z upartym głazem wiecznie kłócej się rzeki, i ta zieloność murawy, i ten cień w liść bogatych a kryjących z nią ciebie przed światem drzewach, i tu święta młodziutkiej dziewczeczki prostota, i ta bojaźń groźnej surowego ojca potęgi, i ta trwoga, te dreszcze o dobre imię oddanego tobie dziewczęcia w takim cię długo przekonaniu trzymały! Tak! To może było przez jakąś chwilę, przez jakieś okamgnienie i prawdziwą miłością! Tak, to było może szczęśliwą miłością. Ale to nie było wielką, potężną, tą świętą miłością, z którejby się cieszyć mogli anieli!

To też po latach wielu, — o marności, o prochu, o nędzo, przywiązana do naszej ludzkiej natury! zobaczyłeś znowu też same miejsca, też same a jeszcze hojniej cień dające drzewa, też same strumienie, też zawsze kłótliwie z głazem łamiącą się rzeką, też świeże, rozkoszne, kraśne i stale do ciebie uśmiechające się kwiaty; — zastałeś jeszcze, bodaj, błędzące wśród szelestu liści echa i dawnych przysięg i dawnych uniesień!...

A duszę tę, która ci się za młodu tak czystą, jak kryształ tej krynicy, zdawała, znalazłeś może już dzisiaj przywaloną ciężkiem wszelkich nieprawości brzemieniem. A ciało jej znalazłeś udręczone i przedwcześnie zwiedłe pod tyłu wietrznych lat zgubną trucizną!...

I silny, hoży, krzepki cisnąłeś wzrokiem pogardy i wstrętu na to, coś tak długo młodem i łakomem pożerał i pieścił kiedyś oczyma!...

Słusznie jest wprowadzić, żeby się też każdy, o to i z sobą samym rozmówił. Byłżeś sam lepszy? Na to, jak będzie trzeba, na tamtym świecie odpowiesz. Poco cię tutaj czy za mniejszego, czy za takiegoż, czy za słabszego jeszcze od innych grzesznika mają uważać!...

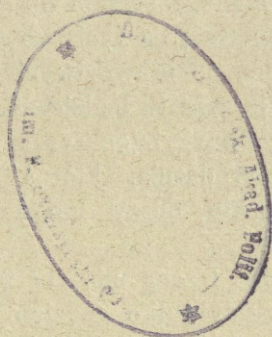
Długoż mnie, o mój Boże! opuszczonego od świata, zapomnianego sercem od starych przyjaciół, oderwanego śmiercią od tych, co mnie szczerze kochali, pozbawionego prawdziwych krewnych, sierotę — trzymać jeszcze tu będziesz?... Długoż jeszcze Sam Jeden tylko czytając serca mojego karty, tą pięknnością przyrodzenia, którąś tu Ręką Twoją utworzył, gorzkie duszy mojej boleści łagodzić będziesz?...

Samotnikowi trzeba umierać młodo!

Starzec wtedy tylko godzien zazdrości, wtedy śmierć jego i szlachetna i piękna, kiedy łoże jego śmiertelne ozdabia liczne grono prawdziwie cnotliwych wnuków! Wtedy siwy włos jego przestaje być męczeńską życia tego koroną, a być zaczyna srebrnym i jasnym wieńcem nagrody za to wszystko, co tu pomiędzy ludźmi przecierpiał!

Pisałem w Ustroniu.

1849 i 1850 roku.





12211/1.